

Gert Godeng
TOM 2.
LALE CZKA
Przełożyła Zuzanna Byczek
Autor: Gert Nygardshaug (Gert Godeng)
Tytuł oryginału: Jagerdukken

Elipsa Sp. z o.o.

1

Fredric Drum spotyka wiosnę, zażywa morskiej kąpieli i z optymizmem spogląda w przyszłość

Wiosenne słońce grzało już całkiem mocno. Fredric Drum poczuł w nozdrzach łaskotanie, zmarszczył nos i kichnął donośnie trzy razy.

Atak kichania nie wzbudził większej sensacji. Oprócz niego na prom czekały tylko trzy osoby. Niewiele osób wybiera się o tej porze na wyspę, większość zmierza w przeciwnym kierunku.

Zegar wskazywał za dziesięć piątą.

Jakaś przelatująca mewa zrzuciła swoją wizytówkę na deski nabrzeża, zaledwie kilka centymetrów od prawej nogi Fre*drica; na jasnej nogawce ukazały się ciemniejsze plamki. Nie chciało mu się ich wycierać; w końcu była wiosna, wszystko kwitło, przyroda aż kipiała i szczerze rozdawała swe dary. Czemu miałby z tym walczyć? Powietrze było przejrzyste, niebo błękitne, a słońce dopiero za kilka godzin miało schować się za pagórkami na zachód od Bygdoy.

Szare wody fiordu marszczyły drobne fale oznaczone plamami światła. Kiedy Fredric mrużył oczy, słoneczne refleksy zmieniały się w białe ptaki, zrywały z powierzchni wody i bezgłośnie przelatywały koło jego głowy.

Światło. Fredric sięgnął do kieszeni. Leżał w niej pewien tajemniczy przedmiot, kryształ w kształcie idealnie równej pięcioramiennej gwiazdy, wielkości pięciokoronówki i grubości około jednego centymetra. Fredric nigdy się z nim nie rozstawał. Uniósł gwiazdkę pod słońce. Zamigotała pięknymi barwami. Fredric znowu kichnął i włożył ją z powrotem do kieszeni. Prom właśnie zbliżał się do nabrzeża, wyładowany mieszkańcami Oslo, którzy tego dnia postanowili nacieszyć się wiosną na Hovedoya.

Fredric był w wyśmienitym humorze, po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna. Przepelniała go radość życia. Nie tylko wiosenna aura była tego przyczyną, ale również leżące w kieszeni zaproszenie * zaproszenie na degustację win z regionu St. Julien, zorganizowaną przez pewnego importera win francuskich we współpracy ze znaną restauracją z Oslo. Data: środa piąty maja, czyli dzisiaj. Godzina: siedemnasta trzydzieści, miejsce: Hovedoya, ściślej mówiąc, zarezerwowana na tę okazję kawiarnia. Zaproszenie wydrukowano na pięknym papierze, w lewym górnym rogu widniało barwne logo firmy.

We współpracy ze znaną restauracją? Nie podano nazwy, jednak Fredric podejrzewał, że chodzi o „d'Artagnana”. Przyjaźnił się z właścicielem, jowialnym Duńczykiem, smakoszem win i dobrego jedzenia. To musi być „d'Artagnan”, pomyślał Fredric. Niewiele restauracji w Oslo potrafiłoby wykazać się taką fantazją.

Prom przybił do nabrzeża. Strumień ludzi wyciekł na ląd, Fredric i trzej pozostali pasażerowie wkroczyli na pokład.

Dziwne. Jakoś żadna z tych osób nie wyglądała mu na smakosza win. Dwie kobiety zaopatrzone w dużą torbę sportową i składane karimaty na pewno zamierzały korzystać z

uroków natury i spędzić ten jasny wiosenny wieczór na plaży. Zajęły miejsce z tyłu. Trzeci pasażer, mężczyzna, tak jak Fredric stanął z przodu. Rozglądał się ciekawie dokoła. Pewnie turysta. Fredric pomyślał, że pozostali goście najprawdopodobniej przybędą następnym promem.

On sam wyszedł dość wcześnie z domu; zamierzał najpierw pospacerować trochę po wyspie. Posłuchać śpiewu ptaków. Popatrzeć na muszle. Powdychać zapach zieleni. Oczyścić głowę z resztek zimy.

Prom wykonał obrót i skierował się w stronę Hoyedoya.

Fredric oparł się o ścianę sterówki i pogrążył w rozmyślaniach. Miał szczupłą chłopięcą twarz, podobno nie wyglądał na swoje (niemal) trzydzieści cztery lata. Jednak na dnie jego błękitnych niewinnych oczu można było dostrzec coś twardego, jakąś rysę zdradzającą, że wiele już w życiu przeżył. Jednocześnie widać było, że nie brak mu poczucia humoru. Śmiech stanowił jego najgroźniejszą broń i nie raz pomógł mu wyka*raskać się z poważnych tarapatów. A tarapatów w jego trzy*dziestoczteroletnim życiu nie brakowało. Przez swoją nieopanowaną ciekawość często pakował się w różne dziwne historie. Jako ostatnia na liście owych dziwnych zdarzeń była tragedia, do której doszło dwa lata wcześniej we Francji. Siedem osób poniosło wówczas śmierć. Może nie było w tym bezpośrednio jego winy, czuł się jednak za to odpowiedzialny. Po tym wydarzeniu wcześniej pogodny i pełen optymizmu Fredric na wiele miesięcy pogrążył się w depresji. Teraz nareszcie poczuł, że zaczyna odbijać się od dna, wychodzić z ciemności. Wiosna i wino. Dobre wino.

Prom nabralł niezłej prędkości, jeszcze tylko kilka minut i Fredric znajdzie się na Hovedoya, w cudownej oazie spokoju.

Petite degustation. Słowa tłukły mu się w głowie. Z trudem odsunął od siebie niemiłe skojarzenia. Musi zapomnieć o Francji. Już prawie udało mu się wymazać z pamięci obraz pięknej Genevieve. Prawie.

Mężczyzna stał na samym dziobie. U jego stóp leżała otwarta torba, Fredric zauważył na samej górze sprzęt fotograficzny. Mężczyzna wydawał się pochłonięty podziwianiem widoków. Mocno wciągał w płuca morskie powietrze. Wzrok miał utkwiony przed siebie, jednak od czasu do czasu rzucał spojrzenie w stronę Fredrica.

Pielgrzym * tak nazywano Fredrica. Wprawdzie już od dawna nikt nie używał tego określenia, jednak wracało ono za każdym razem, kiedy wplątał się w jakąś aferę i znów pisały o nim gazety. Pojawiło się ono wiele lat temu, podczas jakiejś nieznaczącej rozmowy z pewną znaną osobą, z którą połączyła go nieszczęśliwa miłosna historia. Celebrytka powiedziała dziennikarzowi z jakiegoś tygodnika: „Znalazłam swojego Pielgrzyma!”. Wkrótce jednak okazało się, że znalezisko to nie przedstawiało dla niej większej wartości. Fredric długo lizał się z ran. A jakiś czas potem został jeszcze głębiej zraniony, nadal go bolało. Nienawidził „Pielgrzyma”. Czasami nienawidził także „Fredri*ca Drum”, lecz nienawiść ta nie była aż tak zapiekła.

Nagle zauważył, że stojący na dziobie mężczyzna macha na niego; najwyraźniej coś od niego chciał. Fredric podszedł do niego z wahaniem. Byli w połowie drogi na wyspę, za nimi widać było twierdzę Akershus.

* Przepraszam, że panu przeszkadzam * powiedział mężczyzna. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat i przypominał trochę byłego ministra kultury; głównie oczy, smutne, bardzo smutne. * Przepraszam, nie wie pan przypadkiem, czy tych dział kiedykolwiek użyto przeciw obcym wojskom? Interesuję się historią, rozumie pan, ale mam znikomą wiedzę na temat dziejów miasta Oslo.

Mówił szybko i z zapałem.

* Dział? Hmm... * zamyślił się Fredric. * One chyba nie... * Nagle przerwał i spojrzał w bok. Z lewej strony w szalonym pędzie zbliżał się prosto na nich jacht motorowy i

najwyraźniej nie zamierzał zmienić kursu. Prom znajdował się w odległości zaledwie kilkuset metrów od lądu.

* O, cholera! * wykrzyknął Fredric. Chciał się cofnąć, ale nie mógł zrobić kroku; mężczyzna, zapewne w panice, chwycił go za ramię i trzymał kurczowo.

Rozległ się ostrzegawczy gwizd, jednak zaraz się urwał. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko, w ciągu zaledwie kilku sekund. Chociaż Fredricowi jawiło się raczej jak film puszczony w zwolnionym tempie tuż przed jego oczami, jako coś odrealnionego i brutalnego. Nim doszło do zderzenia, jakiś człowiek rzucił się z jachtu do wody, potem rozległ się głośny trzask. Prom zahamował gwałtownie, Fredric wypadł za burzę, uwalniając się z kurczowego uścisku współpasażera. Spadając, zdążył zauważyć kolejno trzy rzeczy: w szyi mężczyzny, który przed chwilą pytał o działa Akershus, tkwił duży kawał plastiku, jego prawa ręka rozwarła się, wypadła z niej strzykawka i poszybowała w dół, a zaraz za nią torba ze sprzętem fotograficznym.

A potem Fredric zniknął pod wodą.

Po chwili udało mu się wypłynąć na powierzchnię. Zaczął kaszleć i pluć. Zimno, było potwornie zimno! Morska woda szczypała w oczy, wszystko widział jak przez mgłę. Zamrugał. Prom i jacht spokojnie kołysały się na falach. Wyglądało na to, że żadna z jednostek nie została poważnie uszkodzona i nie groziło im zatonięcie. Fredric położył się na plecach i leżał tak przez chwilę bez ruchu. Niebo było jak ekran, jeszcze raz zobaczył na nim wszystko, co rozegrało się w ciągu tych kilku sekund. Potem przekręcił się na brzuch i trafił głową w jakiś unoszący się na wodzie przedmiot. Była to zabawka, lalka, lub coś w tym rodzaju. Niewiele myśląc, chwycił ją, wsadził za pazuchę i kilkoma silnymi ruchami ramion pokonał dzielącą go od brzegu odległość.

Stała tam spora grupa ludzi czekających na prom po dniu spędzonym na łonie natury.

* Wszystko dobre, co się dobrze kończy * powiedział ktoś na pocieszenie.

* Widzieliście tego z jachtu, pirat jeden, takich to od razu za kratki * oznajmił ktoś inny.

* Na razie pirat jest na promie * dodał ktoś jeszcze gwoli wyjaśnienia.

* Dajcie temu biedakowi ręcznik! * wykrzyknęła jakaś kobieta.

Fredric nie zdążył przejść nawet pół metra, a spadła na niego cała lawina ręczników.

Dokładnie osiem. Z zażenowanym uśmiechem, rozdając podziękowania na lewo i prawo, skierował się w stronę pobliskiego lasu, gestami dając do zrozumienia, że musi pozbyć się przemoczonych i śmierdzących ubrań. Po chwili znalazł się sam wśród świeżej, obfitej zieleni.

Zrzucił ciuchy. Dziwny przedmiot, na pierwszy rzut oka wyglądający jak jakaś szmaciana zabawka, spadł w trawę.

Fredric wytarł się dokładnie ośmioma ręcznikami. Potem długo wyżył ubrania, a na koniec wykonał dziki taniec pośród drzew, niby jakiś faun czy inna leśna istota, jednak ku własnemu zdziwieniu stwierdził, że wcale nie marznie. Było dość ciepło, zaprzestał więc płasów.

Sceptycznie powąchał ubranie. Zapach nie był zbyt zachęcający. Jeśli w czymś takim zjawi się w restauracji, popsuje całą degustację. Dlatego musi zrezygnować z zaproszenia. Dziś Fredric Drum nie napije się wina. Kręcąc głową z rezygnacją, zaczął wciągać na siebie przemoczone ubranie.

Nie miał ochoty wychodzić z lasu, chciał zostać przez chwilę między tymi wszystkimi liśćmi i krzakami, całą tą zielenią. Była niesamowita, we wszystkich odcieniach: od ciemnych ostro zakończonych liści siódmaczka aż po żółtawe brzoźowe kotki. Mocno pachniała wilgotna ziemia. Nadleciał cytrynek i usadowił się na gałązce tuż obok, mógł go niemal dotknąć czubkiem nosa. Kiedy tak sobie siedział, machając skrzydełkami, wyglądał zupełnie jak listki wokół. Perfekcyjny kamuflaż. Wyżej, w koronach drzew, odbywało się zgiekliwe spotkanie grupki drozdów.

Fredric usiadł na spróchniałym pniu. Wilgotne ubranie parowało, w głowie mu szumiało, rozpierało go oszalamiające uczucie zachwytu nad światem. Cała przyroda aż kipi! Co za obfitość, witalność! Pełnia.

Pełnia.

Fredric zerwał się z miejsca. Mężczyzna trafiony w szyję odłamkiem plastiku na pewno zginął na miejscu. On zaś tylko wypadł za burtę. I dobrze. Przynajmniej nie musiał patrzeć na całą tę rzeźnię.

Na nabrzeżu panowało poruszenie, słychać było pokrzykiwania. Buczały nadpływające łodzie. Ktoś krzyknął:

* Gdzie jest ten pasażer, który wpadł do wody?!

* W lesie, suszy się.

Co ja robię w lesie, to już tylko mnie wiadomo, pomyślał Fredric, mrużąc oczy w sączącym się przez listowie blasku. Nawet cienie były zielone. Zebrał siedem z ośmiu ręczników, w ósmy owinął przypominający lalkę przedmiot, po czym odnalazł prowadzącą na nabrzeże ścieżkę.

Prom i jacht leżały teraz przycumowane do nabrzeża. Obok unosiły się na wodzie łódź policyjna i łódź ratownicza, na którą właśnie przenoszono z promu przykryte białym prześcieradłem nosze. Po chwili łódź ruszyła w stronę Oslo.

* Tam jest! * krzyknęła jakaś kobieta, pokazując palcem. Wszystkie oczy zwróciły się na Fredrica. Spadł na niego grad

pytań, nie zamierzał jednak na nie odpowiadać. Oddał pożyczone ręczniki (ten, w który zawinął lalkę, oczywiście zachował), potrząsnął głową i zaczął przedzierać się przez cisnący się wokół tłum w stronę łodzi policyjnej. Funkcjonariusz w mundurze dał mu znak, by wszedł na pokład.

* Pasażer? * zapytał. Fredric skinął głową.

* Zaraz wracamy do miasta, ale najpierw chcielibyśmy zadać panu kilka pytań. * Policjant zaprosił go pod pokład.

Oprócz niego było jeszcze trzech funkcjonariuszy. Dwaj właśnie przesłuchiwali pracowników jachtu, trzeci stał w kącie, obok zawiniętego w koc bladego, przyszczatego chłopaka. To pewnie on kierował jachtem, pomyślał Fredric. Policjant, który go przyprowadził, wyjął ołówek i notes.

* Nazwisko i pesel.

* Henning Haugerudsbraten, dwadzieścia zero pięć pięćdziesiąt dwa * wyrecytował Fredric jak z nut.

Policjant zanotował i poprosił Fredrica o relację z wydarzeń.

Kiedy Fredric opowiadał, przyszczaty chłopak nie spuszczał go z oczu. Jego spojrzenia nie można było nazwać przyjacielskim. Fredric zastanawiał się, czy chłopak uniknie kary więzienia. Nieumyślne spowodowanie śmierci. Dlaczego doszło do zderzenia? Przez nieuwagę? Panikę? Problemy techniczne? Miał nadzieję, że to ostatnie, nie życzył nikomu więzienia.

* No, to ruszamy * zarządził najważniejszy z całej czwórki.

Fredric podał fałszywe nazwisko, gdyż bał się, że w gazetach znów pojawi się coś na temat Pielgrzyma. Prasa brukowa miała przykry zwyczaj znajdowania połączenia między faktami, których wcale nie należało ze sobą łączyć. Na wszelki wypadek, gdyby policja chciała się z nim skontaktować, podał jako swój adres domowy adres restauracji „Kasserollen”.

Po zaledwie trzech*czterech minutach dobili do nabrzeża, gdzie już czekało kilka wozów policyjnych i grupka gapiów. Policjant zaproponował, że go odwiozą, jednak Fredric zdecydowanie podziękował. Jakoś nie miał ochoty zajeżdżać pod dom policyjną suką.

W momencie, gdy mieli zejść na ląd, chłopak wyrwał się z uścisku trzymającego go za ramię policjanta.

* To był wypadek, słyszycie! Ja nie chciałem! * krzyczał.

Fredric odwrócił się. W oczach chłopaka widać było desperację. Co tak nerwowo, pomyślał Fredric. Jeśli to był wypadek, to nie ma się co bać. Potem szybkim krokiem skierował się w stronę Ratusza i usiadł na ławce od strony południowej. Było tam ciepło i przyjemnie, słońce nadal przygrzewało. Wkrótce ubranie powinno wyschnąć, a przykry zapach się ulotni.

Wypadek to wypadek.

Ominął go miły wieczór, z dobrym winem i w sympatycznym towarzystwie. Nie taka znowu wielka strata. Niedługo pojawią się kolejne okazje, lato za pasem. Znawca win Fredric Drum nie miał powodów do narzekań.

Pomimo młodego wieku był już znany jako jeden z najlepszych kiperów w mieście, a to dzięki restauracji „Kasserollen” i sławie, jaką sobie stopniowo zyskała. Kilka lat wcześniej na spółkę ze swoim przyjacielem Tobem, TorbJornem Tinderdalem, otworzył najmniejszą i najbardziej ekskluzywną restaurację w mieście. Znajdowała się w eleganckiej okolicy, na Frog*nerveien, i liczyła zaledwie sześć stolików. Serwowano w niej wyborne dania; łączyły w sobie to, co najlepsze w tradycyjnej kuchni norweskiej, z francuskim wyrafinowaniem i duchem eksperymentatorskim. Wina były niezwykle wyszukane, sprowadzane bezpośrednio z chateaux. Właściciele restauracji osobiście poddawali je gruntownym testom. Udany posiłek wymagał podania wina odpowiednio dobranego do danej potrawy. Jeszcze się nie zdarzyło, by jakiś gość wyszedł niezadowolony. Jeśli ktoś chciał zaznać rozkoszy podniebienia w „Kas*serollen”, musiał zamówić stolik kilka tygodni wcześniej. Nie było mowy, by ot tak, po prostu wpaść z ulicy, licząc na to, że znajdzie się jakieś wolne miejsce. „Kasserollen” jako jedyna restauracja w całym Oslo otrzymała dwie gwiazdki w przewodniku Michelin. Poza tym wystrój był tak przytulny i ujmujący, że ta maleńka restauracyjka przyciągała nie tylko zdeklarowanych smakoszy. Po prostu to miejsce miało charakter, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Była to w dużej mierze zasługa Toba, obdarzonego sporym wyczuciem estetycznym i wiedzą na temat szeroko pojętego tak zwanego „stylu życia”.

Poza tym z Toba był prawdziwy filozof. Aż mu się oczy świeciły za szklami jego okrągłych okularów, gdy w wolnych chwilach sadowili się w kącie przy prywatnym stoliku, aby zatopić się w rozmowie na jakiś, niekoniecznie związany z przyziemnymi, codziennymi sprawami, temat. Tob zawsze potrafił podsumować dyskusję jakimś trafiającym w sedno stwierdzeniem. Inna sprawa, czy słuchacze zawsze byli w stanie pojąć całą jego głębię. Torbjorn Tinderdal był świetnym facetem i najlepszym kompanem, jakiego można sobie wymarzyć.

Oprócz nich w restauracji pracowali też praktykanci ze szkoły gastronomicznej. Wszyscy bili się o praktyki w „Kasserollen”, nie tylko ze względu na opinię najlepszej kuchni w mieście, ale także dlatego, że Tob i Fredric przyjęli zasadę dzielenia dochodów, po uregulowaniu wszystkich stałych wydatków, równo pomiędzy wszystkich pracowników, bez względu na to, jakie stanowisko kto zajmował. A przez ostatnie lata nadwyżka była całkiem spora.

Fredric Drum nie miał powodów do narzekań.

Słońce zamierzało wkrótce zniknąć za otaczającymi nabrzeże nowoczesnymi budynkami. Tymczasem rozjarzyło swym blaskiem przezroczyste ściany wznoszącego się nad chaosem ruchliwej ulicy tunelu. „Tyrihans”, jeden ze stateczków pasażerskich, właśnie odbijał od przystani. Fredric siedział zamyślony, obracając w palcach swoją kryształową gwiazdę. Jak odłamek bomby. Pod wpływem siły zderzenia z dzioba jachtu musiał odpaść fragment plastiku. Wyrzucony z ogromną szybkością, trafił prosto w pasażera, który stał tuż obok Fredrica i trzymał go kurczowo za ramię, czekając na odpowiedź, czy znajdujących się na Akershus dział kiedykolwiek użyto przeciw obcym wojskom. Odłamek plastiku trafił mężczyzną prosto w krtań. Zupełnie, jakby to pytanie w ogóle nie powinno było paść. W każdym razie mężczyzna już nigdy więcej o nic nikogo nie spyta.

Promienie zachodzącego słońca rozszczepiły się w tworzących ramiona kryształowej gwiazdy pryzmatach. Fredric ze zdumieniem obserwował powstające kombinacje barw. Już kilka razy zauważył, że istnieje jakiś dziwny związek, komunikacja między nim a kryształem oraz między kryształem a otaczającym go światem. Kryształ wiedział o rzeczach, o których on sam nie miał pojęcia. Fredric był przekonany, że gwiazda co najmniej raz uratowała mu życie * wtedy, przed dwoma laty, na południu Francji. Może było tak, jak powiedział Tob: „W kryształach mieszka odpowiedź na największą zagadkę * Początek. Szkoda, że nikt nie potrafi zrozumieć języka, którym się posługuje”.

Tego dnia kolory były niezwykle, pewnie miało to jakieś znaczenie. W końcu Fredric był świadkiem okropnego wypadku, zapewne wpłynęło to na istniejące między nim a kryształem pole energetyczne. W tym polu nie było podmiotu ani przedmiotu, tylko „coś”. Kolory stanowiły część tego „czegoś” i nie kłamały.

Fredric był już prawie całkiem suchy. Na ławce obok niego leżał ręcznik w zielone ciapki, ręcznik, w który zawinął przypominający lalkę tajemniczy przedmiot. Przez moment miał ochotę wywalić ręcznik wraz z zawartością do śmieci, jednak zmienił zdanie. Zabierze zawiniątko do domu i podda tajemnicze „znalezisko” dokładnym oględzinom. W końcu dlaczego wcześniej się go nie pozbył? Musiał istnieć jakiś powód.

Złapał taksówkę.

Pensjonat, w którym mieszkał, nazywał się „Morgan” i leżał na Parkveien. Cicho i spokojnie, niezły standard. Mieszkał tam już prawie rok, co było jego osobistym rekordem. Fredric Drum miał bowiem zwyczaj mieszkać w pensjonatach i nieustannie się przeprowadzać. Nigdy nie wynajmował ani nie posiadał mieszkania. Tob i kilku innych znajomych czasem truli mu głowę z powodu tych rzadkich upodobań. Uważali, że jak tak dalej pójdzie, nigdy nie będzie miał normalnego życia, nigdy nie będzie miał domu, miejsca, w którym mógłby zapuścić korzenie i poczuć się u siebie.

Korzenie? Dom? Fredric nie rozumiał takiego punktu widzenia. Po co mu dom? Czy mu jest źle? Nie gorzej niż innym. Prowadził proste życie, bez obciążeń finansowych, bez niepotrzebnego gromadzenia ziemskich dóbr. No, może była jedna rzecz * jego prywatny zbiór win stawał się coraz bardziej interesujący i coraz bardziej się rozrastał. I sprawiał coraz większy kłopot przy przeprowadzce. Może właśnie dlatego już tak długo mieszkał w „Morganie”. Z reguły wytrzymywał w jednym miejscu mniej więcej pół roku. Życiem w pensjonacie zdawały się rządzić nieubłagane prawa: po około półrocznym okresie stosunkowo anonimowej egzystencji następował nowy etap nieprzyjemnej zażyłości, gospodarze i współmieszkańcy zaczynali się ze sobą spoufalać, zaś jego własne przyzwyczajenia stawały się częścią rządzącej życiem pensjonatu rutyny, wewnętrznego, charakterystycznego dla danego miejsca systemu. Kiedy ogarniało go nieprzyjemne uczucie, że oto stał się organiczną częścią jakiejś smętnej maszyny, wiedział, że czas się wynosić.

Korzenie? Dom? Może kiedyś, w przyszłości. W dalekiej przyszłości. Miał jakieś niewyraźne przecucie, coś jak ulotny sen.

Otworzył drzwi wejściowe, pokonał korytarz, w którym panowała idealna cisza, i znalazł się swoim pokoju, a właściwie pokojach, wynajmował bowiem sypialnię połączoną z niewielkim salonem. Było tam wszystko, czego potrzebował: duże jasne biurko, na którym piętrzyły się starannie ułożone stosy książek i papierów, regał z książkami, dwa wygodne fotele i prosty stół, bez obrusa. Wzdłuż ścian stały stojaki na wino, pełne butelek. Dokładnie trzysta czterdzieści butelek, jak ostatnio policzył.

Położył ręcznik na stole.

Pogwizdując, wziął prysznic i włożył czyste ubranie. Poczul przyjemne mrowienie w piersi. Zrobił do lustra kilka zabawnych min. Czy to wiosna? Chyba nie tylko. Wkrótce, już za kilka

tygodni, czeka go bardzo interesujący wyjazd w towarzystwie pewnego bliskiego przyjaciela z Anglii. Z nadzieją i optymizmem patrzył w przyszłość.

Wino... Chyba mógłby pozwolić sobie na drobne szaleństwo i skosztować dobrego wina z własnych zapasów. Doprawdy, niewiele stracił, rezygnując z zaproszenia. Pewnie wszyscy siedzą tam teraz i wachają, siorbią, gulgoczą i plują. Nie, pewnie mało kto wypłuka wino. Jak już poczuje się na języku wspaniały smak... Chyba że są tam chłopaki z Monopolowego. Powoli zaczął przechadzać się wzdłuż stojaków* tam i z powrotem. Czasem wyciągnął jakąś butelkę. W końcu wybrał Chateau de Tertre rocznik 1975, wino piątej klasy z regionu Margaux. Zdaniem Fredrica, Chateau de Tertre dostało o wiele za niską ocenę w konserwatywnej klasyfikacji Medoc z 1855 roku. Powinno dostać drugą.

Głęboka, wpadająca w brąz czerwień. Aromat przejrzałych wiśni i migdałów, może nutka wanilii? Było krągłe, bogate i łagodne, lecz jednocześnie miało swoją moc. Będzie dobre jeszcze przez kilka lat. Drobnymi łykami opróżnił kieliszek i zaraz nalał sobie następny. Jego wzrok padł na leżące przed nim na stole mokre zawiniątko. Przyniósł je bliżej i ostrożnie rozpakował. Lalka leżała na brzuchu. Była stara i zniszczona, ubranko wyglądało jak uszyte z czegoś pomiędzy skórą i korą brzozy. Nie zdążyła nasiąknąć wodą. Odwrócił lalkę i nagle poczuł, że krew ścina mu się w żyłach, a włoski na karku się podnoszą. Panująca wokół cisza nagle wydała mu się przytłaczająca, nie mógł oddychać.

Już wcześniej widział tę laleczkę! Tylko że nie była to lalka, ale mumia małego dziecka. Widział ją na wielu reprodukcjach w różnych pismach archeologicznych. Eskimoskie niemowlę, mumia licząca sobie kilkaset lat, piętnaście lat temu przypadkowo znaleziona na Grenlandii przez grupę myśliwych.

Fredric odchylił się na oparcie fotela. Patrzył na leżący na stole przedmiot i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Potworna laleczka. Groteskowa kopia. Dopiero po chwili, kiedy odzyskał zdolność jasnego myślenia, dotarło do niego, że to tylko lalka.

Miała około trzydziestu centymetrów długości. Ubrana była w spodenki z pomarszczonej skóry i futrzaną kurtkę z kapturem. W odróżnieniu od mumii, której oczodoły były puste, lalka miała oczy * przerażająco żywe, żółte, kocie oczy. Małe rączki przypominały szpony, czarne i skurczone. Ten, kto ją wykonał, był niezwykle zdolny i wiernie odtworzył oryginał. Skóra lalki wyglądała jak sucha, popękana skóra ludzka, ubranko sprawiało wrażenie bardzo starego.

Z ust Fredrica wydobył się długi świst.

Siedział tak bez ruchu pół godziny, może nawet godzinę.

Laleczka, kopia liczącej pięćset lat mumii eskimoskiego niemowlęcia, musiała na każdym robić silne wrażenie. Fredric doskonale pamiętał, jak zareagował, kiedy pierwszy raz zobaczył zdjęcie mumii. Nie dało się o tym tak po prostu zapomnieć. Zdjęcie na zawsze pozostało mu w pamięci. A to, co do tej pory tylko oglądał na zdjęciu, miał teraz w trójwymiarze, mógł tego dotknąć. Mumia leżała przed nim na stole i patrzyła na niego lodowatym wzrokiem. Kto mógł zrobić taką lalkę?

W końcu położył ją na półce. Potem dopił wino i otworzył następną butelkę. Tym razem niezbyt znane, ale dobre: St. Emilion * Chateau Grace Dieu. Miał nadzieję, że przywoła ono wspomnienia, dzięki którym uda mu się nie myśleć o dziwacznej laleczce. I tak właśnie się stało.

W głowie leciutko mu szumiało, a ciało miał jakoś dziwnie ciężkie, kiedy wreszcie zdecydował, że pora spać. Następnego dnia miał iść do pracy. Przed nim przyjemne, wypełnione pracą w „Kasserollen” dni. Na zmianę kuchnia i kelnerowanie. Dzielili się zadaniami, w ten sposób udawało im się uniknąć rutyny. Dobrze się bawili, goście bardzo lubili panującą w restauracji atmosferę.

Rzucił ostatnie spojrzenie w stronę półki, na której położył lalkę. Jednak lalka już nie leżała: siedziała teraz wyprostowana, oparta plecami o ścianę.

Mały Eskimos kłania się i znika, a Fredric Drum wybiera muchy
Na okrągłej twarzy Torbjorna Tinderdala malowało się szczere zainteresowanie. Słuchał uważnie, pucując szkła okularów. Do otwarcia restauracji została jeszcze godzina i dwaj przyjaciele siedzieli przy swoim prywatnym stoliku ukrytym za stojakami z winem. W kuchni Wackradaisan Wick*ramashingshe, imigrant w drugim pokoleniu * jego rodzice przybyli do Norwegii z Północnych Indii * właśnie kończył przyprawiać jakiś podobno absolutnie niezwykły sos estrago*nowy.

* Lalka po prostu pływała sobie w wodzie * ciągnął Fredric. * Mówię ci, Tob, to jest dokładna kopia tej mumii. Eskimoskiego dziecka. Spójrz.

Fredric Drum pokazał przyjacielowi zdjęcie w czasopiśmie archeologicznym.

* Hmm * zamruczał Tob, wkładając okulary. * Mały myśliwy, który nie zdążył niczego upolować. Inuici chowali swoich zmarłych w lodzie?

* Nie * odparł Fredric * Inuici, Eskimosi, grzebali zmarłych w kamiennych grobach.

Wyposażali zmarłego w różne potrzebne mu w zaświatach przedmioty i przysypywali kamieniami. Tę mumię znalazł w 1973 roku pewien myśliwy, który zupełnie przypadkowo zwrócił uwagę na grupę dziwnych kamiennych konstrukcji. Odsunął kilka kamieni i jego oczom ukazała się niewiarygodnie dobrze zachowana mumia kobiety. Potem okazało się, że w grobie było więcej mumii, między innymi właśnie ta dziecka. Datowanie metodą C*14 wykazało, że zwłoki zostały pochowane około roku 1470.

Tob z uwagą przyglądał się zdjęciu mumii.

* Piękne * stwierdził. * W rysach tej młodej twarzy można dostrzec swego rodzaju spokojną pewność siebie. Pewność siebie i upór. Tak jakby śmierć nie miała żadnego znaczenia. Puste oczodoły zdają się mieścić w sobie najgłębszą mądrość i wiedzę o tajemnicach Wszechświata. Wiedzę myśliwego na temat przyrody, z którą wchodzi w bardzo bliski kontakt. Każdy, kto zobaczy tę mumię, musi popaść w zamyślenie nad zagadkami Kosmosu. Zagadkami, których nikt nie potrafi rozwiązać.

* Zagadkami, których nikt nie potrafi rozwiązać * powtórzył Fredric. * W każdym razie nie znam odpowiedzi na zagadkę, skąd się wzięła ta dziwna lalka na falach fiordu w pobliżu Oslo. I te oczy, Tob, gdybyś ty widział te oczy: ktoś wstawił lalce rozżarzone żółte kocie oczy.

* Myśliwy i ofiara stali się jednym * powiedział Tob zagadkowo.

Fredric zamyślił się. Spotkanie z lalką miało trzy etapy: najpierw był tragiczny wypadek, w wyniku którego wszedł w jej posiadanie, szok, kiedy odwinął ręcznik, i w końcu moment, kiedy zobaczył, że lalka siedzi na półce. Lekko zamroczony winem, dopiero po chwili zrozumiał, że zjawisko można wytłumaczyć w całkowicie naturalny sposób. Pod wpływem ciepła płynącego z kaloryfera skórzane ubranko gwałtownie wyschło i skurczyło się, zaledwie odrobinę, ale wystarczająco, by lalka zmieniła pozycję. Patrzyła wprost na niego. Oczy wydawały się jeszcze bardziej żywe, ich spojrzenie prześladowało go nawet we śnie.

Tob wstał i poszedł do kuchni, skąd wołał go Wack.

Fredric zaczął grzebać w stosie leżących na półce papierów. Wreszcie znalazł * zajmował się tym ponad trzy lata wcześniej, jego praca zyskała spore uznanie. Było to odczytanie starej inskrypcji runicznej znalezionej w tym czasie na Grenlandii.

Fredric pracował kiedyś jako kryptolog. Zainteresował się tą dziedziną już jako mały chłopiec; takie rzeczy jak pismo tajemne i szyfry chyba zawsze budziły w nim silne emocje. Dzięki

pracy w wojskowości zyskał duże doświadczenie, ale po jakimś czasie znudziło go łamanie szyfrów. Nie widział w tym większego sensu. Tęsknił za innymi, większymi wyzwaniem. Miał za sobą kilka lat studiów językowych na uniwersytecie i czuł, że ma pewne podstawy,

by podjąć się nowych zadań. Zamierzał dokonać deszyfracji do tej pory nieodczytanych tekstów.

Najpierw zabrał się za wyrafinowane i tajemnicze pismo obrazkowe Majów, ale musiał się poddać. Na razie. Wprawdzie chodziły plotki, że wreszcie jakimś uczonym udało się je odczytać, jednak Fredric był sceptycznie nastawiony do tych rewelacji. Wyniki badań, które mu przysłano, wydały mu się dość dyskusyjne. Potem podjął się nowego odczytania pisma linearnego B, bardzo tajemniczego pisma cywilizacji minoj*skiej. Udało mu się dokonać przełomu w tej dziedzinie, dzięki czemu w kręgach profesjonalistów zaczęto traktować go jako swego rodzaju autorytet, mimo że wyniki jego pracy nad pismem linearnym B nie zostały oficjalnie uznane. Trzeba było lat, żeby przebić się w skostniałym, konserwatywnym środowisku archeologów klasycznych. Ale Fredric miał czas, mnóstwo czasu, a na razie świetnie się bawił. Traktował to dodatkowe zajęcie jako wdzięczne hobby, świetny trening umysłowy i doskonały sposób na relaks. To plus praca w „Kasserollen” i pasja winiarska tworzyły doskonałe, harmonijne połączenie. W jego życiu niczego nie brakowało.

Papiery, które właśnie udało mu się odszukać, dotyczyły inskrypcji runicznej na niewielkich rozmiarów kamieniu znalezionym na wyspie Kingittorsuaa. W pobliżu kamienia wznosiły się trzy kamienne kopczyki. Uczonym udało się odczytać część napisu: „Erling Sigvatson, Bjarne Thordson i Enride Odson wnieśli te kopczyki w sobotę przed gangdag (świętem przypadającym 25 kwietnia) i...”. Ostatniej części napisu nie udało się odczytać. Fredrica od razu to zaintrygowało. Co było po „i”? Cały sens, przesłanie napisu zdawały się kryć w nieod*czytanym fragmencie.

Po trzech miesiącach intensywnych badań udało się. W całości tekst brzmiał następująco: „Erling Sigvatson, Bjar*ne Thordson i Enride Odson wnieśli te kopczyki w sobotę przed gangdag i modlili się o ochronę przed ubranym w skóry bogiem, który pomaga Skreelingom w polowaniach i zapędza zwierzynę tam, gdzie oni chcą”. Napis wyryto około roku 1200. Wyniki pracy Fredrica Drum zostały oficjalnie uznane. „Skraelingami” dawni Skandynawowie nazywali Eskimosów.

W literaturze z późniejszego okresu można było znaleźć przykłady na to, że bóg*myśliwy, który pomagał Eskimosom w polowaniach, budził u dawnych mieszkańców Północy szacunek i lęk. W 1492 roku papież Innocenty mianował benedyktyna Martina Knudssona biskupem Grenlandii. Raporty wypisywane starannym charakterem pisma na długich, gładkich tabliczkach z kości morsa zawierały między innymi wzmianki na temat pogańskiego boga*myśliwego o ogromnej, niezwyklej mocy. I każdy Skrasling, kiedy wybierał się na polowanie, pisał biskup, miał przy sobie tajemniczy przedmiot, który zapewniał mu kontakt z tym straszliwym bo*giem*myśliwym.

Portugalczyk Joao Vaz Corte Real, który towarzyszył Didri*kowi Pinning i Hansowi Potthorst w ekspedycji na Grenlandię, zorganizowanej pod koniec piętnastego wieku z polecenia króla Christiana I, w swojej relacji z podróży jeszcze dokładniej opisał boga Eskimosów: „Jest to potężna moc, która pomaga miejscowym w polowaniach, a odgania zwierzynę od nas, białych. Ta moc towarzyszy każdemu Skradingowi pod postacią małej lalki noszonej pod kurtką na splecionym z piór sznurku. Lalka jest ubrana w skóry i ma żółte błyszczące kocie oczy”. (Codex Reale, Lisboa 1507).

Mała, ubrana w skóry laleczka o żółtych kocich oczach. W miarę, jak Fredric przeglądał swoje stare notatki, jego ciekawość coraz bardziej rosła. Dziwne, bardzo dziwne.

Zjawili się Wack i Tob. Wszystko było gotowe, zbliżała się godzina otwarcia.

* Daleko, daleko stąd, gdzieś na Północy, w krainie łowów... * powiedział Tob i dał

Fredricowi przyjacielskiego kuksańca w bok. * Posłuchaj tylko, jaki poemat stworzył Wack.

Prawdziwe arcydzieło.

Wackradaisan zaczął czytać na głos nowe menu.

* Pite z gołąbków posypane nasączonymi w likierze rodzynkami w łagodnej polewie z morożek. Jagnię pieczone w całości z dodatkiem rozmarynu i migdałów, podawane z żurawiną, świeżymi pędami bambusa i ziemniakami Lacoste. Peklowane filety z siei w sosie estragonowym special, kromki z farszem pokrzywowym i ziemniaki. Sorbety i tarty owocowe (specjalność zakładu). Nasączone likierem płonące minicrepes norwegiennes. Deska serów parisiennes. Polecane wina: Cha*teau d'Yquem rocznik 1981, Chateau Montrose rocznik 1970, Chateau Haut Marbuzet rocznik 1975 i Erbachet Marco*brunn Riesling rocznik 1976.

Fredric nagrodził występ brawami. Wack i Tob usiedli przy stole.

O sukcesie „Kasserollen” niewątpliwie zdecydowało wspaniałe komponowane, oryginalne menu. Poza tym porcje były naprawdę spore. Fredric i Tob nie zamierzali brać przykładu z restauracji w stylu nouvelle cuisine, promujących mini*malizm w kwestii ilości podawanego jedzenia. Typowe danie mogło wyglądać na przykład tak: pośrodku wielkiego talerza samotna szyjka rakowa w kałuży nieokreślonego sosu. Za to brzeg talerza ozdobiony kwiatnym wieńcem. Nieraz pewnie zdarzało się, że po spożyciu obiadu w stylu nouvelle cuisine złożonego z siedmiu dań goście czym prędzej biegli do najbliższej budki z hot dogami, by wreszcie zaspokoić głód. W „Kasserollen” było inaczej. „Kasserollen” to było coś nowego. Lepszego. Autentycznego i oryginalnego.

Tego wieczora do restauracji wkroczyła wiosna.

Przyjaciółka Toba cały dzień ozdabiała wnętrze wymyślnymi kompozycjami z polnych kwiatów. Dekoracja była bardzo elegancka, dyskretna, lecz efektowna. Z głośników dobywały się delikatne, czarowne dźwięki fletu Thijsa Van Leera.

* Jutro * powiedział Tob, kiedy już pojawili się pierwsi goście * przynieś tu tę swoją tajemniczą lalę, inni też chętnie na nią popatrzą. Akurat jest wolne miejsce tam, na półce. Zgoda?

* Zgoda * uśmiechnął się Fredric.

Ostatni gość wyszedł tuż przed jedenastą. Tob otworzył napoczętą butelkę Chateau Puy Ducasse rocznik 1978 i z zadowoleniem wciągnął w nozdrza aromat wina. Potem usadowił się przy prywatnym stoliku i zabrał do czytania gazety, którą zostawił jakiś gość. Jego wzrok od razu przyciągnął zajmujący całą pierwszą stronę artykuł.

* Fredric! * krzyknął. * Widziałeś to?! Fredric podszedł i usiadł obok.

* „Tragiczny wypadek” * przeczytał Tob. * „Wczoraj po południu doszło do poważnego wypadku. Prom płynący w kierunku Hovedoya zderzył się z jachtem motorowym. Jeden z pasażerów promu zginął na miejscu. W momencie zderzenia z kadłuba jachtu oderwał się kawałek plastiku i trafił mężczyźną w szyję, przecinając tętnicę, tchawicę i przełyk. Inny pasażer wypadł za burtę, jednak nie odniósł żadnych obrażeń i udało mu się bez przeszkód dopłynąć do brzegu”.

Wack, który właśnie się dosiadł, potrząsnął głową z uśmiechem.

* Dobrze, że to nie byłem ja * stwierdził. * Nie potrafię pływać. Od razu poszedłbym na dno.

* „Ranny mężczyzna, Tarald Thomsen, lat 52, mieszkaniec Hokksund” * czytał dalej Tob * „zmarł po kilku sekundach. Ani prom, ani jacht nie zostały poważnie uszkodzone. Chłopak, który kierował jachtem, zeznał, że w momencie, kiedy chciał zatrzymać jacht, okazało się, że ster nie działa.

Nie ma powodu, by podważać prawdziwość jego słów, jednak jacht skonfiskowano. Zostanie on poddany gruntownemu przeglądowi technicznemu. Policja przesłuchała też pracowników promu. Po zakończonych procedurach prom mógł bez przeszkód kontynuować kurs”.

* Tarald Thomsen z Hokksund * mruknął Fredric. * Chciał wiedzieć, czy kiedykolwiek użyto dział znajdujących się na Akershus przeciw obcym wojskom.

Przez chwilę wszyscy trzej w milczeniu sączyli Puy Ducasse.

* Z Hokksund * powtórzył Fredric.

Wróciwszy do swojego pokoju, Fredric zasiadł w fotelu. Rozparł się wygodnie i zamknął oczy. Było już po północy, nie czuł jednak zmęczenia. Próbował sobie przypomnieć moment wypadku, co udało mu się zobaczyć w chwili, kiedy wypadł za burtę. „W szyi mężczyzny tkwił duży kawał plastiku, jego prawa ręka rozwarła się, wypadła z niej strzykawka i poszybowała w dół, a zaraz za nią torba ze sprzętem fotograficznym”.

A może lalka była w tej torbie? Bardzo prawdopodobne. To by znaczyło, że należała do Taralda Thomsena z Hokksund. Turysty z Hokksund.

Otworzył oczy i napotkał żółte kocie spojrzenie. Podniósł się z fotela, podszedł do półki i ostrożnie wziął lalkę do ręki. Powąchał. Pachniała skórą. Starymi skórą. Uważnie przyjrzał się twarzy, małej dziecięcej twarzyczce w obramowaniu kaptura. Nie był w stanie stwierdzić, z czego ją zrobiono. Naprawdę wyglądała jak obciążona pomarszczoną, skurczoną skórą twarz mumii. Fredric lekko podrapał paznokciem czoło lalki. Powąchał zdrapany kawałek. Pachniał żywicą, ostro i cierpko. Ręce, małe lalczyste ręce, były czarne i niefo*remne, bardziej przypominały szpony. Gdyby nie wiedział, że prawdziwa mumia, ta, którą widział na zdjęciach, jest prawie dwa razy większa, zacząłby wątpić. Byłby skłonny uwierzyć, że

to mumia, skradziona z gabloty w Muzeum Narodowym na Grenlandii. Ktoś ją ukradł i wstawił jej te demoniczne oczy.

Fredric Drum posadził lalkę z powrotem na półce, westchnął ciężko i znowu usadowił się w fotelu. Jednak najpierw przezornie odwrócił go tyłem do półki i siedzącej na niej lalczki. Bał się, że wyobraźnia wymknie mu się spod kontroli.

Niedługo nadejdzie lato. Fredric uśmiechnął się do siebie. Miał się na co cieszyć, rysowała się przed nim niezmiernie kusząca perspektywa bardzo ciekawego zadania. Zadanie czekało trzysta kilometrów od Oslo, ściśle mówiąc, w pewnej górskiej dolinie o nazwie Rodalen. Jesienią dokonano tam sensacyjnego odkrycia, mianowicie zupełnie przypadkowo, podczas jakichś robót, znaleziono dwie mumie bagienne. Było to pierwsze tego typu odkrycie w Norwegii.

Oprócz tego znaleziono też kilka przedmiotów, na niektórych widniały jakieś znaki, być może napisy wykonane pismem obrazkowym. To także było sensacyjne. Obszar, na którym dokonano znaleziska, został ogrodzony i zabezpieczony, a ponieważ zbliżała się zima, postanowiono, że prace archeologiczne zostaną podjęte latem następnego roku. Wtedy przeszuka się teren, wydobędzie mumie z torfowiska i przekaże do laboratorium w celu wykonania dokładnych badań. Frederic Drum miał wziąć udział w tych pracach, rzucić okiem na znalezione przedmioty, może odszyfrować pokrywające je napisy.

Jeszcze kilka tygodni. Fredric zamierzał poświęcić na to swoje wakacje. Miał mu towarzyszyć przyjaciel z Anglii, Step*hen Pratt, archeolog i zapalony wędkarz. W ten sposób chwyci dwie ryby za ogon... Podobno Rodalen to idealne miejsce do wędkowania. Stephen był zachwycony propozycją. Pokoje w hotelu Savalen czekały na nich od pierwszego czerwca.

Trudno wymarzyć sobie jaśniejsze perspektywy na nadchodzące lato, pomyślał Fredric, włączając do łóżka.

Najpierw padała drobna mżawka, potem wyszło słońce. Fredric właśnie stał na Stortorget, wzrok miał utkwiony w iglicy katedry.

Kichnął.

U jego stóp leżały trzy reklamówki pełne warzyw, koniecznych do realizacji wieczornego menu. Iglica na dachu katedry. Oczywiście, jej widok skojarzył mu się z innym obrazem: strzykawką, którą tamten mężczyzna z promu trzymał w ręku.

Dlaczego chował w dłoni strzykawkę? Musiał ją mieć w ręku przez cały czas. Przecież nie wyciągnął jej z torby podczas ich rozmowy. Pytać o historię Akershus ze strzykawką w dłoni?

Może był narkomanem? Albo cukrzykiem? Albo miał taką potworną alergię na morskie powietrze, że wolał być przygotowany na wszelki wypadek. Albo?

Fredric mógł się pochwalić dość bogatą wyobraźnią, więc przyszło mu do głowy sporo różnych odpowiedzi. Żadna jednak nie wydawała się zbyt prawdopodobna.

W końcu oderwał wzrok od iglicy, zebrał reklamówki i skierował się w stronę budki telefonicznej. Miał pewien pomysł.

Otworzył książkę telefoniczną. Drammen. Po chwili udało mu się znaleźć numer, którego potrzebował, numer do chińskiej restauracji. Yon Vuh. Fredric znał trochę tego Chińczyka; z dużym powodzeniem sprzedawał egzotyczne dania mieszkańcom Drammen.

Ktoś podniósł słuchawkę. Fredric powiedział, że chce rozmawiać z Yon Vuh.

* China*fast*food*service*całodobowo. Słucham, czym służyć?

Głos był pełen zapału i uniżonej uprzejmości. Fredric z trudem opanował śmiech.

* Cześć, Vuh * powiedział. * Dzwoni Fredric Drum. Ilu Chińczyków mieszka już w Drammen?

* O nie, to naprawdę Fredric? Mało wino, mało, ale starczy, tak tak. Nudle i bambus, my sprzedawać i sprzedawać,

całodobowo, oni wiedzieć, co dobra jedzenie, te w Dram*men. Przyjechać spróbować?

Kaczka po pekińsku, czekać na ty i ja. Jeden kaczka, siedemnaście dania. I dużo wino. Chińskie wino.

* Wielkie dzięki, Vuh, na pewno wpadnę któregoś dnia. * Fredric chrząknął. * Ale dzwonię w innej sprawie. Chciałem cię o coś zapytać. Pewnie znasz, przynajmniej z widzenia, wszystkich mieszkańców Hokksund, w końcu mieszkasz tam już prawie dwadzieścia lat. Nie słyszałeś przypadkiem o facecie nazwiskiem Tarald Thomsen? Gdzieś koło pięćdziesiątki.

* O tak, Tarald Thomsen * padła szybka odpowiedź. * Tarald Thomsen, biedna mężczyzna. On nieżywa, umrzeć na prom, i dobra.

* I dobra? * powtórzył Fredric z wyraźnie wznoszącą intonacją.

* O tak, ja mówić „i dobra” i myśleć „i dobra”. Dobra dla Tarald Thomsen. On chora, bardzo chora. Rak. Coraz gorsza każdy dzień. Ja mówić: ty jeść dużo bambus, świeża bambus pędy, może ty lepsza. Może, mówić, tylko może. Dziadek Vuh jeść bambus, aż być sto siedem lata i nigdy rak...

* Płynąłem tym samym promem co Thomsen * przerwał mu brutalnie Fredric. * Dlatego cię o niego spytałem. Wiesz, jaki jestem wścibski...

W słuchawce rozległ się przypominający gdakanie śmiech.

* Pielgrzym, Pielgrzym, ty. Nigdy starczy. Ty wiedzieć wszystko. Będzie tak miły i przysłać mi tabliczka ze stara znaki, co dostać ode mnie dawno dawno temu. Ja potrzebować.

* Zamierzam się tym wkrótce zająć, ty stary draniu. Przecież wiem, że to ty ją zrobiłeś.

Zdemaskowałem cię dawno temu. Ale powiedz mi jeszcze na koniec: kim był Tarald Thomsen? Czym się zajmował?

* O, Tarald Thomsen mieć jakaś firma wysyłkowa, prywatna firma, tania zegarki, ozdóbki może. On opowiadać dużo historia, śmieszna historia z dawna czasy na wieś. Ale on biedna, mieć ból, dużo ból, ostatnio robić zastrzyk na okrągło i nie opowiadać śmieszna historia.

Fredric nie odzywał się.

* Halo, Fredric, słyszeć, co Vuh mówić?

* Tak, tak, Vuh. Bardzo mi pomogłeś. Wielkie dzięki. Do zobaczenia. * Fredric odłożył słuchawkę i ruszył dalej.

Przysiadł na obramowaniu fontanny. Właśnie na to liczył. Chińczyk wiedział o wszystkim, co działo się w Hokksund. Zagadka pod tytułem Tarald Thomsen została rozwiązana. Nie było więc nic niezwykłego w tym, że miał w ręku strzykawkę.

Fredric musiał się uśmiechnąć na wspomnienie Yon Vuh; wyobraził sobie, jak z zapałem sprzedaje chińszczyznę. Całodobowo. Był właścicielem kilku restauracji rozsianych po całym

kraju, i oprócz zapachu miał też niezłą żyłkę do interesów. Jednak jakość jego produktów pozostawiała wiele do życzenia. Nie każdy pęd bambusa był świeży i zielony. A tajwańskie wino smakowało gorzej niż jad zmił. Fredrica przeszedł dreszcz. Gdyby nie to straszliwe wino, na pewno chętnie wybrałby się do Drammen, by skosztować kaczkę po pekińsku na siedemnaście sposobów. Teraz musiał jednak zająć się swoją własną restauracją. Dziś on miał za zadanie ułożyć menu i przygotować wieczorną ucztę.

Umieścił lalkę na półce, którą wskazał Tob. Dobrze tam wyglądała, żółte oczy zdawały się uważnie przyglądać wszystkiemu, co dzieje się w restauracji. „Kasserollen” na pewno nie stracił miana oryginalnego miejsca.

Kiedy właśnie był całkowicie pochłonięty przyrządzaniem dość skomplikowanego pasztetu warzywnego, ktoś lekko zapukał w okno od strony Frognerveien. Przez kolorową szybę widać było jedynie zarys sylwetki. Zaintrygowany, podszedł do drzwi i wyjrzał. Młoda kobieta ubrana w lekką błękitną sukienkę zmierzała zdecydowanym krokiem przed siebie. Nie obejrzała się. Fredric potrząsnął głową i wrócił do pracy.

Pół godziny później usłyszał jakiś hałas dochodzący z sali restauracyjnej. Nie spodziewał się tak wcześnie żadnego ze współpracowników. Odłożył nóż.

To była ona. Dama w błękitnie. Stała tam i rozglądała się z zaciekawieniem. Mogła mieć niewiele ponad dwadzieścia lat. Była smukła i piękna, dość chłodną, klasyczną urodą. Otaczała ją aura arystokratycznej wyniosłości. Fredric przeklinał siebie za to, że zapomniał zamknąć drzwi na klucz.

* Zamknięte. Restauracja jest zamknięta * burknął.

Kobieta, lub może raczej dziewczyna, nie zareagowała. Odwróciła się w stronę wiszącego na ścianie obrazu i zdawała się całkowicie pochłonięta jego kontemplowaniem.

* Otwieramy za trzy godziny * powiedział i dodał, podnosząc głos: * Poza tym stolik trzeba zamawiać z wyprzedzeniem. Może pod koniec czerwca znajdzie się jakiś wolny termin.

* Ach tak * odparła obojętnie.

Fredric nie miał więcej pomysłów. Zrobił więc jakąś bezcelową rundkę wokół stojącego na środku czteroosobowego stolika i strzepnął z obrusa nieistniejący pyłek. O co chodzi?

Nie mogłaby już sobie pójść, żeby mógł wreszcie zamknąć drzwi? Zaraz zjawi się tu pół dzielnicy, by podziwiać wiszące w „Kasserollen” dzieła sztuki malarskiej. Odchrząknął znacząco, trzy razy. Nic to jednak nie dało.

W końcu odwróciła się do niego powolnym, wystudiowanym ruchem i uśmiechnęła się.

* Pielgrzym * powiedziała. * A więc to jest twoje królestwo.

* Taaa * potwierdził, składając złożoną już wcześniej serwetkę. O co chodzi? Nie był przyzwyczajony do niezapowiedzianych wizyt swoich wielbicielek, wpadających prosto z ulicy w celu dokonania inspekcji wnętrza restauracji.

* Jestem odrobinę zajęty, ale jeśli chcesz o coś zapytać, to... * przerwał, czekając, co powie.

* Może i chcę... * odparła zagadkowo.

Fredric czuł narastającą irytację. Po pierwsze, nie cierpiał, kiedy ktoś mówił na niego „Pielgrzym”. A po drugie i trzecie, i czwarte, czemu ona w końcu sobie nie pójdzie? Jest tutaj już o wiele za długo. I jest o wiele za piękna.

* Szybko, nie mogę tu stać cały dzień! Sosy mi się poprzy*palają.

* Sosy ci się poprzy*palają * roześmiała się. * A nie możesz po prostu iść do kuchni i trochę je zamieszać? * zaproponowała, jednocześnie wykonując jedną ręką kółka w powietrzu, jakby mu pokazywała, jak należy mieszać w garnku.

Co za bezczelność! Czysta, bezczelna bezczelność! On ma niby iść do kuchni i zostawić ją tu samą, zupełnie obcą osobę! Wokół pełno cennych przedmiotów, dzieła sztuki... Właśnie miał zamiar powiedzieć coś bardzo niegrzecznego, kiedy odwróciła się i lekkim, eleganckim krokiem ruszyła w kierunku drzwi. Nawet nie zdążył otworzyć ust, a już była na ulicy.

Oszołomiony patrzył na drzwi, które dopiero co zamknęła za sobą. W powietrzu unosiła się delikatna woń perfum. Z wściekłością przekręcił klucz w zamku. A to dopiero! Gdyby przynajmniej czegoś chciała! Ale ona nawet o nic nie spytała. Tylko stwierdziła, że to tutaj jest jego królestwo i że mógłby czasem zamieszać sosy! Co ona może wiedzieć na temat sosów?!

Z trudem tłumiąc narastającą agresję, Fredric zabrał się do przygotowywania mięsa z renifera, które prawie tydzień wcześniej wsadził do specjalnej marynaty.

* Spojrzenie jest w równym stopniu skierowane na zewnątrz, jak do środka * stwierdził Tob filozoficznie.

On i Wack siedzieli przy stole, podziwiając dziwną laleczkę.

* Tygrysie oczy * stwierdził Wack. * Tylko mniejsze.

* Coś takiego mogło się przytrafić tylko Fredricowi Niemożliwemu. To naprawdę intrygujące, jakie przygody spotykają tego faceta. Jeśli, oczywiście zupełnie niewinnie, postanawia odbyć banalną wycieczkę promem na pobliską wysepkę, możesz być pewien, że nastąpi katastrofa, na przykład prom zderzy się z jachtem motorowym. I nie będzie to wcale jakaś tam zwyczajna stłuczka. Skąd, przy okazji będzie miało miejsce wiele tajemniczych wydarzeń, między innymi jak królik z cylindra pojawi się pewna cudaczna laleczka. Tysiące ludzi od wieków przeprawia się na Hovedoya i nigdy nie dzieje się tam nic niezwykłego, aż pewnego dnia Fredric Drum wkracza na pokład. To się nazywa mieć szczęście!

* Musi być bardzo stara * stwierdził Wack.

* Wygląda na starą * uściślił Tob. * Nowe ubranie też może wyglądać jak stare łachy.

Wszystko zależy od krawca.

Fredric pokazał im wypisane ręcznie menu, po czym przeczytał na głos:

* Szpik duszony w koniaku pod pierzynką łagodnego sosu śmietanowego z dodatkiem kminku i kopru włoskiego, podawany z cieniutkimi kromkami chleba razowego. Marynowane kiwi z szyjkami homarza w majonezie Andorra. Aurora Bore*alis, czyli grubo krojone kawałki peklowanego mięsa renifera, serwowane z warzywnym pite, słodkim sosem cayenne i krokietami ziemniaczanymi posypanymi serem pleśniowym. Kuleczki z makreli z szafranem przykryte cienkimi kawałkami duszonego w winie halibuta i posypane świeżymi listkami mięty pieprzowej, do tego sos Kragero i glazurowane ziemniaki. Sor*bety i ciasta owocowe. Polecane wina: Chateau Kirwan rocznik 1978, Chateau Petrus rocznik 1981, Coronas Black Label rocznik 1975 oraz Hochheimer Hólle Riesling rocznik 1978".

Tob i Wackradaisan zaczęli bić brawo.

* A ja mam menu na jutro * oświadczył Tob. * Renifer a la Rudolf w sosie ekstra ogonowym, szyjka kiwi duszonego w brązowym serze norweskim, chińskie jajko z niespodzianką, a na deser wisienka na torcie, jabłko Adama i ciastko z dziurką.

* A ja na pojutrze * pochwalił się Wack. * Jagnię coś nie w sosie, w Hali bucie prosię, pod pierzynką krokiety i, niestety, sorbety.

* To ja chyba zrobię karpia * podsumował Fredric.

Po niedługim czasie zaczęli przybywać goście. Panowie musieli przerwać uroczą konwersację i wziąć się do roboty.

Było prawie wpół do dwunastej. Wszyscy goście już poszli. Znowu siedzieli we trzech przy stole, jednak tym razem nie było im do śmiechu. Panowała przytłaczająca cisza. Wydarzyło się coś, w co trudno im było uwierzyć. A jednak.

Lalka zniknęła.

Ktoś ją ukradł, niemalże na ich oczach. Ktoś z piętnastu gości, którzy tego wieczora odwiedzili restaurację.

* Była tu jeszcze za kwadrans dziesiąta * stwierdził Wack. * Jestem tego absolutnie pewien. Doskonale zapamiętałem ten moment. Spojrzałem na nią i wydawało mi się, że lalka skinęła głową w moją stronę, jej głowa jakby opadła odrobinę, a potem znów się podniosła.

* To dlatego, że stara skóra reaguje na zmiany temperatury * wyjaśnił Tob.

* Za kwadrans dziesiąta? Małżeństwo z Anglii wyszło wcześniej. Zostaje trzynastu podejrzanych * powiedział Fredric.

Wackradaisan zaczął, dodając od siebie komentarze, czytać na głos nazwiska osób, które dokonały rezerwacji na ten wieczór.

* Markgaard. Dwie osoby, małżeństwo, po pięćdziesiątce. Wing. Czterech yuppie. Strasund. Małżeństwo z córką, na oko dziesięcioletnią. Hobson. Anglicy, wyszli około wpół do dziesiątej. Hartmann i Nordlie z przyjaciółkami, razem cztery osoby. Pili dużo wina. To wszystko.

Fredric sprawdził daty. Wszystkie zamówienia złożono cztery tygodnie wcześniej, więc kradzież na pewno nie została zaplanowana. Nikt nie przyszedł specjalnie po to, by ukraść lalkę.

* Taaa. Mały Eskimos kłania się i znika * powiedział Tob. * Nic na to nie poradzimy. Mam nadzieję, że będzie mu dobrze u nowego właściciela.

* Pewnie ktoś ukradł lalkę po drodze do toalety. Półka wisi niedaleko * stwierdził Wack.

* Możliwe, wszystko możliwe * mruknął Fredric. * Jedno wiadomo na pewno: ktoś był wyjątkowo bezczelny.

Na tym zakończyli. Cóż więcej można było powiedzieć na ten temat?

To był chyba najcieplejszy maj w historii, zupełnie niewiarygodny. Miał szansę zapisać się w dziejach meteorologii jako trwający bez przerwy, stabilny wyż. Oby, pomyślał Fredric Drum. Do wyjazdu zostały niecałe dwa tygodnie.

Był piątek, mieszkańcy Oslo zapełnili okoliczne plaże, zmęczeni obchodami niedawnego Święta Konstytucji. Fredric miał tego dnia wolne, postanowił jednak wpaść na chwilę do „Kasserollen”. Musiał odnaleźć swoje notatki na temat kultury plemion północnosyberyjskich, a ściślej mówiąc, pewnego pisma, którego jedne cechy przypominały znaki chińskie, a inne mongolskie. Fredric zamierzał rzetelnie przygotować się do wyjazdu. Było wczesne przedpołudnie. W restauracji panował miły chłód. Fredric zaczął przeglądać notatki.

Nagle zadzwonił telefon.

Fredric podniósł słuchawkę i wziął do ręki długopis.

* Dzień dobry, chciałem zamówić stolik * usłyszał męski głos.

* Mamy wolny stolik w czwartek, 29 maja. Ktoś zrezygnował z rezerwacji. To pierwszy wolny termin.

* W takim razie niech będzie * odparł mężczyzna. * Moja żona i ja jesteśmy tacy ciekawi pańskiej restauracji, a wcześniej nie...

* Ile osób? * przerwał mu Fredric, który tylko marzył o tym, by jak najszybciej wrócić do pracy.

* Tylko moja żona i ja.

* Nazwisko?

* Markgaard.

Mężczyzna zamówił stolik na siódmą. Fredric wszystko zapisał i ruszył z powrotem do swoich notatek.

Nagle przystanął. Markgaard. Czy nie brzmi to przypadkiem znajomo? Tego dnia, kiedy zniknęła lalka... Przerzucił kartki książki zamówień. No jasne! Małżeństwo nazwiskiem Markgaard było tu tamtego wieczora. Co chciał powiedzieć mężczyzna? „Jesteśmy tacy ciekawi pańskiej restauracji, a wcześniej nie...”. Był wściekły na siebie, że nie pozwolił mu dokończyć.

Pospiesznie nagryzmolił liścik do Toba, zebrał ze stołu notatki i odłożył z powrotem na półkę, a potem wyszedł.

To jakaś bzdura. Nie powinien więcej się nad tym zastanawiać. To była tylko lalka, ktoś ją sobie wziął i już. Powinien raczej pomyśleć o czekającym go wyjeździe.

Tyle że Fredric Drum z natury był bardzo, bardzo ciekawski.

Sprzęt. Musi skompletować przed wyjazdem sprzęt. Porządny sprzęt wędkarski, tak jak mu kazał Stephen Pratt. Wędkę muchową i tak dalej. Stephen miał fioła na punkcie wędkowania. Fredric raczej nie mógł się pochwalić bogatym doświadczeniem w tej dziedzinie.

Podjechał tramwajem do Teatru Narodowego. Pamiętał, że na Storrtingsgaten jest sklep sportowy.

Sprzedawca był bardzo uprzejmy i kompetentny. Pomógł Fredricowi wybrać kołowrotek, wędzisko i kilka rodzajów linek. Przypony i pudełka. Podbierak, wadery. Powoli na ladzie zaczynało brakować miejsca. Niewiarygodne, jakich ilości sprzętu wymaga ten sport!

* No, to mamy prawie wszystko * oświadczył sprzedawca. * Jeszcze tylko najważniejsze.

* Aha * powiedział Fredric. Pomyślał, że musi mieć głupią minę. Usiłował zgadnąć, co to może być, ale niczego nie udało mu się wymyślić.

* A może sam je pan robi?

* Co!?! * wyrwało się Fredricowi.

* Muchy. Sam pan robi muchy?

Muchy. No tak, oczywiście. Fredric musiał się uśmiechnąć. Ależ on głupi. Zapewnił, że absolutnie nie robi samodzielnie much.

* Nord*osterdal? Mówił pan chyba, że wybiera się do Nord*Osterdal. Zobaczmy, co tu mamy. * Sprzedawca wyciągnął kilka pudełek i wysypał ich zawartość na ladę.

To były prawdziwe maleńkie dzieła sztuki, we wszystkich możliwych barwach. Niektóre tak małe, że ledwie było widać haczyk. Że też można złapać rybę na taki maleńki haczyk.

Sprzedawca wyrzucił z siebie cały szereg dziwnych, niewiele mówiących Fredricowi nazw.

W końcu wybrał kilka much, które, jego zdaniem, Fredric absolutnie powinien zakupić.

* „Jungle Cock”. Najlepsza na świecie uniwersalna sztuczna mucha. Obowiązkowa na pstrąga. „Black Gnat”. Gwarantowane, że pstrąg się na nią złapie. Oraz „Super Norka”. Tę muchę sporządził sławny wędkarz Erling Sand. Świetna na te tereny, na które pan się wybiera. Należy do niej używać haczyków numer dwanaście i piętnaście.

Fredric skinął głową. Całkowicie zgadzał się ze sprzedawcą. Wziął po pięć sztuk każdego z trzech poleconych przez sprzedawcę rodzajów plus kilka innych w wyjątkowo ładnych kolorach. Pstrągi z Rodalen na pewno są wrażliwe na kolory.

Trudno byłoby mu zabrać się z tymi wszystkimi zakupami, więc wrócił do pensjonatu taksówką. Ustawił sprzęt w wolnym rogu pokoju, po czym zasiadł do lektury na temat mumii bagiennych znalezionych na terenie Europy.

Po jedenastej stwierdził, że najwyższy czas zadzwonić do restauracji. Odebrał praktykant.

Fredric poprosił do telefonu Toba.

* Przeczytałeś wiadomość ode mnie?

Przez chwilę po drugiej stronie było cicho. Wreszcie Tob powiedział:

* To, co było pod spodem, znajdzie się na wierzchu, to, co było na wierzchu, znajdzie się pod spodem.

* Aha * potwierdził Fredric. Dotarła do niego głębia przesłania.

Po czym Tob powiedział, że zadzwonił do pana Markgaar*da, by potwierdzić rezerwację.

Okazało się, że to ten sam Mark*gaard, który figurował na liście tego wieczoru, kiedy zniknęła lalka. Zamówili z żoną stolik, jednak po drodze, właściwie już przed samymi drzwiami, zaczęli ich jacyś ludzie, para, jak się okazało, Amerykanie. Zaoferowali im pięćset koron, jeśli zechcą odstąpić im zamówiony stolik. Tłumaczyli, że to ich ostatni wieczór i że byliby bardzo zawiedzeni, gdyby przed wyjazdem nie udało im się odwiedzić słynnej restauracji „Kasse*rollen”. Państwo Markgaard zgodzili się, oczywiście nie biorąc za

to żadnych pieniędzy. W końcu mieszkają w okolicy i mogą chodzić do „Kasserollen” tak często, jak im się zamarzy. Tak to właśnie było.

Tak to właśnie było.

Fredric Drum odłożył słuchawkę, poszedł do łazienki i wypił trzy szklanki wody, jedną po drugiej.

Fredric widzi jakiś cień, łamie pewien szyfr i kosztuje wyborczego wina

W soboty i niedziele restauracja była zamknięta. Sobotnie popołudnie postanowił Fredric spędzić na łonie natury. Wybór padł na Frysję, jedno z uroczych miejsc, w jakie obfituje Oslo i okolice, i które tak chętnie odwiedzają letnią porą mieszkańcy stolicy. Tu, w jeziorze Maridal bierze początek rzeka Aker, najpierw wije się leniwie pośród łąk, by wkrótce nabrać tempa i popędzić dalej pod postacią niewielkich kaskad i wodospadów.

Fredric zaopatrzył się w koc, ręczniki, zapas dobrych serów, owoce i butelkę wina stołowego, a do tego kilka książek na temat kultury Inuitów na Grenlandii i Półwyspie Labrador.

* Jagnię coś nie w sosie, w Hali bucie prosię, pod pierzyn*ką krokiety i, niestety, sorbety * mrucał do siebie zadowolony, czekając na autobus numer osiemnaście. Wierszyk wyjątkowo przypadł mu do gustu, bardzo lubił go recytować.

Wyż się utrzymywał. Zapowiadano wczesne lato w całej południowej części Norwegii.

Nie próbował już rozwiązać zagadki tajemniczego zniknięcia laleczki.

Cóż, pewnego dnia po prostu się pojawiła i tak samo niespodziewanie zniknęła. Jak mawiał Tob, „Kiedy nasza ciekawość zaczyna ignorować naturalne granice, rzeczywistość może nagle wydać się bardzo tajemnicza i złożona”. Co mogło służyć jako trafne podsumowanie tej sprawy.

Kiedy autobus dojechał na miejsce, Fredricowi było już trochę za ciepło. Marzył tylko o jednym: by skoczyć do chłodnej, krystalicznie czystej wody. Co zrobił kilka minut później.

Znalazł sobie niekrepujące miejsce na uboczu, pod drzewem, po słonecznej stronie niewielkiego wzniesienia. Rozłożył koc, jedzenie i wino postawił w cieniu.

Położył się na brzuchu i otworzył jedną z książek.

Jednak jego myśli krążyły w zupełnie innych rejonach niż chłodne wybrzeża Grenlandii i Labradoru. Zawędrowały mianowicie do Francji, do St. Emilion. Spotkał tam dziewczynę, piękną i niezwykłą dziewczynę. Genevieve. Została wplątana w rozgrywający się wokół jego osoby dramat. Nic o tym nie wiedział, nic nie mógł na to poradzić. Skończyło się to tragicznie. Genevieve została otruta. Teraz leżała w szpitalu, jej mózg był uszkodzony w nieodwracalny być może sposób. Nikt nie potrafił powiedzieć, czy kiedykolwiek wróci do zdrowia. Nieco ponad pół roku temu, w listopadzie, dała znać, że żyje, przysłała piękną kartkę, na odwrocie której widniały słowa: „Pamiętam cię, Fredric. Teraz cię pamiętam. G.B.”. Może skreśliła je jej ręka. Może ktoś jej pomógł. Od tego czasu nie miał od niej żadnych wieści.

Rozpakował ser i otworzył wino. Powinna tu teraz być. Leżeć na kocu obok niego i cieszyć się wiosną, śmiać się. Nigdy nie zapomni jej śmiechu.

Jednak sentymentalny nastrój w przypadku Fredrica Drum zawsze prędko mijał. Znow się wykapał, a potem został bramkarzem. Zwerbowała go grupka grających opodal w piłkę chłopców. Każdy gol witany był dzikimi wrzaskami radości.

Tarcza słoneczna wisiała coraz niżej nad horyzontem. Wina w butelce też było coraz mniej.

Książki przeczytane, a ser zjedzony. Fredric miał ochotę wyjść gdzieś wieczorem. Tob pojechał ze swoją dziewczyną na Kragera, nie przychodził mu do głowy nikt inny, z kim mógłby się umówić. Będzie musiał sam coś wymyślić. W porządku, pytanie tylko, co.

* Jagnię coś nie w sosie, w Hali bucie prosię, pod pie*rzynką krokiety i, niestety, sorbety * powtarzał sobie w myślach w autobusie powrotnym. Nagle wpadł na dobry pomysł.

„Smuget”, właśnie tam się dziś wybierze. Było to modne miejsce dla nieco starszej młodzieży. Może nawet zaryzykuje taniec z jakąś uroczą damą?

Nucąc, ogolił się i wklepał w skórę znaczne ilości wody po goleniu Aramis. Następnie otworzył butelkę burgunda i wyciągnął się w fotelu.

* Mieszkanie w pensjonacie, mój drogi Fredricu * powiedział do siebie * to najlepsza pożywka dla najbardziej nieprawdopodobnych fantazji. Na przykład przepala się żarówka, wracasz wieczorem i okazuje się, że już ją zmieniła jakaś niewidzialna ręka.

W tym momencie zgasła lampa na biurku.

Fredric zrobił głupią minę i z niedowierzaniem utkwił wzrok w żarówce. A to dopiero.

Nalał sobie jeszcze wina i pograżył się w rozmyślaniach. Czasami odnosił wrażenie, że jego myśli mają w sobie jakąś moc. Niebezpieczną moc. Bezwiednie wyjął z kieszeni kryształową gwiazdę i zaczął obracać ją w palcach. Zbliżył ją do oczu i odwrócił się do okna. Światło przeniknęło przez kryształ.

Ukazały się zupełnie niezwykle barwy, żółć i lodowaty błękit. Błękitne promienie wibrowały, raz były mocniejsze, raz słabsze. Fredric zrozumiał: coś się wkrótce stanie i będzie to coś nieprzyjemnego.

Nagle wstał. Zupełnie niespodziewanie przypomniał mu się wiersz, na który natrafił kilka lat wcześniej. Wyrecytował głośno:

Gdzie mróz wieczny skuwa ziemię
Gdzie końca nie widać zimy
Tu mieszka teraz me plemię
z żywej przegnane doliny.

Strasne cierpimy tu męki,
Śmierć dzieci, choroby i głód.
Myśliwy wziął broń do ręki
I przysiągł, że pomści swój lud.

Wiersz stworzył zapewne jakiś anonimowy Eskimos. Został spisany pod koniec dziewiętnastego wieku przez pewnego duńskiego etnologa. Fredric znalazł wiersz w książce o religiach ludów pierwotnych.

Usiadł z powrotem w fotelu, nieco oszołomiony. Nie miał zbyt dobrej pamięci, nieczęsto zdarzało mu się recytować wiersze. Nie przypuszczał też, że zapamiętał eskimoski poemat, nigdy do niego nie wracał, aż do tej chwili.

Łyknął nieco wina.

* Podświadomość * zamruczał. * Podświadomość to niesamowita siła.

Ostatnio tyle czasu poświęcił historii z lalką i studiom nad ludami zamieszkującymi północne rubieże świata, że to po prostu musiało się stać, jakieś zapomniane eskimoskie wątki musiały powrócić. Tak właśnie działała podświadomość.

Ale jak wytłumaczyć przepaloną żarówkę i dziwne promienie:

Przed wejściem do „Smuget” stała spora kolejka. Przez moment Fredric zastanawiał się, czy warto się męczyć. Jednak kolejka sprawnie posuwała się do przodu i po niedługim czasie Fredric znalazł się w środku.

Na szczęście był wolny stolik w rogu. Fredric najlepiej się czuł, siedząc w rogu. Zamówił Beaujolais Thorin.

Kiedy dotarł do połowy butelki, jego samotność przerwało pojawienie się trzyosobowej grupki, złożonej z dwóch dam i sympatycznego niewysokiego facecika z brodą i w okularach, który zapytał, czy można się przysiąść. Fredric skinął głową w odpowiedzi.

* Fredric Drum * przedstawił się. Zdawał sobie sprawę, że przedstawianie się z imienia i nazwiska w takim miejscu i ludziom, z którymi przyszło mu przypadkowo dzielić stolik, może się wydać dość sztywne i staromodne, jednak nie miał zamiaru rezygnować z tego zwyczaju.

* Marie * odpowiedziała jedna z kobiet.

* Ja mam na imię Solvor * powiedziała druga.

* A ja Bjorn Lennart. * Brodacz uklonił się.

Niewiele słów padło przez kolejną godzinę, za to, jak zauważył Fredric, wino płynęło równym strumieniem.

Powoli i niepostrzeżenie Fredric wciągnął się do rozmowy, stało się to zapewne dzięki jowialnej naturze Bjorna, który od czasu do czasu zwracał się bezpośrednio do niego. A kiedy Bjorn zaprezentował ciętą i błyskotliwą analizę dzieł jednego z modnych ostatnio pisarzy, całe towarzystwo o mało nie umarło ze śmiechu. Fredric, zwijając się w trudnych do opanowania drgawkach, potracił niechcący butelkę z czerwonym winem, na szczęście najgorszy atak w porę minął i udało mu się chwycić ją na ułamek sekundy przedtem, nim wylądowała na kolanach Solvor.

I tak płynął czas.

Fredric zatańczył kilka razy ze Solvor. Dziewczyna pochodziła ze środkowej Norwegii, a teraz pracowała w Oslo, w kancelarii adwokackiej Smaland, Ravn i Lammedal. Muzyka była zdecydowanie za głośna i w końcu Fredric uznał, że najlepiej będzie wrócić do stolika.

* To jak, jutro Hovedoya? * spytała Solvor koleżankę. Marie potrząsnęła głową.

* Nie odważę się wsiąść na prom. A wiesz, że Bjern Lennart znał tego faceta, który zginął? Fredric nadstawił uszu.

* Znałeś go?

* No. Niezły model. Mógłbym opowiadać o nim przez cały wieczór. Tylko że pewnie by was znudził mało urozmaicony program. Zdrowie pań!

Wszyscy zgodnie chwycili za kieliszki.

Kwadrans przed pierwszą Fredric podniósł się i podziękował za wspólnie spędzony wieczór. Świetnie się bawił, czuł się teraz doskonale zrelaksowany. Nieco chwiał się na nogach, a w głowie lekko mu szumiało.

W parku wokół zamku królewskiego pomimo późnej pory było całkiem jasno. Nad brzegiem fosy kilka mew, robiąc straszny wrzask, toczyło brutalną walkę o plastikową torebkę.

Najwyraźniej ptaki nie kładły się spać o tej porze roku.

Fredric długo siedział na ławce, czekając, aż świeże, łagodne powietrze rozjaśni mu nieco w głowie. Już niedługo będzie wdychać jeszcze świeższe i znacznie ostrzejsze powietrze. Do wyjazdu zostało tylko kilka dni.

Na ziemi leżało coś czerwonego. Bezwiednie podniósł tajemniczy przedmiot. Okazało się, że to resztki balonika. Fredric natychmiast wetknął palec wskazujący w czerwoną gumę.

Kiedy był już przed drzwiami pensjonatu, zauważył nagle, że za krzakami bzu znika jakiś cień. Fredric odczekał chwilę, jednak nic więcej się nie wydarzyło. Pewnie akurat ktoś z mieszkańców pensjonatu przechodził koło okna i jego cień padł na ziemię.

Fredric wszedł do środka, przebył korytarz i stanął przed swoimi drzwiami. Kiedy je otworzył, poczuł dziwną woń, jakby spalenizny. Rozejrzał się dokoła, jednak nie zauważył niczego podejrzanego. Wszystkie urządzenia elektryczne były wyłączone. Zapach dochodził pewnie z zewnątrz, przez uchylone okno. Podszedł do biurka, ciekaw, czy niewidzialna ręka, zawsze czujny duch*rezydent, zmienił żarówkę.

Wcisnął wyłącznik. W tej samej chwili trysnął snop niebieskich iskier i Fredric Drum z hukiem padł na ziemię.

Kiedy odzyskał przytomność, miał straszny ból głowy. Prawa ręka mocno szczypała. Poczuł mdlący zapach spalonej gumy. Spojrzał na swój palec wskazujący. Wisiały na nim jakieś przysmażone na brązowo gumowe strzępy. Palec był czerwony i cały w pęcherzach.

Balonik. Przekłuty balonik, który znalazł w parku. O ile dobrze pamiętał, wsadził go na palec wskazujący. Tym samym palcem włączył potem lampę. Sabotaż. Ktoś chciał go zabić.

Z trudem dźwignął się z podłogi i chwiejnym krokiem ruszył do łazienki. Łyknął cztery tabletki od bólu głowy i wypił trzy szklanki wody. Potem jeszcze dwie. A potem z jego ust buchnął wodospad, jasnoczerwona fontanna, prosto w otwór klozetu. Czerwone wino, woda i

zółć. Zaczął kaszleć, kichać i pluć. W końcu wyrzucił wszystko z siebie i opadł na deskę klozetową.

Siedział tak pół godziny, podpierając głowę rękami.

Potem wstał, znowu połknął kilka tabletek, które popił dwiema szklankami wody. W porządku. Usunął przyklejone do palca strzępy balonu, posmarował palec maścią i zabandażował. Palec strasznie swędział i aż pulsował z bólu. Za to ból głowy na szczęście minął. O wpół do trzeciej siadł w fotelu i uznał, że czuje się znacznie lepiej. Postanowił rozejrzeć się dokładnie po pokoju. Był bowiem pewien, że pod jego nieobecność byli tu jacyś nieproszeni goście.

Jak to mówią, aniołowie pijanych na rękach swych noszą. Gdyby nie podniósł z ziemi balonika i nie wsadził go na palec, już by nie żył. To pewne. Byłby skłonny uwierzyć, że czuwa nad nim jakaś siła wyższa, gdyby nie to, że miał zwyczaj podnosić z ziemi pęknięte baloniki i wsadzać w nie palec wskazujący. Tylko w ciągu tego miesiąca zdarzyło się to co najmniej trzy razy. Było coś takiego w strukturze miękkiej gumy, czemu nie potrafił się oprzeć.

Pokoje, które zajmował Fredric, znajdowały się na pierwszym piętrze. Wychodząc, zostawił uchylone okno. Wystarczyło przystawić jakąś skrzynię i bez trudu można było dostać się do środka. Wyjrzał, ale nie udało mu się dostrzec żadnych śladów cudzej obecności. A jednak ktoś był w jego pokoju. Ktoś, kto niezłe znał się na elektryczności.

Jego wiedza na ten temat ograniczała się do eksperymentów w bardzo wczesnej młodości, kiedy to, jak większość kolegów usiłując zgłębić tajemnice fizyki, parę razy został porażony prądem, zupełnie niegroźnie. Czuł lekkie wibracje, ale nie było mowy o snopach iskier. Czy właściwie można doznać śmiertelnego porażenia, dotykając zwykłych wyłączników i kontaktów? Wątpliwe.

Przystąpił do dokładnych oględzin lampy, starając się niczego nie dotykać. To było to: z tyłu doczepiono cienki przewód, który ciągnął się po ziemi wzdłuż listwy przy ścianie i dalej, za regał, na którym stał mały telewizor podróżny. Fredric wysunął go i zobaczył, że przewód znika pod tylną pokrywą aparatu, przy której najwyraźniej ktoś grzebał, gdyż ledwie trzymała się na poluzowanych śrubach.

No tak. Fredric pokiwał głową.

Każdy chyba doskonale wie, że napięcie we wnętrzu odbiornika telewizyjnego jest bardzo wysokie. I że ktoś niedoświadczony absolutnie nie powinien przy nim majstrować, bo może się to bardzo źle skończyć. Przewód podłączono więc z jednej strony do telewizora, a z drugiej do wyłącznika lampy. Tego na pewno nie wymyślił żaden amator.

Fredric nagle zdał sobie sprawę, że pułapka była genialna. Gdyby poniósł śmierć w wyniku porażenia, po jakimś czasie, na przykład teraz, morderca mógłby znów wejść przez okno do środka, usunąć przewód i w ten sposób zatrzeć wszelkie ślady popełnionego przestępstwa. Zdarzały się w końcu przypadki śmierci przez samospalenie. W śmierci Fredrica nie dopatrzono by się więc niczego niezwykłego.

Morderca na pewno jest gdzieś w pobliżu, może na przykład siedzi w ogrodzie i nie może się doczekać, by zobaczyć rezultat swojej pracy.

Morderca!

Fredric poczuł zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Chwycił go strach, jaki ostatnio czuł dwa lata temu. Chwycił i nie chciał puścić. Absurd. To jakiś absurd!

* To niemożliwe, Fredricu, może już starczy * powiedział do siebie.

Ogarnęło go potworne zmęczenie. W głowie miał mętlik. Musiał się położyć.

Sprawdził dwa razy, czy drzwi i okna są na pewno porządnie pozamykane, po czym ostatkiem sił umył zęby i wskoczył pod kołdrę.

Ktoś pukał do drzwi. Fredric przetarł oczy i spojrzął na zegarek. Dochodziła pierwsza.

Wygramolił się z łóżka i powłókł do drzwi.

* Tak? * zapytał zaspanym głosem.

* Chciałam tylko spytać, czy pan Drum życzy sobie zjeść dziś obiad?

Gospodyni. Co niedziela to samo pytanie.

* Nie * odpowiedział.

* Dziękuję. Gospodyni poczłapała dalej.

Podczas porannej toalety starał się nie patrzeć w lustro. Bał się, że zobaczy we własnych oczach pytanie, na które nie znał odpowiedzi. Potem zjadł śniadanie złożone z jabłka i garści suchych herbatników i wyszedł.

Zaczął bez celu krążyć ulicami. Przystanął przed jakąś galerią, ale nie zdołał nawet zarejestrować nazwiska wystawianego malarza. Po jakimś czasie zorientował się, że doszedł do parku Frogner. Przeszedł przez główną bramę i ruszył prosto przed siebie. Zatrzymał się dopiero przy Monolicie. Usiadł, opierając się plecami o miękkie kształty granitowej rzeźby. Chętnie poznałby odpowiedź na cztery pytania:

1. Kto ukradł lalkę? 2. Skąd o niej wiedział? 3. Dlaczego ktoś próbował go załatwić? 4. Czy istnieje jakieś powiązanie między pytaniami numer jeden i dwa a pytaniem numer trzy?

Najprawdopodobniej lalka należała do Taralda Thomsena. Wypadła z otwartej torby, kiedy ta wylądowała w wodzie. On zaś uderzył w lalkę głową, złapał ją i schował za pazuchę. Kto mógł to zobaczyć? To możliwe, że chłopak prowadzący jacht, on też pluskał się wtedy w wodzie. Możliwe też, że załoga promu. I bardzo możliwe, że ktoś w czekającym na nabrzeżu tłumie. Stało się to zaledwie kilka metrów od brzegu.

Jeśli tak właśnie było, oznaczałoby to, że na Taralda Thom*sena ktoś czekał, że miał się z kimś spotkać. Co nie było nieprawdopodobne i właściwie całkiem zwyczajne. Tak więc osoba X zobaczyła, jak Fredric Drum wyłowił lalkę i zabrał ją ze sobą. Ta osoba musiała też coś o nim wiedzieć, musiała wiedzieć, gdzie pracuje. Podczas rozmowy na łodzi policyjnej wspomniał o „Kasserollen”. Słyszeli to dwaj pracownicy promu, chłopak z jachtu oraz czterech policjantów. Jednak równie dobrze osoba X mogła go po prostu rozpoznać. W końcu od czasu do czasu w gazetach pojawiała się jego zdjęcie.

W ten sposób uzyskał satysfakcjonującą odpowiedź na pytanie numer dwa.

Gorzej było z numerem jeden. Nie miał żadnych punktów zaczepienia, oprócz przypuszczenia, że mogła to zrobić para, której Markgaardowie odstepili stolik. Anonimowe małżeństwo koło pięćdziesiątki, czyli mniej więcej w wieku Taralda Thomsena. Mówili po angielsku, z amerykańskim akcentem, jak twierdził Markgaard. Ani Fredric, ani Tob czy Wack w ogóle ich nie zapamiętali. Zawsze mieli pełne ręce roboty, byli całkowicie skupieni na pracy, na przygotowywaniu i podawaniu jedzenia, goście byli dla nich raczej anonimowi. Gdyby Fredric spotkał teraz tamtych Amerykanów na spacerze, gdyby w tym momencie stanęli tuż obok, na pewno by ich nie rozpoznał. Niestety, tak to było.

Co za idiota z niego, że poprzedniego wieczora nie wypytał tego faceta poznanego w „Smuget”, Bjorna Lennarta, o Taralda Thomsena. Chyba znał go całkiem dobrze. „Niezły model”, stwierdził. Mógłby opowiadać o nim przez cały wieczór. Fredric wiele by teraz dał, aby usłyszeć jedną z tych historii.

Czy Bjorn Lennart mówił, jak ma na nazwisko? Fredric myślał intensywnie, jednak poprzedni wieczór pamiętał jak przez mgłę, między innymi przez to, co się wydarzyło później.

Dziewczyna w błękitnej sukience! Zupełnie o niej zapomniał! Tajemnicza istota, która niespodziewanie zjawiała się w restauracji, a najpierw zapukała w okno, i przez którą zapomniał zamknąć drzwi. Czego ona właściwie chciała? Rozglądała się dookoła. Wiedziała, że mówią na niego „Pielgrzym”. Długo patrzyła na wiszący na ścianie obraz. Ale czy zauważyła lalkę? Czy przyszła właśnie po to, by ją odnaleźć?

* To możliwe, to całkiem możliwe, Fredricu * zamruczał do siebie.

Kiedy tak siedział pogrążony w rozmyślaniach, poczuł nagle, że humor znacznie mu się poprawił. Fredric Drum nie potrafił zamartwiać się bez końca, nawet jeśli wokół niego robiło się naprawdę gorąco.

Na pytanie numer jeden na razie nie był w stanie znaleźć odpowiedzi.

Pytanie trzecie miało nieco inny charakter i tak naprawdę było zupełnie bez sensu. Dlaczego ktoś próbował go zabić? Po prostu najwyraźniej od jakiegoś czasu komuś bardzo zależało na tym, by Fredric Drum zniknął z tego świata. Cień, który zobaczył przed wejściem do pensjonatu, należał do mordercy.

To możliwe, że miał wrogów. Dał się poznać w raczej zamkniętym i dość konserwatywnym środowisku stołecznych restauratorów dzięki swoim kontrowersyjnym poglądom. Nie krył się też z dość specyficznymi zapatrywaniami na kwestię win. Poza tym miał zatwardziały przeciwników wśród naukowców. Wprawdzie od kiedy wyniki jego prac zaczęły cieszyć się coraz większym uznaniem, wielu z nich musiało przyznać się do porażki, nadal jednak kilku uparciuchów twierdziło, że Fredric Drum to amator i szarlatan. Dla nich nie liczyły się dowody, ich przekonania były raczej kwestią wiary.

Wrogowie. Jakoś nadal nie bardzo do niego docierało, że ktoś chciał go zabić.

Restauracja była prawdziwą żyłą złota. Jego udziały też były sporo warte. Gdyby zginął nagłą śmiercią, kto odziedziczyłby jego majątek? Fredric nie miał rodziny, najbliższym krewnym był dziesięć lat starszy bratanek, mieszkający gdzieś na południu kraju. Fredric nie widział go od lat. Poza tym bratanek był człowiekiem bardzo religijnym, świeckim kaznodzieją czy kimś w tym rodzaju. Spłodził siedmioro dzieci czy coś koło tego. Torstein Drum był człowiekiem szczęśliwym, który uznał za swoje zadanie na tym świecie powołanie do życia jak największej liczby mini*Drumów, potencjalnych nowych głosicieli Słowa Bożego.

Na pytanie numer trzy też nie znalazł odpowiedzi.

Ostatnie pytanie mogło okazać się najważniejsze: czy istnieje jakiś związek między tym, że wszedł w posiadanie lalki, a wydarzeniami ostatniej nocy?

W pierwszym odruchu miał ochotę od razu odpowiedzieć „nie” i skreślić pytanie z listy.

Wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne. Jednak nie zrobił tego. Pytanie domagało się odpowiedzi.

Gdyby ktoś nastawał na jego życie, kiedy lalka znajdowała się w jego posiadaniu, byłby w stanie przyjąć taką wersję. Być może lalka przedstawiała dużą wartość dla jej właściciela lub właścicieli. Być może był to jakiś święty przedmiot, a on go jako osoba zupełnie niepowołana zbezczeszczył. W końcu nie brakuje świrów na tym świecie. Być może ktoś byłby w stanie za to zamordować. W każdym razie nie była to zwyczajna lalka. W żadnym wypadku. Ale jaki byłby sens zabić go po tym, jak lalka wróciła do prawowitego właściciela?

Straszne cierpimy tu męki, Śmierć dzieci, choroby i głód. Myśliwy wziął broń do ręki i przysiągł, że pomści swój lud.

Znów usłyszał w myślach te wersy. „I przysiągł, że pomści swój lud”. Czy ktoś chciał się na nim zemścić? I za co?

Na pytanie numer cztery można by odpowiedzieć twierdząco. Znaczyłoby to, że komuś bardzo się nie podobało, że lalka na jakiś czas dostała się w jego ręce. Że być może stanowiła jakiś symbol albo znak czegoś, o czym Fredric nie powinien się dowiedzieć.

Na wspomnienie żółtych oczu przeszedł go dreszcz.

Nie, Fredric Drum nie potrafił długo się czymś zadręczać.

Mimowolnie się uśmiechnął. W mitologii eskimoskiej istniało wyobrażenie krainy śmierci, do której trafiali leniwi myśliwi. Miejsce to nazywało się Krainą Przygnębionych. Zmarli przez całą wieczność mieli siedzieć w cieniu, z głowami zwieszonymi na piersi, mając za pożywienie jedynie przelatujące motyle.

Motyle na Grenlandii, zaśmiał się Fredric. No, to nadwaga raczej im nie groziła.

Dotarł do Majorstuhuset. Na szczęście restauracja była otwarta. Fredric porządnie zgłodniał. Zamówił kotlet, jajko sadzone, rogalik oraz czajniczek herbaty. Zajął miejsce przy stoliku w rogu.

Zabrał się za jedzenie i po jakimś czasie poczuł się niemal beztrosko i radośnie. Być może przyczyniła się do tego właśnie podjęta decyzja. Zamierzał się przeprowadzić. Do innego pensjonatu. Już o wiele za długo mieszkał w „Morganie”. Przeprowadzi się nazajutrz. A dzień później, we wtorek, przyjedzie Stephen Pratt i zaczną się wakacje. Fredric zniknie z miasta. Morderca tak łatwo go nie znajdzie.

Podjął jeszcze jedną decyzję: nie opowie Tobowi o wydarzeniach ostatniej nocy. Nie chciał, by jego przyjaciel, obdarzony mocno refleksyjną naturą, zamartwiał się i spędzał czas na rozmyślaniach, podczas gdy on będzie bawił się w najlepsze na wakacjach.

Wrócił do pensjonatu i zawiadomił właścicieli, że wyprowadza się następnego dnia. Nie powiedział, dokąd. Nikt też

o to nie spytał. Potem zadzwonił do pensjonatu „Star” na Geitmyrsveien. Ku swojej wielkiej radości dowiedział się, że mają wolne dwa pokoje z łazienką i że w każdej chwili może się wprowadzić. Podczas częstych wędrówek po mieście Fredric miał zwyczaj zwracać uwagę na miejsca, w których mógłby kiedyś ewentualnie zamieszkać. „Star”, położony na Sankt Hanshaugen, wypatrzył kilka tygodni temu. Teraz nadszedł odpowiedni moment.

Musiał znaleźć sobie jakieś zajęcie. Do wyjazdu zostały jeszcze dwa dni. Chciał się czymś zająć, nie myśleć o tym, że jego życie jest w niebezpieczeństwie. Chwycił papiery, przybory do pisania i starą drewnianą tabliczkę, na której widniały jakieś znaki. I wyszedł.

Zbliżała się czwarta, kiedy wszedł do holu hotelu Continental. Dopełnił formalności i dostał klucz do pokoju numer 404.

Z szerokim uśmiechem na twarzy zasiadł przy biurku i rozłożył książki na blacie. Przed nim leżała stara, pokryta dziwnymi znakami tabliczka. „Dostać od dziadka Vuh, który dostać od swojej dziadek”, powiedział Vuh. Tabliczkę podobno znalazł ktoś dawno temu w jakiejś grocie na północy Chin.

Yon Vuh, ten stary blagier! Ponad cztery lata temu wręczył Fredricowi tę bezcenną tabliczkę, mówiąc: „Ty przeczytać, ty dostać ta prawdziwa skarb”. Fredric Drum miał przeczucie, że ów „skarb” wyszedł spod rąk samego Yon Vuh. Właśnie dlatego tabliczka tak długo leżała w szufladzie. Z Yon Vuh był prawdziwy żartowniś.

Zaraz wszystko się okaże.

Najpierw Fredric wziął do ręki skalpel i wyciął maleńki fragment w rogu tabliczki. Ukazało się jaśniejsze drewno. Fredric pokiwał głową.

Znaki wydawały się znajome, nie przypominały jednak żadnego z pism używanych na terenie Azji. Zajrzał do kilku książek i po chwili trafił na właściwy trop. Jego uśmiech robił się coraz szerszy.

Świetna zabawa. Zabawa i niezła gimnastyka mózgu. Fredric przepadał za takimi grami intelektualnymi. Gdyby nawet wokół waliło się i paliło, niczego by nie zauważył, pochłonięty rozwiązywaniem zagadki. Tajemnicze znaki nagle ożyły. Fascynujące. Wzory, skojarzenia, składnia, symbolika. Wszystko zaczynało układać się w logiczną całość, był bliski objawienia. W takich chwilach czuł, że udało mu się nawiązać kontakt z czymś większym od siebie, że właśnie odczytuje pradawne pismo Kosmosu, że rozmawia ze Stwórcą. To było niemal jak religia.

Bez wątplenia z Yon Vuh był niezły blagier i żartowniś. Jednak trzeba przyznać, że wykonał kawał dobrej roboty. Przemieszczał stare symbole z kultury śródziemnomorskiej z piktogramami własnego autorstwa i w ten sposób stworzył wprost genialne znaki. Za to inne cechy napisu zdradzały, że na pewno nie jest bardzo stary. Mimo to Fredric był przekonany, że nawet wytrawni badacze daliby się w pierwszej chwili nabrać. Oczywiście, datowanie

metodą C*14 wykazałoby, że to falsyfikat, ale gdyby Vuh użył innego materiału, na przykład kamienia... Wtedy prawdopodobnie żaden naukowiec nie podejrzewałby, że padł ofiarą żartu. Mijały godziny, Fredric był coraz bliżej rozwiązania zagadki. Pomyślał, że o wiele trudniej jest złamać taki kod niż go wymyślić. Pocziwy Vuh potrzebował tylko kilku reprodukcji, odrobiny fantazji i sporej dawki cierpliwości.

Wreszcie udało mu się odczytać cały tekst. Oto, jak brzmiał: KACZKA PO PEKIŃSKU LEPSZA NIŻ BARANINA W KAPUŚCIE.

Zadowolony z rezultatu, skreślił krótki liścik, włożył go do koperty, a na kopercie umieścił adres chińskiej restauracji w Drammen. „Drogi Yon Vuh!”, napisał. „Absolutnie się z tobą zgadzam. Kaczka po pekińsku jest o wiele lepsza niż baranina w kapuście. Pozdrawiam, Fredric Drum”.

To była zabawa. Niestety, skończyła się. Teraz musiał wymyślić coś innego. Może kino? Nie, nie miał ochoty na kino. Teatr? Niedziela, zamknięte. Było dopiero wpół do dziewiątej, za wcześniej, by iść spać. Poza tym zgłodniał. Czuł się jak czarna dziura.

Jako właścicielowi restauracji nieczęsto zdarzało mu się chodzić gdzieś na obiad. Kiedy już to robił, to w celach szpiegowskich, by podpatrzeć menu i karty win. Może się czymś zainspirować. Teraz miał ochotę pójść do restauracji tylko po to, by pójść do restauracji. I nawet wiedział, do której.

„d'Artagnan” mieścił się na Nedre Slottsgate. Było to skromne, dyskretne miejsce, tak jak „Kasserollen”. Żadnych krzykliwych szyldów. „d'Artagnan” był jednak starszy. Wcześniej uchodził za najlepszą restaurację w mieście. Cóż, teraz znajdował się na drugim miejscu. Fredric pamiętał, że mieli otwarte w niedzielę.

Dość dobrze znał Freddie'ego Nielsena, uważał go za swojego przyjaciela. Kiedy Freddie otwierał „d'Artagnana” z zamiarem stworzenia wyjątkowego, ekskluzywnego miejsca, koledzy z branży sceptycznie kręcili głowami. Ale Freddie się nie przejmował, stwierdził, że zamierza utrzymać wysoki poziom, nawet jeśli przyjdzie mu skończyć w biedzie, bo woli to niż zbijać miliony na budce z hot dogami. Był prawdziwym artystą kuchni.

Żaden z kelnerów nie znał Fredrica. Mógł w spokoju zagłębić się w lekturze menu i karty win. Po chwili dokonał wyboru. Zdecydował się na bardzo dobre wino, Chateau Rauzan*Gassies rocznik 1979.

Kiedy został mu już tylko deser, przywołał kelnera i zapytał, czy mógłby porozmawiać z maitre de cuisine, monsieur Nielsenem.

Po chwili z kuchni wynurzył się Freddie w sięgającej sufitu czapie kucharskiej i powitał Fredrica szerokim uśmiechem.

* Myślisz, że wystarczy włożyć taką wielką czapę i od razu jest się dobrym kucharzem, co? * zaczął mu dokuczać Fredric.

Mistrz patelni zajął wolne krzesło i w szalonym tempie zaczął wyrzucać z siebie coś po duńsku. Fredric zrozumiał prawie wszystko.

* Wybieram się na urlop * oświadczył Fredric. * Dzisiaj odpoczywam.

* Doskonale! W takim razie mogę cię zatrudnić na cały tydzień!

Żartowali tak sobie i śmiali się z łączących ich trosk i radości, aż w końcu Freddie stwierdził, że musi wracać do garów.

* Byłeś może kiedyś na Grenlandii? To tam, gdzie mieszkają Eskimosi * spytał nagle Fredric.

* Jasne * odparł Freddie. Nim poszedł do szkoły gastronomicznej, przez całe dwa lata pracował na statku u wschodnich wybrzeży Grenlandii.

Fredric skinął głową. Sam nie wiedział, czemu zadał to pytanie. Chyba miał ostatnio jakąś obsesję na punkcie Grenlandii.

Freddie wstał, życząc mu udanych wakacji. Ruszył już w kierunku kuchni, kiedy nagle Fredricowi coś się przypomniało.

* Tak przy okazji, dobrze się bawiłeś na degustacji wina na Hovedoya?
Freddie odwrócił się, zdumiony. ** Na jakiej degustacji?

Fredric Drum doznaje ciężkiego urazu na tle estetycznym, łowi bardzo dziwną rybę i widzi w wodzie jakąś twarz

Właśnie minęli Rene i zmierzali dalej na północ doliną Osterdalen. Prowadził Fredric. Samochód był wypożyczony; jeden z tych nowoczesnych jeepów, toyota z napędem na cztery koła.

Poprzedniego wieczora Fredric odebrał przyjaciela z lotniska. Stephen Pratt zjawił się obciążony sprzętem turystycznym i z całym pękiem wędek. Był wysoki, trochę niezgrabny, miał zielone oczy i sztywne żółtawe włosy.

Śmiejąc się, pokazywał błyszczące olśniewającą bielą duże zęby. A śmiał się często. Poznali się kilka lat wcześniej w związku z pewnym projektem w Ameryce Południowej i zaprzyjaźnili. Stephen gościł w Norwegii już trzeci raz. Jednak dopiero teraz miał tu spróbować swego ulubionego hobby, wędkowania.

Stephen był archeologiem, pracował na Uniwersytecie Cambridge. Obszar jego zainteresowań stanowiła cywilizacja inkaska. Na temat dawnych dziejów Skandynawii wiedział niewiele, by nie powiedzieć nic. Od razu dał do zrozumienia, że od bagnisk i mumii o wiele bardziej interesują go jeziora o kuszących, porośniętych trzcina brzegach i pływające w nich górskie pstrągi.

Oczywiście. Fredric również nie zamierzał poświęcić całego wyjazdu na grzebanie w mokradle. Jego zadania były dość ograniczone: miał tylko przyjrzeć się znalezionym w bagnie przedmiotom, szczególnie tym, na których widniały jakieś znaki.

* God damn, lots of pinewood here * stwierdził Stephen.

Stephen nie kłamał, Osterdalen obficie porastały lasy sosnowe. Wszędzie wokół rozciągały się nieskończone połacie lasów, tylko od czasu do czasu mignęła jakaś stacja benzynowa. Nuda.

Kiedy dotarli do Koppangen, okazało się, że jest objazd przez Rendalen z powodu robót drogowych koło Atny. Rzucili okiem na mapę i stwierdzili, że nie nałożą tak dużo drogi. Objazd kończył się w jakiejś miejscowości leżącej nieco na północny wschód od Savalen. Toyota z niskim pomrukiem posuwała się naprzód po wyboistej drodze, Stephen podskakiwał na siedzeniu. Fredric był w wyśmienitym humorze. Przed wyjazdem nie zdarzyło się już nic nieprzyjemnego, a przeprowadzka do nowego pensjonatu poszła świetnie. Wynajął samochód i sam się wszystkim zajął. Nie miał ochoty podejmować ryzyka i powierzać w obce ręce swojej cennej kolekcji. Poza tym nie chciał, by jakieś niepowołane osoby znały jego nowy adres. Najpierw podjechał w górę Maridalen i zatrzymał się na jakimś parkingu, skąd miał dobry widok na okolicę. Dopiero upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, zjechał w dół, na Sankt Hanshaugen. A teraz wyjechał na całe trzy tygodnie. Tylko Tob i Wack znali miejsce jego pobytu. Oraz kilku profesorów z instytutu archeologii.

Zatrzymali się nad jeziorem Storsjoen w Rendalen.

* Głębokie jezioro * stwierdził Stephen. * Pewnie jest tu mnóstwo pstrągów.

Fredric nie wiedział. Nie znał tych okolic. O ile dobrze pamiętał, wcześniej przejeżdżał tędy tylko raz, w dodatku bardzo dawno temu.

Pasma wysokich gór zasłoniło słońce. Droga pięła się w górę i była pełna ostrych zakrętów.

* Niedługo dotrzemy do tej małej miejscowości przy torach kolejowych, a stamtąd to już tylko rzut beretem do Sava*len * wyjaśnił Fredric.

Savalen to dość duże jezioro, położone na wysokości około 700 metrów nad poziomem morza, mniej więcej siedemdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Roros. Na jego północnym krańcu leży hotel Savalen, w którym mieli mieszkać

Stephen i Fredric. Fredric słyszał, że te strony nie są zbyt licznie odwiedzane przez turystów. W głąb doliny Rodalen, gdzie znaleziono mumie, rzadko ktoś dociera. Nie ma tam nawet normalnej drogi, tylko stary szlak pasterski. Od biedy można by wjechać tam traktorem. Zobaczymy, jak sobie poradzi to*yota, pomyślał Fredric.

Teraz droga prowadziła w dół. Ujrzeni zabudowania. Miejscowość przecinała błękitna wstęga Glommy.

* Pięknie * stwierdził Stephen.

Miejscowość nazywała się Tynset. Postanowili poszukać jakiejś kawiarni. Byli głodni i nie wiedzieli, czy w hotelu dostaną coś do jedzenia zaraz po przyjeździe.

W milczeniu przejechali gęsto zabudowanymi uliczkami, rozglądając się uważnie dookoła.

* „Górska Chata”? * Fredric potrząsnął głową. Miejsce na pewno nie przypominało chaty, ale w każdym razie można tam było dostać coś do jedzenia.

Zaparkowali.

Podczas posiłku od czasu do czasu spoglądali za okno. Miejscowość przedstawiała dość intrygujący widok. Długo żaden z nich się nie odzywał. Nagle Fredric dziwnie poblądł. Utkwił wzrok w jednym z budynków, wysokim na co najmniej kilkanaście pięter kolosie o barwie rdzy.

* You arnt sick? * spytał Stephen, zaniepokojony.

* Każdy, kto spojrzy na te okazy sztuki architektonicznej, musi się gorzej poczuć * wymamrotał Fredric. * Widziałeś kiedy coś podobnego? Duże pudełka, małe pudełka, szerokie pudełka, płaskie pudełka. Jedno jest pewne, miejscowy architekt opanował najważniejsze figury geometryczne: kwadrat i sześciąt.

Stephen zaczął się śmiać.

* Impossible in old England. Mamy szczegółowe przepisy, jeśli chodzi o budowanie w takich miejscach. Władze dbają o to, by małe miejscowości zachowały swój charakter. Impossible.

* Myślę, że to jedyne takie miejsce w Europie. Ja w każdym razie nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Ciekawe, co na to mieszkańcy.

* Może są dumni. Nowoczesne, proste formy, rozumiesz *powiedział Stephen.

Zanim ruszyli dalej, postanowili zrobić rundkę po uliczkach Tynset. Wszędzie to samo: architektura totalnie pozbawiona jakiegokolwiek charakteru i stylu. Fredric nie miał pojęcia, że w Nord*Osterdalen można natrafić na takie miejsca.

* Spójrz na ratusz * powiedział, pokazując skinięciem głowy rdzawego giganta.

W końcu stwierdzili, że na dziś starczy estetycznych doznań, i ruszyli w dalszą drogę. Z głównego szlaku skręcili w stronę osady o nazwie Fadalen. Jeziora na razie nie było widać. Hotel leżał na samym końcu doliny.

Las sosnowy zastąpiły jasnozielone brzożowe zagajniki. Kiedy mijali niewielkie jezioro, Stephen wpatrywał się z uwagą w powierzchnię wody.

Przyroda była wspaniała, okolica raczej pustawa. Rzeczywiście, masowa turystyka na razie nie groziła tym terenom.

Po chwili toyota zajęła na parking przed hotelem. Tuż obok połyskiwało błękitem jezioro.

* Voila * powiedział Fredric i wyskoczył z samochodu. Stali, wciągając w płuca świeże górskie powietrze. Rozkoszowali się chwilą.

W koronach porastających zbocza brzożek toczyło się intensywne ptasie życie. Sądząc po odgłosach, harcowały tam co najmniej cztery kukułki.

Po zachodniej i północnej stronie błękitniały górskie szczyty; nie były to ostre zębate granie, lecz miękkie kopuły o stokach łagodnie schodzących w doliny. A po stronie południowej rozciągało się jezioro. Ani jedna drobna zmarszczka nie mąciła powierzchni wody. Pachniała ziemia i porosty.

Nagle spojrzeli na siebie i równocześnie wybuchnęli śmiechem. Zaczęli płasać dokoła, boksując się po przyjacielsku. Nie posiadali się z radości. Nareszcie. Znowu byli jak mali chłopcy. Najbliższe trzy tygodnie miały im upłynąć na beztroskiej zabawie.

W recepcji powitał ich właściciel. Nazywał się Parelus Hegtun. Uścisnął im dłonie i życzył miłego pobytu. Fredric zauważył, że z jego oczami dzieje się coś bardzo dziwnego.

Każdy z nich dostał osobny pokój z widokiem na jezioro. Właściciel hotelu zaprosił ich na powitalnego drinka i drobną przekąskę.

Fredric i Stephen wzniesli toast i nałożyli sobie wędlin ze stojącego przed nimi półmiska.

Właściciel opowiadał żywo

o historii Savalen i okolicy. Nieco dalej na południe przez jakiś czas mieszkał poeta Arne Garborg. Dom się zachował, muszą go koniecznie zobaczyć.

Fredric tłumaczył wszystko na angielski. Od czasu do czasu łapał się na tym, że przypatruje się dziwnym oczom Hegtu*na. Chwilami wyglądały jak skromniejsze wydanie oczu komika Marty'ego Feldmana, ale już w następnej chwili zupełnie normalnie. Hegtun mógł mieć około pięćdziesiątki, był blady, pulchnawy, jednak niepozbawiony uroku osobistego. Sprawiał wrażenie solidnego, uczciwego człowieka.

Potem zostali sami i postanowili rozejrzeć się trochę po hotelu.

Na parterze znajdowała się recepcja, salonik z kominkiem

i duża, jasna sala restauracyjna. Niżej sala taneczna i bar. Na lewo od wejścia wspaniały ogród zimowy z oczkiem zielonkawej wody pośrodku.

Gości nie było raczej zbyt wielu. W recepcji panował znikomy ruch, przed budynkiem stało zaledwie kilka samochodów.

Stephen i Fredric uznali, że to wielka szkoda. Hotel nie zasługiwał na to, by świecić pustkami. Ze świeczką szukać tak pięknie położonego miejsca. Widocznie ta wspaniała okolica nadal stanowiła turystyczną terra incognita.

Było wczesne popołudnie, nie czuli się jakoś specjalnie

zmęczeni po podróży. Stephen postanowił poćwiczyć na sucho zarzucanie wędki. Trzeba trenować przeguby, oznajmił. Fre*dric ruszył więc samotnie na dalszy obchód hotelu.

Przejrzał jakieś broszury i przyjrzał się gościom, stwierdzając, że większość to Szwedzi.

Potem wyszedł na zewnątrz i usadowił się w słońcu. Nie mógł nasycić się widokiem. Zagadał przechodzącego obok właściciela, który przysiadł w fotelu obok.

* Pewnie słyszał pan o mających się niedługo rozpocząć pracach archeologicznych. Widać stąd Rodalen?

Oczy Hegtuna rozbiegły się w przeciwnych kierunkach, by po chwili wrócić do normy.

Potrząsnął głową.

* Nie * odparł. * Ale ten szczyt, tam, to Rodalshoa, najwyższa góra w okolicy. Za nią leży Rodalen. Żeby tam dotrzeć, trzeba przejechać tą drogą kilka kilometrów, aż na południowy kraniec jeziora, a za Kolbotn skręcić w prawo. Droga jest zamknięta, trzeba zapłacić za przejazd. Kończy się przy gospodarstwie Stalbergsetra i mniej więcej w tym miejscu zaczyna się też Rodalen.

Fredric skinął głową.

* Wybiera się pan tam? * zapytał Hegtun, robiąc straszego zęza.

* Całkiem możliwe * odparł.

* Radzę uważać na mieszkańców. Nie przepadają za turystami bezczeszczącymi ich Świętą Dolinę.

* Co takiego? * zdziwił się Fredric. * To w tym kraju nie można już swobodnie chodzić po górach? To chyba coś nowego.

Hegtun rozłożył ręce, po czym potarł oczy dłońmi.

* Wie pan, miejscowi są trochę dziwni. A ci z Rodalen to już wyjątkowo podejrzliwi. W każdym turyście widzą potencjalnego złodzieja owiec. Szczególnie są uczuleni na wędkarzy.

Chyba sam pan rozumie, że porządna wędka z grubą żyłką może posłużyć do wielu różnych celów. Na przykład haczyk może się zaplątać w owczą wełnę.

* Ach, tak. * Fredric wątpił, by jego delikatna wędka nadawała się do łapania owiec.

* Bywało * ciągnął Hegtun, który najwidoczniej dopiero zaczynał się rozgrzewać * bywało, że strzelali za ludźmi ze sru*tówki. Nie raz widziałem, jak turyści wracali śmiertelnie przerażeni po wycieczce do Rodalen.

* To przykre * stwierdził Fredric.

* Cholernie * potwierdził Hegtun, znowu potarł oczy i powiedział, zmieniając temat: * Już dwa razy byłem u okulisty z tymi moimi oczami i nikt mi nic nie potrafi powiedzieć. Lecą mi jakby do środka, już prawie nie mogę czytać.

*Oj

* Mówią, że to stres. Bóle w karku, ucisk na nerw. Masaże trochę mi pomagają, ale na krótko. Prowadzenie hotelu tutaj, w górach, to nie bułka z masłem, zapewniam pana.

* Pewnie nie * powiedział Fredric zdawkowo. Temat raczej średnio go interesował.

Hegtun podniósł się i wrócił do swoich zajęć.

Dziwny typ, pomyślał Fredric. Jakby próbował odwieść go od pomysłu wycieczki do Rodalen.

Prace rozpoczynały się za kilka dni. W weekend hotel miał przeżyć najazd całej drużyny archeologów i innych specjalistów. Niektóre osoby znał z nazwiska, nikogo osobiście. Przedmioty, które miał zbadać, od razu zabrano z miejsca wykopalisk i odwieziono do analizy w laboratorium Wyższej Szkoły Technicznej w Trondheim. Fredric był bardzo ciekaw wyników datowania radiowęglowego. Metoda ta pozwalała z dużą dokładnością określić wiek znalezisk. Margines błędu wynosił plus*minus pięćdziesiąt lat na ponad tysiąc. Oprócz wyników badań Fredric miał również dostać do ręki same przedmioty. Zazyczył sobie wyraźnie, by dostarczono mu oryginały.

Szu szu szu, raz po raz rozlegał się przenikliwy świst. Garstka widzów z podziwem obserwowała, jak wysoki, trochę niezgrabny Anglik trenuje zarzucanie wędki. Eleganckim, płynnym ruchem prowadził linkę, która zakreślała wdzięczne pętle w powietrzu, nie dotykając ziemi. Jednocześnie przy każdym odrzucie do tyłu z kołowrotka wysnuwało się coraz więcej linki. W końcu Anglik wykonał ostatni wyrzut i linka jak błyszcząca struna ułożyła się na ziemi.

Rozległy się oklaski, Stephen uklonił się, po czym zebrał wypuszczoną linkę do długości szczytówki.

Dwadzieścia metrów. Co najmniej, ocenił Fredric, który z uśmiechem przypatrywał się wyczynom przyjaciela z wysokości schodów. Wyglądało to dość komicznie, wędkowanie na suchym łądzie! I wydawało się dość łatwe, nabrał ochoty, by też spróbować.

Przyniósł z pokoju sprzęt i usiadł na schodach. Ciekawe, co się z tym robi? Długo majstrował przy wędzisku. W końcu udało mu się zamontować kołowrotek. Wyciągnął trochę linki.

Jeszcze przypon. Sprzedawca w sklepie powiedział mu, że do linki należy przyczepić specjalną żyłkę, tak zwany przypon, do której dopiero doczepia się sztuczną muchę. Jeszcze trochę wysiłku i sprzęt był gotowy. Przypon miał długość dwóch metrów, żyłka była cieniutka, niemal niewidoczna. Zdecydował się na ciemną i smutną muchę. Nazywała się chyba „Black Gnat”.

Ruszył w stronę miejsca treningowego, które wybrał sobie Stephen. Na jego widok przyjaciel zwinął sprzęt i posyłając mu bardzo znaczące spojrzenie, usunął się z placu boju.

Fredric chwilę pomyślał, po czym zaczął, kręcąc korbką, wypuszczać linkę z kołowrotka, tak jak to podpatrzył u Stephena. Kiedy uznał, że już starczy, uniósł wędkę. Była leciutka, lekka jak piórko. Kilka razy poruszył nią ostrożnie w górę i w dół. A potem zamachnął się, wkładając w to wszystkie siły.

Pod wpływem gwałtownego ruchu linka uniosła się w powietrze, po czym wylądowała na głowie Fredrica, układając się we wdzięczne zwoje, haczyk zaś utkwiał w jego trampku. Rozległy się śmiechy i brawa. Najgłośniejszym śmiał się Stephen.

Jak to się mogło stać? Fredric uwolnił się z plątaniny i zwinął linkę. Dziwne, na razie nie zrobił się ani jeden supeł.

* Do you need some instruction?! * krzyknął Stephen.

Fredric zdecydowanie potrząsnął głową. Sam sobie poradzi!

Po chwili poczuł, że jest gotowy, by podjąć kolejną próbę. Tym razem był bardziej ostrożny, wyciągnął wędkę nieco bardziej do przodu, po czym ruchem prawej dłoni zakreślił szeroki łuk, co w jego mniemaniu miało oznaczać eleganckie wyrzucenie linki do przodu. Rezultat był dość podobny, z tą różnicą, że teraz linka wylądowała nie na jego głowie, tylko obok buta. Kolejnych pięć prób zakończyło się podobnie. Za każdym razem mucha lądowała nie dalej niż jakieś pół metra od niego. W końcu się poddał.

Kolejna godzina była pełna wrażeń: dostał pierwszą lekcję szlachetnej, acz niełatwej sztuki wędkowania muchowe*go. Stephen okazał się cierpliwym i skutecznym nauczycielem. Najważniejsze jest ułożenie ramion. Cała tajemnica kryje się w ruchu przegubu. Nie należy machać ramieniem jak, nie przymierzając, jakiś dyskobol.

Po skończonej lekcji Fredric wykonał kilka rzutów, które ewentualnie można było uznać za udane. Najdłuższy wyniósł trochę ponad dziesięć metrów. Ale najlepsze, że Fredric stwierdził, że to doskonała zabawa.

* To jeszcze nic * powiedział Stephen * poczekaj tylko, aż naprawdę pójdziemy na ryby!

Później zeszli do baru. Sącząc drinki, żartowali i opowiadali sobie różne historyjki. Obaj wiele przeżyli, o wiele więcej niż większość mężczyzn w ich wieku. Różne wydarzenia wycisnęły na nich swe piętno, rzadko w ich rozmowie padały głupie teksty i tanie dowcipy. Przy stoliku obok siedziało czterech Szwedów, nie do końca trzeźwych. W samym kącie, przy dwuosobowym stoliku z tabliczką „prywatne”, właściciel hotelu, Parelus Hegtun, oraz jakiś barczysty mężczyzna po pięćdziesiątce. Panowie byli pogrążeni w rozmowie. Siedzieli za daleko, by Stephen i Fredric mogli usłyszeć, na jaki temat. Ich własna rozmowa przybrała zdecydowanie uczony charakter.

* Ludy, które niegdyś osiadły na terenach arktycznych, należą do rasy mongolskiej * powiedział Stephen. * Ergo są pochodzenia wschodnioazjatyckiego.

* Właśnie * skinął głową Fredric. * I dlatego można by oczekiwać, że powinni posługiwać się jakimś pismem.

* Ale się nie posługują.

* Nie, ale założmy * to tylko taka luźna hipoteza * że niektóre z tamtejszych społeczności, dziś już wymarłe, posiadały jakiś rodzaj pisma, które jednak nie rozwinęło się i nie zostało przekazane dalej, ponieważ w wyniku zmiany warunków klimatycznych cała społeczność wyginęła.

* I? Nie jestem pewien, czy wiem, dokąd zmierzasz.

* Nie uderzyło cię nigdy, że niektóre znaki runiczne do złudzenia przypominają zdobienia charakterystyczne dla sztuki lapońskiej?

* Teraz, kiedy to mówisz... * zastanowił się Stephen.

* Założmy, że te mumie znalezione w Rodalen * zapalił się Fredric * mają więcej niż tysiąc lat. Założmy, że przedmioty, którym mam się przyjrzeć, są jeszcze starsze, i że to cenne, święte przedmioty, które przechodziły z pokolenia na pokolenie.

* No i? * Stephen słuchał, zaintrygowany.

* Wtedy wyryte na nich napisy czy znaki stanowiłyby niezbity dowód na to, że istnieją powiązania między pismem runicznym i plemionami pochodzenia mongolskiego, które żyły niegdyś na terenach arktycznych.

* To byłaby prawdziwa sensacja * stwierdził Stephen * gdyby się okazało, że Eskimosi z początku zamieszkiwali Półwysep Skandynawski i dopiero w późniejszym okresie dotarli do Grenlandii i Alaski, przesuając się coraz dalej na północny wschód. No, no. Była to raczej mało prawdopodobna teoria. I trzeba by prawdziwego zbiegu okoliczności, żeby akurat znaleziska z Rodalen miały ją potwierdzić. Jednak Fredric miał dziwną słabość do nieprawdopodobnych hipotez. Między właścicielem hotelu a jego towarzyszem wywiązała się właśnie burzliwa dyskusja. Nagle Hegtun podniósł się z miejsca, blady jak ściana. Jego oczy wyglądały wprost nieprawdopodobnie, każde patrzyło pod zupełnie innym kątem. Demonstracyjnie wyszedł z baru. Jego towarzysz tylko pokręcił głową z rezygnacją.

* Something is upsetting the boss * stwierdził Stephen lakonicznie i przeciągnął dłonią po swoich szpeceniastych włosach.

Drogę zamykał czerwony szlaban. Na stojącej obok tabliczce było napisane: OPLATA 15 KR. Wygramolili się z jeepa. Na przyczepionej do tabliczki kartce ktoś ołówkiem napisał: „Licencję wędkarską na obszar Rodalen można nabyć w Gar*dvikssetra". Obok wisiało pudełko z kopertami oraz coś w rodzaju skrzynki na listy. Fredric wyjął kopertę, napisał na niej swoje nazwisko i numer rejestracyjny samochodu, włożył do środka piętnaście koron i wrzucił kopertę do otworu skrzynki. Potem podniósł szlaban i pojechali dalej. Zatrzymali się przy gospodarstwie i Fredric poszedł kupić kartę, a Stephen został w samochodzie. Fredric zapukał. Przy jednym z zabudowań kręciła się starsza kobieta i kilkoro dzieci, jednak nikt nie zwracał na niego uwagi. Przyłożył ucho do drzwi i zapukał jeszcze raz. W środku zaczął szczekać pies. Ktoś zaklął soczyście, kazał psu zamknąć mordę i drzwi się otworzyły. Wpadł z nich pies rasy elghund, rzucił się na Fredrica i zatopił kły w nogawce jego spodni.

* Ragg, do nogi. Cholerny kundel! * zajazgotało w ciemnej sieni.

Fredric kopniakiem odtrącił psa. Nie przegryzł materiału, ale i tak bolało. Na szczęście pies zniknął we wnętrzu domu.

W drzwiach ukazała się przedziwna istota. Fredric odruchowo zrobił dwa kroki w tył. Stał przed nim prawdziwy olbrzym. Miał co najmniej dwa metry wzrostu, jego ramiona szczelnie wypełniały drzwi. Jednak to nie rozmiary mężczyzny tak przestraszyły Fredrica. Najgorsza była jego twarz pokryta brodawkami, dziwnymi naroślami i kępkami włosów, w takich ilościach i rozmieszczonych w takich miejscach, że trudno było cokolwiek innego w tej twarzy dostrzec. Dopiero po chwili Fredric dopatrzył się ust i nosa. Spod zmierzwionej grzywy spoglądały niesymetrycznie umieszczone oczy. I nie wyglądały przyjaźnie. Fredric nie potrafiłby powiedzieć, ile lat ma mężczyzna, ale klóciłby się, gdyby ktoś zaproponował sto pięćdziesiąt. Pradziad wszelkich chorób, dżumy i cholery, pomyślał, cofając się jeszcze kilka kroków, kiedy do jego nozdrzy dotarła woń, którą wydzielał stwór.

* Co on za jeden?

Fredric grzecznie poprosił o dwie licencje na obszar Rodalen. Podał mu legitymacje wędkarskie, swoją i Stephe*na. Karty zniknęły w wielkich piąchach, olbrzym odwrócił się i wszedł do środka. Fredric odetchnął. Ludność miejscowa o oryginalnym genotypie, można by powiedzieć. Gdyby tego faceta znaleziono w trzęsawisku, pewnie wzięto by go za cenne znalezisko archeologiczne.

Czas mijał i Fredric zaczął się niecierpliwić. W końcu olbrzym znowu ukazał się w drzwiach. Ku swej wielkiej radości Fredric dostrzegł, że trzyma w pięści dwie karty.

* Sto koron sztuka.

Fredric podał mu dwieście koron i wyciągnął rękę po karty, jednak olbrzym nie zamierzał mu ich od razu wręczyć. Zmierzył go niezbyt przyjaznym spojrzeniem.

* Ale będą tylko ryby łowić?

Fredric nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć.

* Od owiec, niech się trzymają z daleka! * co powiedziawszy, podał mu karty.

Fredric wreszcie dotarł do samochodu, z ulgą opadł na siedzenie i otarł krople potu z czoła.

Kiedy już nieco ochłonął, zdał Stephenowi relację z tego dziwnego spotkania. Stephen zaśmiał się i wyraził swoje, może nie do końca uzasadnione, zdanie na temat norweskich pastuchów. Nim ruszyli, Fredric rzucił okiem na kartę. Litera były krzywe i niewyraźne, ale w końcu udało mu się je odcyfrować. Olbrzym nazywał się Stalg Stalgson.

Droga wiła się łagodnie pod górę. Minęli niewielkie wzniesienie, a kawałek dalej opuszczone gospodarstwo. Tam zwirowa droga urywała się. Dalej była tylko ledwie wyjeżdżona, stara wyboista droga gruntowa. Sprawdzili na mapie, że miejsce nazywa się Stralbergsetra. Z prawej strony otwierała się przed nimi szeroka dolina, daleko w dole połyskiwała woda, jezioro za jeziorem, niby sznur pereł.

Rodalen.

Wjechali na drogę gruntową. Jeep podskakiwał na wybojach, a ich ogarniał coraz większy zachwyt. Przyroda nad jeziorem Savalen zrobiła na nich ogromne wrażenie, jednak to było nic w porównaniu z widokami, które teraz roztaczały się przed ich oczami. Dolina była jak objawienie. Rozległa, zielona, o łagodnych zboczach porośniętych brzoźami. Nie przypuszczali, że na takiej wysokości można znaleźć równie rozbuchaną, obfitą roślinność. Jedynym śladem cywilizacji było to opuszczone gospodarstwo, które minęli. Pusto i dziko. Prawdziwy górski raj, oaza spokoju. I te niezliczone jeziora i oczka wodne w dole, nanizane na sznurki górskich rzeczek i strumieni.

Zatrzymali się i wysiedli z samochodu.

* Ta dolina to prawdziwa żyła złota. Jakiś spryciarz z branży turystycznej mógłby zbić na niej niezły majątek * stwierdził Stephen, osłaniając dłonią oczy i rozglądając się dokoła.

Fredric zamordował komara i skinął głową.

* Na razie korzystają owce * powiedział, pokazując na pasące się na pobliskiej łące stadko. Stali, zasłuchani. Dzwonki owiec pobrzękiwały, wesoło szemrał potok. W brzezynie kukała kukulka, w stronę małego oczka wodnego dreptała para pliszek. I bzyczały komary.

Stephen wyjął płyn na komary i porządnie się nasmarował.

* To najpiękniejszy kraj na świecie * stwierdził, podając butelkę Fredricowi. Potem usiedli na kamieniu, by uraczyć się herbatą z termosu.

Fredric rozłożył mapę. Miejsce, gdzie dokonano znaleziska, oznaczył wcześniej krzyżykiem. Leżało kawałek dalej, w głębi doliny. Nie zamierzali dziś go zwiedzać. Nigdzie im się nie spieszyło. Postanowili rozkoszować się pięknem okolicy. Poza tym i tak nie mieli tam nic do roboty, teren był zamknięty, nikt nie mógł wejść, musieli poczekać na pozostałych.

Stephen wpatrywał się jak zahipnotyzowany w leżące poniżej niewielkie jeziorko. Od czasu do czasu kiwał głową z zadowoleniem. Gładką tafłę wody co i rusz marszczyła jakaś drobna fala * tuż pod powierzchnią zerowały ryby. Jeziorko było chyba pełne ryb. Od czasu do czasu dało się słyszeć słabe „plum”, kiedy jakaś większa sztuka podpływała, by się posilić.

Kubek Stephena jakoś dziwnie szybko zrobił się pusty. Anglik nigdy nie pił herbaty w takim tempie. Zazwyczaj powoli smakował każdy łyk, jakby pił szlachetne wino. Jednak tym razem wypił wszystko duszkiem. Fredric zaśmiał się w duchu, chyba wiedział, skąd ten pośpiech.

Przygotowali sprzęt. Fredric dostał ostatnie wskazówki: ma znaleźć takie miejsce, żeby za jego plecami nie rosły żadne krzaki, stanąć blisko linii wody, ale jeśli zauważy rybę niedaleko od brzegu, cofnąć się nieco i zarzucić wędkę z pewnej odległości. I bardzo ważne: kiedy wyczuje branie, musi odrobinę

poderwać wędzisko, czyli zaciąć rybę, aby porządnie nadziała się na hak. Potem trzeba już tylko powoli ściągnąć rybę do siebie i zgarnąć do podbieraka.

Uścisnęli sobie dłonie, mrugnęli okiem na pożegnanie i każdy poszedł w swoją stronę.

Stephen zszedł niżej. Fredric pomyślał, że nie będzie mu przeszkadzał, zaledwie kilkaset metrów dalej leży następne jeziorko. Porośnięty świeżą trawą brzeg wyglądał szczególnie zachęcająco, zwłaszcza dla debiutanta. Zobaczył oczka na gładkiej powierzchni wody i poczuł, że skacze mu ciśnienie. Prawdziwe sportowe emocje.

Otworzył pudełko. Może wypróbować „Super Norkę”? Czy pstrągi lubią norki? Fredric doszedł do wniosku, że nie jest to wykluczone.

Zszedł niżej. Ryby żerowały zaledwie dwa metry od brzegu. Pierwsza próba zakończyła się oczywiście porażką. Linka wylądowała tuż koło jego stóp. Płataninę wieńczyła „Super Norka”. Nowa próba. Trochę lepiej. Linka była napięta, mucha wylądowała pięć metrów od brzegu. Fredric obserwował, jak unosi się na wodzie. Co teraz?

Stał tak, bez ruchu, nie spuszczać z muchy wzroku, minutę, dwie, pięć... Dziwne. Kiedy przyszedł, dokładnie w tym miejscu widział żerujące ryby. A może tutejsze pstrągi nigdy wcześniej nie widziały „Super Norki” i wołały zachować ostrożność? Postanowił zarzucić wędkę nieco dalej. Zwinął linkę i zmienił muchę.

Minęła godzina i nic się nie wydarzyło. Najwyraźniej rybom nie podobały się jego przynęty.

Opracował bardzo nowatorską technikę, która miała zapewnić mu naprawdę dalekie rzuty. Wypuścił linkę z kołowrotka i rozciągnął ją na porośniętym trawą brzegu, ostrożnie, by przypadkiem nie zaplątała się w jakieś źdźbła czy gałązki. Potem zawrócił, wziął wędzisko do ręki i wykonał mocny wyrzut. Rezultat był całkiem zadowalający. Miał jednak pewne wątpliwości, czy Stephen zaakceptowałby tę metodę.

Poza tym okazało się, że ona i tak nic nie daje. Wprawdzie udawało mu się zarzucać wędkę nieco dalej, jednak za każdym razem okazywało się, że ryby pluskają sobie beztrąsko dwa, trzy metry od muchy. A niech to.

W końcu położył wędkę na ziemi. Usiadł na kamieniu i zapatrzył się na własne odbicie w wodzie. „Ku ku, ku ku, ku ku”, drażniła się z nim kukułka.

Dolina miała bardzo ciekawy kształt. Jeden stok, ten od strony szczytu Rodalshoa, był znacznie bardziej stromy. Jednak to nie kształt czynił dolinę tak wyjątkową, a soczysta bujna roślinność porastająca jej dno. Nie zdziwiłby się, gdyby znalezione przedmioty okazały się bardzo stare. Całkiem prawdopodobne, że dawno, dawno temu jacyś ludzie postanowili tu się osiedlić. Po drodze widział sterczące gdzieniegdzie z mokradeł ogromne pnie sosen. Zapewne w okresach ocieplenia klimatycznego rósł tutaj gęsty las sosnowy, a dolina była jeszcze bardziej żyzna. Te pnie mogły liczyć sobie nawet kilka tysięcy lat. Zachowały się doskonale dzięki temu, że leżały w trzęsawisku. Ciekawe, kto wtedy zamieszkiwał te tereny? Jakaś gromada zbieracko*łowiecka? Może całkiem zaawansowana w rozwoju społeczność, kto to wie. Wszystko możliwe.

Śledził spojrzeniem tańczącą na powierzchni wody muchę. Ryzykowna zabawa. Zaledwie zdążył o tym pomyśleć, gdy nagle taflę jeziora przecięła rybia płetwa i mignął żółto*czarny brzuch w czerwone cętki. Fredric aż podskoczył. Ale sztuka! Niestety, nic jej nie grozi z jego strony.

Niestety? Czyżby zrezygnował? Poddał się? Gdzie jego ambicje? Szybko zsunął się z kamienia, podniósł wędkę przygotowaną do rzutu, z linką rozciągniętą według jego nowej metody.

Nagle poczuł, że coś jest nie tak. Przecież mucha prawie nic nie ważyła, a on wyraźnie czuł, że na końcu wędki wisi coś ciężkiego. A potem to coś walnęło go w kark z ohydym, mokrym kłaśnięciem. Fredric stracił równowagę i poleciał do tyłu, ładując rzecz jasna w zwojach linki.

Z niedowierzaniem spoglądał na koniec przyponu, gdzie powinna była tkwić mucha. I owszem, była tam, tylko że w pysku wielkiego, lśniącego pstrąga! Pstrąg! Zaraz, ryba na łądzie? Przecież kiedy rozciągnął linkę, mucha znalazła się w odległości co najmniej piętnastu metrów od brzegu.

Nieufnie powiódł wokół wzrokiem.

I wtedy usłyszał śmiech. Cichy, z trudem tłumiony śmiech, który wyraźnie dochodził z rosnącej opodal kępy brzoźek. Chyba dobrze wiedział, kto się tam chowa.

Spomiędzy drzew wychynęła długa, niezgrabna sylwetka. Anglik trzymał się za brzuch i już nie próbował się opanować. Było mu bardzo wesoło, a jeszcze weselej się zrobiło, kiedy Fredric dołączył do niego. Szybko jednak wesołość ustąpiła miejsca niememu podziwowi, kiedy Stephen przechylił torbę i na trawę wypadło osiem wspaniałych pstrągów. A dziewiąty złapał się na wędkę Fredrica. Stephen był pewien, że największy musi ważyć grubo ponad pół kilo.

Zjedli kanapki i postanowili jeszcze raz spróbować szczęścia. Nim się rozstali, Stephen udzielił Fredricowi półgodzinnej lekcji. O siódmej mieli spotkać się przy samochodzie. Niecałe dwie godziny.

Fredric znalazł odpowiednią zatoczkę i założył muchę, którą doradził mu Stephen. Zarzucił wędkę. Rzut był wprost doskonały. Mucha zakreśliła idealny łuk w powietrzu, poleciała daleko i wylądowała z wdziękiem na powierzchni wody. Linka również odpowiednio ułożyła się na wodzie. Minęło kilka sekund i stało się: poczuł szarpnięcie, po wodzie rozeszły się kręgi, szczytówka wygięła się i zaczęła drgać. Ryba, złapał rybę! Przypomnił sobie, że trzeba poderwać wędzi*sko, żeby ryba porządnie nadziała się na hak. Ale to raczej ona ciągnęła, szarpała i rzucała się jak dzika. Fredric zaczął ostrożnie zbierać wypuszczoną linkę, ciągnąc rybę ku sobie. Po chwili jego zdobycz znalazła się tuż przy brzegu. Gdzie podbierak? Jasne, tam na kamieniu, daleko poza zasięgiem jego ręki. A niech to!

Trzymając wędkę wysoko w górze, zaczął powoli się cofać. Ryba dalej rzucała się i wiła, ale nie mogła się uwolnić. Cofnął się jeszcze trochę, ryba przejechała brzuchem po przybrzeżnych kamieniach i wylądowała na brzegu. Wtedy poczuł szarpnięcie. Ryba urwała się z haka, trzepotała teraz po ziemi, próbując dostać się z powrotem do wody. Fredric puścił wędkę i bez namysłu rzucił się na swą zdobycz. Hura!

W trawie obok niego leżał piękny błyszczący pstrąg. Serce waliło Fredricowi jak szalone. Czy istnieje coś, co mogłoby mu dostarczyć porównywalnych emocji? Może gdyby znalazł w jakiejś zakurzonej piwnicy zapomnianą skrzynkę Chateau Latour. Fredric Drum złapał nowego bakcyła.

Jednak tego dnia nie udało mu się złowić więcej ryb. Nie mógł się skoncentrować, cały czas myślał o swoim wspaniałym pstrągu. Spakował więc sprzęt i znalazł sobie przyjemne miejsce nad samą wodą. Postanowił wystawić się na działanie słońca; odbite promienie opalały z podwójną mocą.

Jego wzrok padł na gładką powierzchnię wody. Zobaczył swoje odbicie. Nie był sam. Ktoś stał tuż za jego plecami. Fredric poczuł nieprzyjemny chłód. Powoli odwrócił się.

Pewne osoby prowadzą ożywione dyskusje
w środku nocy,

pojawia się piękna dziewczyna, a Fredric poznaje trzecią zwrotkę

* Stał tam bez ruchu i wbijał we mnie nieobecne spojrzenie, patrzył prosto na mnie, ale tak, jakbym był przezroczysty. Nagle odwrócił się i odszedł. Miałem wrażenie, że unosi się w powietrzu, płynie ponad kępami mchu. Potem zniknął między brzożami. Wołałem za nim, ale nie zareagował. Dość dziwne spotkanie, łagodnie rzecz ujmując.

Fredric i Stephen siedzieli w ogrodzie zimowym. Towarzyszył im mężczyzna, który poprzedniego wieczora prowadził nie do końca przyjacielską pogawędkę z właścicielem hotelu. Nazywał się Lilleif Havsten i okazał się bardzo sympatyczny. Nawiązali z nim rozmowę podczas obiadu i umówili się na spotkanie. Fredric chciał wiedzieć, co osoba mieszkająca tu na stałe powie na temat tego, co im się przydarzyło.

* Potrafiłby pan go opisać? * spytał Havsten. Po chwili milczenia Fredric powiedział:

* Nic łatwiejszego. Był dość oryginalnie ubrany, miał czarne obcisłe spodnie z grubej tkaniny, wysokie buty i skórzaną kamizelkę. Na szyi jakieś rzemyki czy ozdoby, nie zauważyłem, co to było. U pasa nóż, a na głowie wełnianą czapkę. Czarną. Na oko mógł mieć jakieś sześćdziesiąt lat. Twarz wąska, surowa, wysmagana na słońcu i wietrze.

Lilleif Havsten odchylił się na krzesło i zaczął się śmiać. Pokiwał głową i powiedział:

* Nie mam najmniejszych wątpliwości. To był myśliwy Hugar. Nasz lokalny duch, płocha zjawia doliny Rodalen.

* Jaka zjawia? Jaki duch? * Fredric nie był przekonany. * Ja z pewnością widziałem żywego człowieka.

* Tak, tak * uspokoił go Havsten. * Bez wątpienia, Hugar to jak najbardziej żywy człowiek, chociaż już bardzo stary, słyzałem, że zbliża się do osiemdziesiątki. Ale jest w świetnej formie, hasa po górach jak dobrze wytrenowany dwudziestolatek, tylko z większym wdziękiem. Często pojawia się nie wiadomo skąd i straszy turystów. Pojawia się i znika. Bez słowa. Historia jego życia jest bardzo interesująca, wprawdzie znam ją dość pobieżnie, ale jeśli pan chce...

Fredric skinął głową w odpowiedzi.

* Potem będzie pan mógł przetłumaczyć ją swojemu koledze. A więc tak. * Havsten zapalił cygaro i rozpoczął: * Słyzałem, że Hugar pojawił się w tej okolicy jakieś dwadzieścia lat temu. Nikogo nie pytając o zdanie, postawił chatę w oddalonej od ludzkich siedzib dolinie, w zachodniej części Rodalen. Polował też bez pozwolenia. Kiedy ludzie się zorientowali, zaczęła się wojna. Pisały o nim gazety, protestowali właściciele gruntu, przyjeżdżała policja i tak dalej. W końcu doszli z nim do porozumienia. Pozwolono mu zostać, ale w zamian miał latem pilnować pasących się owiec. Na to całkiem rozsądne rozwiązanie wpadły miejscowe władze. Mogli go jeszcze przymusowo umieścić w domu starców, co drastycznie kłóciłoby się z jego dotychczasowym stylem życia. * Havsten strzepnął popiół i podjął opowieść. * Mówią, ale nikt nie wie tego na pewno, że Hugar pochodzi z bogatej rodziny fińskich imigrantów z okolic Roros, ale w młodym wieku zerwał z nimi wszelkie kontakty i zaciągnął się na statek rybacki prowadzący połowy na północnych wodach Oceanu Atlantyckiego. Posprzeczał się z resztą załogi i wysiadł na ląd na Grenlandii. Żył tam jako myśliwy, przez wiele lat, aż w końcu zjawił się tutaj. Nie zmienił sposobu życia, nadal poluje i łowi ryby. Bywa, że nie widać go przez dłuższy czas, podobno często zapuszcza się na górskie bezdroża na zachodzie, aż do Rondane. Przypuszczam, że jesteś pierwszą osobą, której dane było zobaczyć go tego lata. Jeśli chodzi o pilnowanie owiec, to różnie z tym bywa. Miejscowi coś tam mruczą, że im giną owce i że zimą Hugar nie gardzi baraniną. Jednak władzom zawsze udaje się ich udobruchać okazałymi odszkodowaniami. Chcą, by stary myśliwy dożył swoich dni w spokoju. * Nagle Lilleif Havsten spowaźniał. * Ale jest jedna sprawa. Trzy lata temu zdarzyło się coś, co położyło się cieniem na Riadalen i co sprawiło, że ludzie boją się Hugara. * Trzech turystów z Belgii zginęło wówczas bez śladu. Wybierali się do Einundalen, sąsiadującej z Rodalen doliny. Mieli tam zamówiony nocleg. Nigdy nie dotarli na miejsce. Ogromna, trwająca kilka tygodni akcja ratownicza zakończyła się niepowodzeniem.

* Belgów nie odnaleziono. Ludzie oczywiście połączyli to wydarzenie z osobą tajemniczego myśliwego. Ja tam nie wiem. * Havsten wzruszył ramionami i zgasił cygaro.

Zapadła cisza. Stephen, który niewiele był w stanie zrozumieć z całej opowieści, siedział pogrążony w lekturze jakiegoś angielskiego czasopisma. Fredric zbladł, nie podobało mu się kilka elementów w tej historii. Wolałby chyba o nich nie wiedzieć. Ale było za późno.

Havsten podniósł się, mówiąc, że ma ważne spotkanie z Hegtunem.

Fredric zamyślił się. Czy powinien opowiedzieć Stephenowi o tym, co przydarzyło mu się w Oslo? Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że lepiej nie. Po co ma się martwić bez potrzeby? Z drugiej strony jeśli coś się stanie... W końcu opowiedział mu historię myśliwego, pomijając jednak wątek zaginionych Belgów.

Potem zeszli do baru, gdzie pierwszy sukces Fredrica w dziedzinie sportów wędkarskich został poddany gruntownej analizie. Mógł bez końca opowiadać, jak wyciągał rybę na brzeg i jak w ostatniej chwili udało mu się ją złapać, nim wskoczyła do wody. Stephen słuchał cierpliwie, od czasu do czasu przerywając i dopytując o różne szczegóły. Obaj byli całkowicie zgodni co do tego, że takich wędkarzy jak oni do tej pory w Rodalen nie było. W hotelowej lodowce, w specjalnie dla nich zarezerwowanym zamrażalniku, leżało piętnaście pstrągów. Czternaście złowił Stephen Pratt, jednego Fredric Drum.

Fredric długo nie mógł zasnąć. Próbował sobie wytłumaczyć, że to był zwykły przypadek. Jednak w jego życiu za dużo było przypadków, za które musiał potem drogo zapłacić, ponieważ nie zareagował na nie w odpowiednim momencie. Tym razem do tego nie dopuścił. Tym razem złapie byka za rogi, od razu stanie do walki. Pytanie tylko, jak długo mu się uda nie mieszać w to wszystko Stephena.

Myśliwy Hugar. Z Grenlandii. Miał pewnie około dwudziestu lat, kiedy zaczął pracować na statku. Teraz był koło osiemdziesiątki. Dwadzieścia lat temu osiadł w okolicy. A więc czterdzieści lat.

Czterdzieści lat na Grenlandii.

O ile to wszystko, co powiedział Lilleif, było prawdą. Nie miał jednak powodów, by mu nie wierzyć.

Kiedy tak leżał, pogrążony w rozmyśleniach, usłyszał nagle jakieś głosy za oknem. Jacyś ludzie stali tam na dole, pod sosnami. Głosy przybierały stopniowo na sile i po chwili je rozpoznał. To Lilleif Havsten i właściciel hotelu, Parelius Hegtun. Zaintrygowany, Fredric wstał i podszedł do okna. Dziwne miejsce i czas na spotkanie, pomyślał. Druga w nocy. Ostrożnie wyjrzał. Noc była jasna, widział ich wyraźnie. Stali bardzo blisko siebie, dyskutowali zapalczywie. Fredric nieco szerzej uchylił okno.

* ... co najmniej dziesięć lat, może nawet dwadzieścia. To są mrzonki, Lilleif, musisz z tym skończyć. W cuda wierzysz? Posłuchaj mnie, zajmij się czymś innym, odjedź stąd, zanim stracisz wszystkie pieniądze. * W głosie Pareliususa słychać było niemal błagalny ton.

* Uda się. Mówię ci, że się uda. Góra za dwa lata ruszymy pełną parą, zobaczysz. Straszny z ciebie tchórz. Nie rozumiem. Czego ty się boisz? Z dnia na dzień jesteś coraz gorszy. Pomyśl o przyszłości. To, co ty robisz, nie ma żadnej przyszłości, ledwie ci się udaje związać koniec z końcem. A zima! Przecież zimą jest tu niemal zupełnie pusto. Parelius, posłuchaj mnie! Pamiętasz, co sobie obiecaliśmy, jak kończyliśmy szkołę?

* Idiota. Sam dobrze wiesz, że hotel prosperuje coraz lepiej. Ciągle coś się dzieje. Nowa strzelnica, skocznia. Mam już powyżej uszu tego twojego marudzenia. To są zamki na lodzie. Całe życie nic, tylko budujesz zamki na lodzie.

* Cśśś * syknął Lilleif. * Ciszej trochę, Parelius. Dobra. To była tylko propozycja. Nadal jest aktualna. Jestem przekonany, że niedługo coś się zacznie dziać.

* Akurat. Idę, jeśli ty chcesz tu dalej sterczeć, proszę bardzo. Możesz się pomodlić do tych swoich bogów. Dobranoc!

I Hegtun po raz kolejny opuścił swego przyjaciela. Lilleif Havsten znów został sam, kręcąc głową z rezygnacją.

Najwidoczniej między nimi był jakiś poważny konflikt. Trudno było jednak wywnioskować z treści rozmowy, o co chodzi.

Fredric Drum wrócił do łóżka. Tym razem dość szybko udało mu się zasnąć.

Kiedy następnego dnia zszedł na śniadanie, Stephen już czekał na niego przy stole. Był piątek.

* Good morning, son of Izaak! * powiedział radośnie na powitanie.

* Izaak? * zdziwił się Fredric i kichnął dwa razy. Poranne słońce mocno grzało przez szybę.

* No tak, raczej nie mogłeś słyszeć o sir Izaaku Walto*nie. Był to ojciec wędkarstwa muchowego, autor książki „The Complete Angler”, biblii wszystkich synów piotrowych.

* Czyich? * Fredric nie nadażał.

* Poddaję się. Chyba wiesz o tym, że apostoł Piotr był rybakim? To patron rybaków. A my, ty i ja, też poniekąd jesteśmy rybakami, czyli synami piotrowymi.

* Aaa, chyba że tak. Wszystko jasne. * Fredric zrozumiał wreszcie i zabrał się do śniadania. Potem ustalili plan dnia. Ponieważ ryba najlepiej bierze po południu i wieczorem, postanowili na razie zostać w hotelu i wyruszyć do Rodalen około siedemnastej. Stephen zamierzał poświęcić ten czas na wypisanie pocztówek do swych licznych przyjaciół i przyjaciółek. Fredric zostawił przyjaciela wraz z górą widoczków z okolicy w ogrodzie zimowym. Sam postanowił udać się na spacer. Na wszelki wypadek zabrał ze sobą mapę.

Ruszył drogą wzdłuż jeziora. Zaraz na początku spaceru jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie: zza zakrętu wypadła prosto na niego siedmioosobowa grupa rowerzystów. Stwierdził, że bezpieczniej będzie zejść z drogi. Skręcił w jakąś boczną ścieżkę i dotarł nią na szczyt wzniesienia, skąd rozciągał się wspaniały widok na Savalen.

Myśliwy Hugar. Nie mógł zapomnieć o tej tajemniczej postaci. Ciekawe, gdzie mieszka, gdzie jest jego chata? W jakiejś niewielkiej dolinie, odnodze Rodalen, jak powiedział Havsten. Jest sporo takich miejsc, pomyślał Fredric, studiując mapę. Kogo by tu zapytać, żeby dowiedzieć się czegoś więcej? Ani Hegtun, ani Lilleif Havsten nie wyglądali na miłośników wycieczek górskich. Mieszkańcy Rodalen powinni wiedzieć. Na pewno wiedzą. Kilometr dalej zobaczył drogowskaz z nazwami dwóch gospodarstw. Inna sprawa, czy nadal zamieszkałych. Fredric postanowił spróbować. Po kwadransie dotarł do pierwszego gospodarstwa. Nikogo tam nie było. W miejsce starych budynków postawiono dwa nowoczesne domki letniskowe. Okna zasłaniały okiennice.

Poszedł dalej. Drugie gospodarstwo leżało zaraz za zakrętem. Tym razem miał więcej szczęścia. Pomiedzy zabudowaniami stał traktor, grzebał przy nim młody chłopak w koszuli w niebieską kratkę.

* Dzień dobry * powiedział Fredric, rozglądając się nerwowo dokoła. Nigdy nie wiadomo, czy i tu nie wyskoczy na niego jakiś wściekły pies.

* Dzień dobry * odpowiedział chłopak, mierząc Fredrica wzrokiem. W ręku trzymał klucz nastawny.

* Przepraszam, że przeszkadzam, ale może będziesz potrafił mi pomóc * powiedział Fredric, wyciągając rękę z mapą.

Chłopak mógł mieć około dwudziestu lat. Przesunął po czole umazaną smarem dłonią i odłożył klucz.

* No, może * odparł, kierując wzrok na mapę.

* Rodalen * zaczął Fredric * leży tutaj. * Pokazał palcem. * Wiesz może, czy mieszkają tu jacyś ludzie?

* Nie * odparł chłopak. * Tam nikt nie mieszka.

* A znasz myśliwego imieniem Hugar? * zaryzykował Fredric. Chłopak zrobił dwa kroki do tyłu i umknął wzrokiem

gdzieś w bok. Nie odpowiadał, więc Fredric postanowił spróbować jeszcze raz.

* Jestem dziennikarzem, piszę artykuł na temat tego dziwaka, ale nie wiem dokładnie, gdzie mieszka.

Chłopak wziął mapę do ręki, wpatrywał się w nią długo i uważnie, po czym powiedział:

* Jego chata leży nad Storbekktjern. Wysoko na stoku. * Pokazał palcem miejsce na mapie, mniej więcej w połowie długości Rodalen, kawałek w lewo.

Fredric spojrział na mapę. Jezioro Storbekktjern leżało w dolinie, w zachodniej części Rodalen, otoczone dość stromymi, sądząc z linii na mapie, szczytami.

* Jak daleko od jeziora? I w jakim kierunku? Na północ, południe, wschód czy zachód?

* Jakieś sto metrów, na północ. I niech pamięta, wysoko na stoku.

* Wielkie dzięki * powiedział Fredric na pożegnanie.

* Yhm * mruknął chłopak, wziął klucz do ręki i wrócił do przerwanej pracy.

Po lunchu Stephen zaproponował Fredricowi godzinę korepetycji z wędkowania, na co ten chętnie przystał. Po lekcji poczuł, że naprawdę świetnie włada wędką. Potrafił już wykonać kilka wymachów do przodu i tyłu, nie dotykając muchą ziemi i wysnuwając przy tym odpowiednią ilość linki. Następnie Stephen zrobił mały wykład na temat różnych typów sztucznych much. Fredric szybko przyswoił sobie ich nazwy. Okazało się, że swojego pstrąga złowił na „Greenwells Glory”. Bardzo skuteczna przynęta, stwierdził Stephen.

Mieli wyruszyć za godzinę.

Przez ten czas postanowili w ramach relaksu wypić chłodne piwo na świeżym powietrzu. Na parking podjechał samochód, wysiadło z niego dwoje ludzi. Wyciągnęli walizy z bagażnika i ruszyli do wejścia. Nagle Fredric podskoczył z wrażenia. Tę dziewczynę już wcześniej spotkał!

Stephen spojrzał pytająco na przyjaciela.

* Something wrong?

* Csss * syknął Fredric, chwycił leżącą na stole gazetę i prędko rozłożył, chowając się za tą pokazną płachtą.

Nowi goście minęli ich i weszli do środka. Stephen zmienił się w znak zapytania.

* Piękna dziewczyna * stwierdził.

Fredric miał w głowie totalny mętlik. Co to ma znaczyć? Czy to tylko zbieg okoliczności? To dziewczyna w błękitach! Ta, co przyszła do „Kasserollen” i chciała tylko się „rozejrzeć”. I trochę się z nim przy okazji podrażnić. „Pielgrzym... A więc to jest twoje królestwo”. Słowa nadal dźwięczały mu w uszach.

Nagle rzucił gazetę na stół i zerwał się z krzesła.

Czy obiecał sobie, że stanie do walki? Czemu teraz siedzi i chowa się za gazetą jak ostatni kretynek? O nie!

* Stephen, muszę coś załatwić. To zajmie tylko chwilę *oznajmił.

Nowo przybyli goście właśnie się meldowali. Mężczyzna był dużo starszy od dziewczyny i bardzo do niej podobny. Pewnie ojciec, pomyślał Fredric. Stanął tuż za nimi i właśnie miał znacząco odchrząknąć, kiedy zamiast tego kichnął, i to bardzo głośno. Cztery razy.

Dziewczyna odwróciła się. Nie wyglądała na ani trochę zdziwioną. Uśmiechnęła się. I zarumieniła. Coś podobnego, zarumieniła się. Fredric nie wiedział, co o tym myśleć.

* Cześć * powiedziała.

* Cześć * odparł.

* Tato. * Dotknęła ramienia mężczyzny zajętego rozmową z recepcjonistą. * Tato, to jest Fredric Drum.

Mężczyzna odwrócił się, spojrzał na niego z zaciekawieniem i nagle jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Wyciągnął do Fredrica dłoń na powitanie.

* Miło mi * powiedział serdecznym tonem. * Już pan jest. No tak, my też postanowiliśmy przyjechać nieco wcześniej. Victor Hornfeldt. A to moja córka, Julia.

Julia podała Fredricowi rękę i teraz z kolei on poczuł, że jego twarz oblewa się gorącym rumieńcem. Skinął głową i ze sztywnym uśmiechem uściśnął jej dłoń. Victor Hornfeldt! Profesor archeologii! Jeden z najwybitniejszych umysłów, jeśli chodzi o dawne dzieje Skandynawii. To właśnie od niego dostał zaproszenie.

To on zaproponował, by dołączył do grupy badawczej zajmującej się znaleziskiem z Rodalen, a nawet, ściśle rzecz ujmując, wręcz naciskał, by to Fredric Drum zajął się odczytaniem

napisów na znalezionych przedmiotach, kiedy podniosły się głosy sprzeciwu, że amator będzie zawsze tylko amatorem.

Victor Hornfeldt.

Fredric wydusił z siebie jakieś' uprzejme banały, po czym zaczął rozwódzić się nad pięknem okolicy, by w końcu oświadczyć, że właśnie wybiera się z przyjacielem na wycieczkę.

* Może spotkamy się wieczorem w barze? Chętnie poznałbym pana zapatrywania na pewne kwestie * powiedział Hornfeldt.

Stephen z ulgą powitał Fredrica. Umierał z ciekawości. W samochodzie Fredric opowiedział mu o dziewczynie w niebieskiej sukience i wyjaśnił, czyją jest córką.

* Masz jakiś pomysł, po co ona przyszła wtedy do „Kas*serollen“?

* Może i mam * odparł Stephen z szelmowskim błyskiem w oku.

Zaparkowali mniej więcej w tym samym miejscu co poprzednio, jednak tym razem postanowili przejść jeszcze kilometr w głąb doliny, do największego, jak wynikało z mapy, jeziora, Steintjern. Tam rozstali się, życząc sobie nawzajem powodzenia. O dziewiątej mieli spotkać się przy samochodzie.

Fredric ruszył na zachód. Przystanął na chwilę i wyjął mapę. Jeśli teraz pójdzie jeszcze zaledwie kilkaset metrów w górę, dotrze do małego, bardzo kusząco wyglądającego na mapie jeziorka. Vesltjern. Jezioro leżało na tej samej wysokości co Stor*bekktjern, czyli to jezioro, w pobliżu którego mieszkał Hugar. W prostej linii odległość wynosiła zaledwie kilometr, jednak by tam dojść, trzeba było pokonać dzielące je wzniesienie.

Kiedy dotarł nad Vesltjern, od razu zauważył oczka na powierzchni. Jezioro otaczały mokradła. Doskonale, żadnych krzaków i drzew, w które wędka mogłaby się zaplątać.

Fredric przyczepił podbierak do paska od spodni i ruszył. Skacząc z kępy na kępę, wyraźnie czuł uderzenia serca. Zatrzymał się kilka metrów od brzegu.

Żyłka świsnęła w powietrzu. Trzy nieudane podejścia i w końcu się udało.

Mucha wylądowała bardzo blisko miejsca, w którym przed momentem rzuciła się ryba. Po chwili na powierzchni wody ukazały się kręgi, Fredric poczuł szarpnięcie. Pociągnął. Bez rezultatu. To musiała być duża ryba, o wiele większa od tamtego pstrąga. Kilka razy wyskoczyła nad powierzchnię, na dobre pół metra w górę. Z wrażenia Fredric wstrzymał oddech. Po chwili ryba się uspokoiła, ale teraz zaczęła ciągnąć linkę w głąb jeziora. Fredric starał się robić dokładnie tak, jak uczył go Stephen: powoli obracał korbką kołowrotka, trzymając wę*dzisko wysoko w górze. Szczytówka drżała, wygięta w dół pod ciężarem ryby, która była coraz bliżej brzegu; Fredric przygotował podbierak. Jest! Błyskawicznie zanurzył podbierak w wodzie, a kiedy ryba znalazła się nad jego ramką, zaczerpnął i wyciągnął. W środku miotał się wielki, tłusty pstrąg. Nie mógł uwierzyć własnym oczom! Udało mu się, nie popełnił ani jednego błędu. Niesamowity okaz, większy od największego z pstrągów Stephena. Siedemset gram, ocenił. Ryba leżała na mchu, otoczona listkami morożki. Była piękna. Grzbiet zdobily duże czerwone cętki. Fredric długo podziwiał swoją zdobycz. Otworzył się przed nim nowy świat, o którym wcześniej nie miał pojęcia.

I nie był to koniec. W ciągu kolejnej godziny udało mu się złowić jeszcze pięć sztuk, poza tym trzy urwały się z haczyka. Oszołomiony, w jakimś dziwnym transie, ruszył pod górę, w kierunku płynącego opodal strumyka. Usiadł na porośniętym trawą zboczach i odetchnął głęboko. Potem położył się na brzuchu i zaczął pić.

Rodalen. Wspaniała dolina Rodalen!

Było parno, na północy zbierały się ciężkie chmury. Burza wisiała w powietrzu. Spojrzał na zegarek. Prawie wpół do ósmej.

Czy naprawdę się odważy? Czy to naprawdę konieczne? Tak. Obiecał sobie, że będzie poważnie traktował wszelkie zbiegi okoliczności i sprawdzał, czy te przypadki nie są czymś zupełnie innym. Hugar spędził na Grenlandii czterdzieści lat, a teraz mieszkał w Rodalen. To mógł być przypadek. Gdyby nie lalka.

Fredric położył swoje rzeczy koło dużego, charakterystycznego kamienia, by potem bez trudu je odnaleźć, i ruszył pod górę, w kierunku Storbekktjern. Wzniesienie było dość strome, od czasu do czasu przystawał, by otrzeć pot z czoła i trochę odetchnąć. W końcu wdrapał się na samą górę.

Roztaczał się stamtąd widok na całą dolinę. Zobaczył w dole toyotę. Wydawało mu się, że zauważył jakiś ruch po południowej stronie jeziora, i pomyślał, że to pewnie Stephen. Jeziora i oczka wodne połyskiwały. Przysłonił oczy dłonią i utkwiał wzrok w punkcie pomiędzy dwoma niewielkimi jeziorkami. Coś tam było. Tak, to musiało być tam. Miejsce, w którym dokonano znaleziska.

Zostało przykryte brezentem rozpiętym na wetkniętych w trzęsawisko palikach. Dość duży obszar wokół ogrodzono. W świecie archeologów to obecnie miejsce numer jeden w skali całego kraju.

Spojrzał na zachód. Zbocze zbiegało stromo w dół, tworząc ścianę wąskiej, jałowej doliny. Na dnie połyskiwała woda.

Zrobiło się ciemno, ciężko było oddychać. W oddali przetoczył się grzmot. Poza tym panowała całkowita cisza, nie słychać było nawet owczych dzwonek czy kukania kukułki. Cała przyroda szykowała się na nadejście burzy.

Było dokładnie tak, jak powinno być * bardzo nieprzyjemnie. Uśmiechając się gorzko, Fredric pomyślał, że to idealna dekoracja. Dotarłszy do Storbekktjern, rzucił się na ziemię i zaczął łapczywie pić.

Kiedy zaspokoił pragnienie, usiadł i rozejrzał się dokoła.

Miejsce było surowe i niegościnne. Od północy widok zamykał potężny skalny nawis, który wyglądał tak, jakby za chwilę miał się zwalić, grzebiąc całą dolinę pod lawiną kamieni. U podnóża góry otwierała się wąska dolina, czy może raczej szersza rozpadlina skalna, kończąca się tuż pod nawisem. Rosło tam kilka drzew; Fredric pomyślał, że to pewnie najżyźniejsze i najlepiej osłonięte miejsce w całej tej jałowej okolicy. Zimowe burze musiały się tu nieźle dawać we znaki. Hugar dobrze wiedział, gdzie postawić chatę. To była właśnie ta dolina.

Odnalazł ścieżkę i powoli ruszył. Co on właściwie powie temu całemu Hugarowi? Jak uzyskać od niego te informacje, o które mu chodzi? A jeśli rozmowa wcale go nie uspokoi? A jeśli sprawdzą się jego najgorsze przeczucia, co wtedy? Przecież w razie czego nie będzie miał szans.

Właśnie tutaj trzech Belgów przepadło bez wieści. Czy przechodzili koło chaty Hugara? Czy widzieli coś, czego nie powinni byli zobaczyć? Wyobraźnia podsuwała mu najczarniejsze obrazy. Zatrzymał się na chwilę i oparł plecami o pień małej, poskręcanej przez wichry brzozy.

Oczywiście, nie było nic podejrzanego w tym, że stary myśliwy mieszkał kiedyś na Grenlandii. Nawet kuchmistrz Niel*sen z „d'Artagnana" kiedyś tam był. Ale Fredric po prostu musiał się dowiedzieć, odzyskać poczucie bezpieczeństwa. Za nic nie chciał psuć wakacji Stephenowi i sobie.

Niebo było teraz czarne jak smoła, góry na jego tle stały się zupełnie niewidoczne. Nagle zamajaczył przed nim jakiś ciemny kwadrat przyklejony wysoko do skały. Chata Hugara. Zaczął gwizdać, głośno i koszmarnie fałszując, wesolą melodyjkę „Seemann, komm bald wieder". W końcu przechodzi tędy zupełnie przypadkowo, chodzi sobie po prostu po górach. Ależ, ależ!

Naraz na ułamek sekundy okolicę rozświetliło oślepiające białe światło; jednocześnie po niebie przetoczył się grzmot, z tak straszliwą siłą, że Fredric odruchowo zatkał uszy. Ostatnie metry pokonał biegiem. Zapukał do drzwi chaty.

Cisza. Przerwał ją dopiero kolejny grzmot, jeszcze gwałtowniejszy od poprzedniego. Fredric uniósł głowę i skierował przerażony wzrok na piętrzący się powyżej nawis. A jeśli faktycznie

się zawali? Zaczął dobijać się do drzwi. Na próżno. Dopiero teraz zauważył, że są zamknięte, wisiała na nich imponujących rozmiarów kłódka.

Co za pech. Czy ten cały myśliwy nie mógłby siedzieć w domu, skoro on zadał sobie tyle trudu i wybrał się na to pustkowie?!

Przyjrzał się chacie. Solidna robota. Kamień, torf i drewno. Z dachu sterczał komin. Po jednej stronie drzwi małe okienko. Pod ścianami leżało starannie ułożone drewno na opał. Wokół chaty było czysto, ktoś tu często sprzątał. Do drzwi prowadziło kilka kamiennych płyt. Najwyraźniej myśliwy przejawiał duże zamięłowanie do porządku.

Znów zaczęło błyskać i grzmieć. Natura chyba się na niego uwzięła. Na jego czoło spadły pierwsze krople deszczu. Zaraz pewnie na dobre się rozpada, a on przemoknie do suchej nitki. Nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Podskoczył, przestraszony. Odwrócił się raptownie i znalazł się twarzą w twarz z myśliwym Hugarem.

* Ryby biorą? * Po surowym, ogorzałym obliczu przemknęło coś na kształt uśmiechu. Głos był niemal przyjazny.

* Yyy... * Fredric odchrząknął. Miał nadzieję, że nie widać, jaki jest spięty. Nie odpowiedział; właśnie znowu zadudnił grzmot. Stali w milczeniu, przyglądając się sobie. Z nieba zaczęły padać pojedyncze ciężkie krople, które już po chwili zmieniły się w prawdziwą ulewę.

* Chodź * powiedział myśliwy, chwytając Fredrica za ramię i ciągnąc w stronę chaty. Zostawił go przed drzwiami i zniknął za węglem. Wrócił po krótkiej chwili. W ręku trzymał klucz. Otworzył drzwi i lekko popchnął swego gościa do środka. Fredric stał w ciemnościach, a woda kapiała z niego jak z mokrego psa. Wsadził jedną dłoń do kieszeni i zacisnął na kryształowej gwieździe. Wiele by dał za to, by popatrzeć teraz na nią pod światło. Ciekawe, co by zobaczył.

Po chwili mrok rozproszyło światło świecy, potem zapaliła się lampa naftowa. I jeszcze jedna. Ukazało się wnętrze chaty.

Kamienna podłoga była zrobiona z płyt przyciętych tak równo i starannie, że wyglądało to niemal jak robota profesjonalisty. Przy jednej z krótszych ścian stał obok murowanego paleniska nieduży piecyk. Na umeblowanie składał się stół o chropowatym blacie, ława, dwa zydle i prycza zwrócona wezgiłowiem w stronę pieca oraz szafa. Podłogę i ściany pokrywały skóry, głównie z renifera, ale także innych zwierząt, Fredric nie potrafił określić, jakich. Na ścianach wisiało mnóstwo przeróżnych przedmiotów, inne leżały na gzymsie kominka. Było wśród nich wiele takich, które widział po raz pierwszy w życiu, o nieznanym mu przeznaczeniu, niektóre natomiast rozpoznał bez trudu: topory, noże, oszczepy, łuki i strzały, kre*dowobiałe kły, pewnie morsa, łańcuchy, połyskujące kamienie, kilka sztuk broni palnej, rakiety śnieżne. A pośród tego wszystkiego półka z książkami, jak zauważył, starymi i zaczy*tanymi.

Myśliwy stał bez ruchu, przyglądając się Fredricowi. Wskazał mu zydel i Fredric usiadł grzecznie jak uczeń.

* Posiedź tu sobie, aż minie najgorsze * powiedział, po czym podszedł do szafki i chwilę w niej grzebał. Nim Fredric zdążył zaprotestować, na jego kolanach wylądował kawał mięsa. Hugar usiadł na drugim zydlu. Przeżuwając swój kawałek mięsa, nie spuszczał wzroku z Fredrica. Jego spojrzenie było nieco nieobecne, lecz jednocześnie bardzo intensywne.

* Ciekawość pewnie cię zżera, co? * uśmiechnął się krzywo.

* Można tak powiedzieć * odpowiedział Fredric, który powoli zaczynał odzyskiwać spokój i pewność siebie. * Nieczęsto ma się okazję spotkać kogoś takiego jak ty. Nie przypuszczałem, że w naszych czasach tacy ludzie jeszcze istnieją.

* Łowiłeś tam? * spytał Hugar, pokazując ręką w kierunku jeziora.

Fredric potrząsnął głową.

* Powinieneś spróbować. Palia. Nie tak łatwo ją złowić. Fredric nie wiedział, co sądzić o myśliwym. Trudno byłoby nazwać go wrogiem, nie był też jednak jakoś szczególnie sympatyczny. Może pokrywał w ten sposób nieśmiałość? Poruszał takie zwyczajne, codzienne sprawy tylko po to, żeby o czymś mówić? I to dziwne, nieobecne spojrzenie. Jakby o czymś wiedział... a może po prostu w oczach starego myśliwego zostały ślady lata zmagania z żywiołami, śniegiem, zimnem, lodem? Miał prawie osiemdziesiąt lat. Fredric nie dałby mu więcej niż sześćdziesiąt. Patrzył, jak dużymi, zdrowymi zębami odrywa kawałki suchego mięsa. Sam z trudem odgryzł niewielki kęs i długo przeżuwał. Na zewnątrz nadal od czasu do czasu grzmiało, ale najgorsze minęło. Najwyższy czas przejść do rzeczy, jeśli chce dotrzeć do samochodu o umówionej godzinie.

* Słyszałem * zaczął ostrożnie * że spędziłeś wiele lat na Grenlandii?

Hugar nadal był zajęty swoim kawałkiem mięsa. Nie odpowiadał.

* Interesuję się Grenlandią, tradycyjną eskimoską kulturą, i zastanawiałem się, czy przypadkiem...

* Prawie wszystkie te przedmioty pochodzą z Grenlandii * przerwał mu Hugar. * Obejrzyj sobie, jak masz ochotę.

Żeby nie okazać się niegrzecznym, Fredric wstał i podszedł do ściany. Nagle jego wzrok padł na wiszącą pomiędzy jakimś sprzętem do połowu ryb i drewnianą pałką niewielką ramkę. Na pożółkłym ze starości papierze widniały wyblakłe litery. Był to wiersz, trzy zwrotki. Fredric zaczął czytać i aż zbladł z wrażenia.

Gdzie mróz wieczny skuwa ziemię
Gdzie końca nie widać zimy
Tu mieszka teraz me plemię
z żywej przegnanej doliny.

Straszne cierpimy tu męki,
Śmierć dzieci, choroby i głód.
Myśliwy wziął broń do ręki
I przysiągł, że pomści swój lud.

Płaczą rzeki, bo myśliwy
Zamieszkał w Śmierci Krainie.
Już stawia najeźdźca chciwy
Swoj dom w zielonej dolinie.

Pierwsze dwie zwrotki znał doskonale. Trzeciej nigdy wcześniej nie widział.

* Wspaniały wiersz * powiedział spokojnym głosem, kiedy udało mu się jakoś opanować emocje. * Ty go napisałeś?

Hugar, nadal zajęty jedzeniem, tylko skinął głową. W świetle lamp jego oczy lśniły jakimś niesamowitym blaskiem. Kłamiesz. To nie ty go napisałeś. Ma pewnie kilkaset lat, został spisany w zeszłym stuleciu, pomyślał Fredric.

Na zewnątrz jeszcze błyskało, ale deszcz niemal całkowicie ustał.

Fredric wrócił na swoje miejsce. Przedmioty na ścianie były w większości różnego rodzaju bronią. Była tam broń stara i nowa. Broń biała, broń sieczna, pałki i topory, oszczepy. Plus broń palna. Gdyby myśliwy zechciał zapolować, niekoniecznie na zwierzyne, miałby wiele możliwości wyboru.

Nagle Fredric poczuł, że jest całkowicie spokojny i zdecydowany. Nie miał zamiaru dłużej tu siedzieć i zadrećcać się, wyobrażając sobie niestworzone rzeczy. Podniósł się raptownie i podszedł do myśliwego.

* Tak naprawdę to przyszedłem tutaj * powiedział * ponieważ jestem ciekaw, czy coś ci wiadomo na temat takich dziwnych laleczek, które w dawnych czasach Inuici zabierali ze sobą na polowanie. Podobno posiadały magiczną moc.

Przypominają mumię dziecka eskimoskiego, znaną nie tak dawno temu na Grenlandii. Może widziałeś zdjęcia?

Myśliwy przerwał jedzenie. Jego spojrzenie było twarde niby kawałki lodu. Wstał powoli, po czym sięgnął ręką za pazuchę i coś wyjął.

* Może takie jak ta?

Trzymał w dłoni lalkę. W świetle lamp jej żółte oczy płonęły.

Angielski wędkarz wypija spore ilości whisky, w letnią noc ktoś kogoś prosi do tańca, a ktoś inny kicha

* Wymiataj stąd, gadzino! * Hugar otworzył drzwi i wypchnął Fredrica na zewnątrz. * I więcej tu nie przychodź. Cholerny złodziej! Kryminalista!

Drzwi zatrzasnęły się. Fredric usłyszał dźwięk przesuwanego rygla. Zamrugał oczami. Po gwałtownej ulewie wszystko pachniało. Gdzieś w pobliżu kukała kukułka. Oszołomiony, ruszył w drogę powrotną.

Hugar po prostu go wywalił! Inaczej nie można było tego nazwać. Przecież rozmawiali sobie zupełnie spokojnie. I nagle ni stąd, ni zowąd myśliwy wpadł w szal!

Lalka.

Fredric aż musiał przystanąć. To nie mogła przecież być ta sama lalka, była jednak łudząco podobna. Widział ją tylko przez ułamek sekundy, zdążył jednak zauważyć, że spodenki były znacznie jaśniejsze. W ogóle wydała mu się o wiele nowsza od tamtej. Nic już z tego wszystkiego nie rozumiał.

Czuł jednak ulgę, kamień spadł mu z serca. Jednego był bowiem pewien: ze strony starego myśliwego na pewno nic mu nie grozi. Hugar był dość ekscentryczny, porywczy i mógł budzić lęk, jednak z pewnością nie potrafiłby nikogo zamordować z zimną krwią.

Koło Storbekktjern spojrział na zegarek. Wpół do dziewiątej. Akurat zdąży.

Pytanie tylko, dlaczego Hugar tak gwałtownie zareagował. Czterdzieści lat na Grenlandii. Czterdzieści lat żył jako myśliwy, w pewnych okresach jedynymi ludźmi, z którymi miał kontakt, byli Eskimosi. W jak dużym stopniu przyswoił sobie ich kulturę, wierzenia, przesady związane z polowaniami? Pobyt

w krainie lodu naznaczył go na zawsze; nadal wierzył w to, że naturą rządzą tajemnicze siły. Zapewne zawsze miał przy sobie laleczkę, święcie przekonany, że od niej zależy jego bezpieczeństwo. Dla niego to nie był pusty symbol, ale jedyny pomocnik w świecie surowej przyrody. Najprawdopodobniej Hugar po prostu był Inuitem, tyle że zamieszkałym w Norwegii.

W każdym razie wpadł w prawdziwą wściekłość. Fredric mógł jedynie snuć przypuszczenia, co było przyczyną tego wybuchu.

Hugar skinął głową, kiedy Fredric zapytał, czy to on jest autorem wiersza. Oczywiście, wiersz stworzyli wszyscy Eskimosi, była to ich wspólna własność. Wiersz należał więc także do Hu*gara. Nie miał jednego autora, stała za nim cała kultura, plemię, stopniowo niszczone i spychane na skraj przepaści przez obcych przybyszy, wrogie im idee i budzące lęk obyczaje. Fredric biegł w dół zbocza, krzycząc z radości i podśpiewując. Udało mu się przeprowadzić misję. W dodatku na dole czekała na niego jego wspaniąca zdobycz. Nie mógł się doczekać spotkania ze Stephenem.

Bez trudu odnalazł sprzęt, pozbierał wszystko i w płasach i podskokach ruszył na umówione miejsce.

Stephen już czekał przy samochodzie. Z daleka powitał Fredrica jego szeroki jasny uśmiech.

* God damn! * wykrzyknął. * I thought the lightning had taken you.

Fredric wyjaśnił, że zdążył schronić się pod jakiś skalny nawis. Za to Stephen był tak pochłonięty wędkowaniem, że nadejście burzy kompletnie go zaskoczyło. Co sił w nogach popędził do samochodu; porządnie już wtedy grzmiało i błyskało.

*Wiesz, najbezpieczniejsza jest puszka Faradaya * stwierdził.

Każdego z nich zżerała ciekawość, jak poszło temu drugiemu. Stephen pierwszy opróżnił torbę. Na trawę wypadło jednaście pstrągów, nie za dużych, ale bardzo ładnych. Fredric odchrząknął kilka razy, starł z oka nieistniejący pyłek, po czym zaczął wyjmować ryby jedną po drugiej i starannie układać w rzędki na ziemi Sześć sztuk. Każda o wiele większa od tych, które złowił Stephen.

* Go right to Birmingham and tell the King! * wykrzyknął Stephen. Następnie każdą z osobna zważył w ręku. * Gdzie?

Fredric opowiedział mu o jeziorze Vesltjern, nie zapominając wspomnieć o sztukach, którym w ostatniej chwili udało się umknąć. Tak więc mało brakowało, a złapałby o wiele więcej ryb. Jedna z nich na pewno ważyła co najmniej kilogram. Był to najlepszy dowód na to, że Fredric powoli stawał się rasowym wędkarzem, bo tak to już jest, że rasowym wędkarzom największe ryby zawsze wymykają się w ostatniej chwili.

Jeszcze przez chwilę gawędzili tak sobie o rybach i pogodzie. Gdy już mieli ruszać, Stephen powiedział:

* Kiedy burza minęła, wybrałem się na krótki spacer, tu niedaleko. Myślałem, że może gdzieś cię tam spotkam. Szedłem sobie spokojnie, gdy w pewnym momencie o mało co nie wpadłem do jakiejś dziury czy rowu. Dziwnie to wyglądało. Nie rozumiem, po co ktoś miałby kopać tu dziurę w ziemi. Na dnie widać było ślady ogniska.

Fredricowi też wydało się to intrygujące.

* Daleko stąd?

* Nie, tutaj zaraz * odparł Stephen, wskazując rosnące nieco wyżej skupisko drzew.

Po burzy aż roiło się od komarów, więc wysmarowali się porządnie płynem przeciwkomarowym i ruszyli pod górę. Stephen prowadził. Przedarłszy się przez gęste zarośla, dotarli do miejsca osłoniętego kilkoma dużymi, powykęcianymi przez wiatr brzoza. Za ścianą drzew rzeczywiście ktoś wykopał spory dół. Na dnie widać było kupkę jakichś zwęglonych resztek i popiołu. Dół był połączony z kilkoma rowami długości jakichś trzech*czterech metrów i głębokości około pół metra, przykrytymi na wół przegniłymi gałęziami. Sama dziura była co najmniej na metr głęboka.

* Przypuszczalnie rowy były wcześniej dokładnie przykryte, potem gałęzie zgniły * stwierdził Fredric.

* Tylko po co? Przecież to niebezpieczne, jakieś zwierzę może na przykład wpaść do środka. Fredric zamyślił się. Jakoś nie przychodziło mu do głowy żadne sensowne wytłumaczenie. Od momentu wykopania dołu i rowów musiał już minąć jakiś czas, porastała je dość bujna roślinność. Potrząsnął głową.

* Nie mam pojęcia * odparł. * Na pewno odpowiedź jest bardzo prosta. Tutejsi mieszkańcy zajmują się różnymi rzeczami. Może na przykład ktoś wypalał żelazo? Chociaż na tym terenie złoża raczej nie są zbyt obfite.

Przez chwilę krążyli wokół, oglądając tajemnicze zjawisko ze wszystkich stron. W końcu stwierdzili, że czas wracać. Wieczne słońce zabarwiło już góry czerwienią.

Skakanie po trzęsawiskach i wspinanie się po stromych zboczach to trochę co innego niż bieganie z tacą między kuchnią a restauracją. Fredric wyraźnie odczuł różnicę. Mięśnie nóg miał całkiem zeszywniałe, wszystko go bolało.

Kiedy wszedł do baru, grała muzyka. Było tam całkiem sporo ludzi. Przy jednym ze stolików zauważył Stephena. Jego szeroki uśmiech błyszczał już z daleka. Na stoliku stała spora szklanka whisky. Fredric przyniósł z baru kartę win i zajął wolne miejsce.

* Dwadzieścia pięć do siedmiu dla Stephena * powiedział Anglik, unosząc szklankę.

* Czekaj, czekaj. To jeszcze nie koniec! * odparł groźnie Fredric.

Przystąpił do studiowania karty win. Co za miła niespodzianka. Piwniczka Hegtuna była całkiem nieźle zaopatrzona: Chateau Giscours, Leoville Barton, niezły wybór burgunda i Chianti Classico. Zdecydował się na Chateau Leoville Barton rocznik 82. Prawdopodobnie rok 1982 miał się okazać

najlepszym rokiem dla win Bordeaux w całym stuleciu. Na razie jednak było trochę za wcześnie, by o tym wyrokować.

Przechodząc koło recepcji, usłyszał, że prawie wszyscy naukowcy są już na miejscu.

Przyjechała cała drużyna z Trondheim, a oprócz tego kilku profesorów z Oslo.

W barze panowała fantastyczna atmosfera. Leoville miało idealną temperaturę. Stephen zamówił czwartą whisky. Najwyraźniej górskie powietrze strasznie go wysuszyło. Fredric wciągnął w nozdrza aromat szlachetnego wina i z aprobatą skinął głową. Naprawdę świetny rocznik; bukiet był wyśmienity. Kiedy poczuł tę słoneczną woń, a cechy wina zaczęły powoli ujawniać się na języku i podniebieniu, pomyślał, że nie zamieniłby się z nikim innym na całym świecie.

Stephen właśnie przechodził atak tego, co w pewnych kręgach znane jest pod nazwą „delirium trutta”. Stan ten polega na chorobliwym przywoływaniu i rozpamiętywaniu pewnych szczegółów z niedalekiej przeszłości, a tematem tych rozważań zawsze jest wędkarstwo. Chory potrafi godzinami rozprawiać o okazach ryb, których to rzekomo (prawie) dotknął albo które tylko widział, lecz których (choć mało brakowało) nie udało mu się złowić. Atakowi delirium trutta towarzyszy z reguły natręctwo polegające na rozkładaniu ramion w celu zaprezentowania przypuszczalnych rozmiarów danego obiektu. Po ostrym epizodzie chorobowym często następuje faza wyciszenia i głębokiego zamyślenia; chory zaczyna przejawiać skłonności do filozofowania.

Po piątej szklaneczce Stephen nagle dziwnie zamilkł.

* Coś się stało? * zapytał Fredric.

W odpowiedzi Stephen energicznie potrząsnął głową. Potem wyciągnął w stronę Fredrica palec wskazujący, niemal dźgając go nim w brodę, i oświadczył:

* Im dalej w głąb doliny, tym większe pstrągi. I go right to Birmingham 'tell the King.

W ten niezwykle esencjonalny sposób Stephen podzielił się z przyjacielem swymi głębokimi przemyśleniami.

Nagle na schodach ukazała się znajoma postać. Fredric pociągnął spory łyk. Dziewczyna w błękicie, piękna Julia Hornfeidt. Piękna i emanująca arystokratyczną wyniosłością. Może to po prostu nieśmiałość, pomyślał Fredric. Zatrzymała się i rozejrzała po sali. Kiedy jej spojrzenie padło na Fredrica, odwróciła się gwałtownie, podeszła do baru i usiadła tak, że częściowo zasłoniła ją ściana.

Chwilę później pojawił się jej ojciec i ruszył prosto w stronę ich stolika.

* Nie przeszkadzam? * zapytał.

Pospieszili z zapewnieniami, że w żadnym wypadku. Profesor przysunął sobie krzesło i usiadł. Fredric przedstawił sobie panów, a kiedy Hornfeidt usłyszał, że Stephen jest archeologiem na Uniwersytecie Cambridge, oczy mu się zaświeciły. Po chwili byli zatopieni w dyskusji na temat różnych teorii dotyczących migracji na kontynent amerykański. Wiedza Hornfeldta nie ograniczała się do Półwyspu Skandynawskiego*

Fredric delektował się swoim winem i niezbyt uważnie

przysłuchiwał się rozmowie. Nagle jednak Hornfeidt zwrócił się do niego:

* Cieszę się, że mógł pan przyjechać. Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem pana prace na temat niektórych martwych języków. Ma pan na koncie dokonania zasługujące na najwyższy szacunek, szczególnie jeśli chodzi o pismo linearne B. To była prawdziwa rewolucja, nareszcie ktoś się zbuntował przeciwko tej całej szarlatanerii autorstwa Evansa i Ventrisa. Niestety, musi jeszcze minąć parę lat, nim pana praca zdobędzie uznanie. Proszę pamiętać, że Evans i Ventris rządzą niepodzielnie od niemal pięćdziesięciu lat. Nie mogę się doczekać, co pan powie na temat przedmiotów znalezionych w Rodalen. Widziałem parę z nich;

inskrypcje wyglądają naprawdę interesująco. Całkiem możliwe, że mamy do czynienia z przedrunicznym pismem obrazkowym.

Fredric podziękował za słowa uznania. Powiedział, że też się nie może doczekać, i wyraził nadzieję, że może na coś się przyda.

Profesor roześmiał się.

* Jest pan skromny. Chciałbym, żeby moja córka była taka skromna. Postawiła sobie za cel, że przerośnie samego Cham*polliona. Jej wielką namiętnością, podobnie jak pana, są czekające na odszyfrowanie języki, i pracuje pilnie jak mrówka, by zdobyć konieczne przygotowanie filologiczne. Na początek postanowiła dokonać deszyfracji pisma Majów, potem sławnego dysku z Fajstos oraz, rzecz jasna, tablic rongo*rongo z Wyspy Wielkanocnej. Nieźle, co? A tak poza tym * profesor pochylił się w stronę Fredrica * jest pana zagorzałą wielbicielką. Czytała wszystkie pana prace niezliczoną ilość razy. Jest pan dla niej wzorem, guru, chociaż ją i pana dzieli chyba niewielka różnica wieku. Ile pan ma lat? * Z szelmowskim mrugnięciem dał Fredricowi kuksańca w bok.

* Ile mam lat? Yyy... * Z wrażenia Fredric o mało nie rozlał wina. * Trzydzieści cztery * odpowiedział w końcu.

* No proszę, jest pan tylko dziesięć lat starszy od Julii. Ale zajmował się pan łamaniem szyfrów w wojskowości, prawda?

Fredric potwierdził skinieniem głowy. Nagle chwycił kieliszek i jednym haustem wychylił niemal całą jego zawartość. Oto do ich stolika zdecydowanym krokiem zmierzała piękna Julia we własnej osobie. Stała tuż obok Stephena, który właśnie wysączył ostatnie krople ze swojej szklanki i zamarł z dużym kawałkiem lodu w ustach.

* Skoro żaden z panów nie przejawia inicjatywy, postanowiłam sama ją przejąć. Zatańczysz ze mną?

* What? * Kostka lodu wylądowała w szklance. Stephen nie miał pojęcia, czego chce od niego ta piękna dziewczyna.

Profesor Hornfeldt pospieszył córce na pomoc i przetłumaczył. Kiedy do Stephena dotarło, o co chodzi, uśmiechnął się, wstał i wykonał ukłon. A potem para odplynęła na parkiet.

Fredric i profesor wrócili do rozmowy na temat prac wykopaliskowych. Hornfeldt powiedział, że istnieją plany wywłaszczenia całej doliny, całkiem bowiem możliwe, że ten teren kryje w sobie więcej skarbów. Już w lipcu ma się zacząć budowa porządnej drogi prowadzącej aż do stanowiska archeologicznego. W końcu właściciele gruntów zgodzili się, pod warunkiem, że to państwo będzie odpowiedzialne za budowę i utrzymanie całej drogi, aż do Kolbom.

* Rodalen ma szansę stać się prawdziwą atrakcją turystyczną * stwierdził profesor, po czym podniósł się z miejsca, mówiąc, że czuje się nieco zmęczony i zamierza wcześniej położyć się spać.

Fredric zamyślił się. Aha, a więc chcą wywłaszczyć Rodalen. Zbudować porządną drogę. Zaczną przyjeżdżać turyści. Może nawet za jakiś czas stanie tu muzeum. Zupełnie mu się to nie podobało. Dolina była taka piękna. Czy on i Stephen to ostatnie osoby, którym dane było cieszyć się urokami nieskażonej dzikiej przyrody? Miał nadzieję, że nie. Przypomniał sobie ostatnie dwa wersy z grenlandzkiego poematu: „Już stawia najeźdźca chciwy, Swój dom w zielonej dolinie”.

Wyglądało na to, że Stephen i Julia świetnie się bawią. Fredric poszedł na górę i przystanął koło recepcji. Ogród zimowy był naprawdę imponujący. Figowiec, juka, tropikalne paprocie. W Nord*Osterdal, siedemset metrów nad poziomem morza. Podeszedł do fontanny i zapatrzył się na płynącą wodę. Nagle ogarnął go dziwny niepokój. Dobry nastrój sprzed chwili minął bezpowrotnie.

Do drzwi wejściowych zbliżał się właśnie Lilleif Havsten w towarzystwie jakiegoś młodszego mężczyzny. Fredric ledwie zwrócił na nich uwagę. W myślach znowu był nad Storbekktjern, w chacie starego myśliwego. Dręczyło go poczucie, że ich rozmowa urwała się w bardzo niefortunnym momencie, że gdyby tylko mógł zostać tam dłużej, na pewno dowiedziałby się wielu interesujących rzeczy. Jednego był pewien: myśliwy źle zinterpretował jego pytanie o lalkę. Wyzwał go od złodziei i kryminalistów. Niewyraźne przecucie zaczynało przybierać na sile.

W barze zabawa trwała w najlepsze. Dopiero co minęła północ. Stephen i Julia siedzieli przy stoliku. Na widok przyjaciela Stephen zaczął gwałtownie machać rękami. Fredric z wahaniem podszedł do stolika. Rzadko kiedy czuł się tak niepewnie, jak wtedy, gdy przychodziło mu rozmawiać z pięknymi, młodymi kobietami. Jakby stapał po grząskim gruncie. Zapewne dlatego, że kilka razy poważnie się sparzył.

* Dobry wieczór, Pielgrzymie * pozdrowiła go wesoło Julia.

* Dobry * odparł kwaśno.

Na szczęście Stephen był w szczytowej formie i rozprawiał na wszelakie tematy, od wędkowania nad Amazonką aż do pe*troglifów w Stonehenge. Fredric tak się śmiał, że po dziesięciu minutach dystans, który początkowo odczuwał wobec Julii, całkowicie minął. Nawiasem mówiąc, siedziała teraz jakoś niebezpiecznie blisko niego.

* Tomorrow no fishing. Tomorrow big relaxing day!

Fredric nie miał nic przeciwko temu. Chciał poznać pozostałych naukowców, więc plan Stephena był mu na rękę. Swoją drogą, ciekaw był, ile whisky wlał w siebie jego przyjaciel. Orkiestra wreszcie zagrała porządny rockowy przebój. Fredric nie mógł się powstrzymać. Wstał, złożył przed Julią głęboki ukłon, a ona uśmiechnęła się w odpowiedzi. Julia okazała się bardzo sympatyczną dziewczyną. Jej arystokratyczna wyniosłość znikła bez śladu. Świetnie im się rozmawiało. Kiedy wrócili do stolika, okazało się, że Stephen zniknął. Julia zaproponowała spacer. Fredric nie dał się długo prosić.

Było ciemno, w mroku majaczył szczyt Kletten, niewielkiej góry wznoszącej się u wjazdu do hotelu. Po chwili wyczerpały im się wszystkie tematy i szli obok siebie w milczeniu. Fredric był zmęczony, zaproponował jednak spacer do skoczni. Mogliby wejść na bułę, skąd rozciągał się widok na Savalen.

Wszędzie wokół rósł las sosnowy, gęsty i ciemny. Nagle Fredric podskoczył. Czy mu się wydawało, czy rzeczywiście jakiś cień poruszył się wśród drzew?

Chwycił Julię za ramię i gestem dał jej do zrozumienia, by zachowała ciszę. Oboje wpatrywali się w mroczny las. Nic, cisza i spokój.

* Chyba mam halucynacje. To był męczący dzień, sporo wrażeń jak dla takiego mieszczucha jak ja * stwierdził.

Ruszyli dalej. Dotarłszy do buły, przystanęli i zapatrzyli się w rozciągający się przed nimi widok Savalen zasnutego nocną mgłą. Julia delikatnie wsunęła rękę pod ramię Fredrica. W tym momencie Fredric poczuł znane łaskotanie w nosie.

Zaczął wykrzywiać twarz w najstraszliwszych grymasach, jednak w końcu musiał się poddać. To było nieuniknione. W momencie eksplozji mimowolnie zrobił krok w przód. W tej samej chwili jakiś przedmiot musnął jego plecy, po czym poleciał dalej i z cichym pacnięciem trafił w trybunę sędziowską.

Fredric odwrócił się błyskawicznie. W mroku mignęła jakaś postać.

* Zaraz wracam! * krzyknął, rzucając się w stronę uciekającej w głąb lasu postaci. Słyszał trzask łamiących się gałązek.

Biegł, co sił w nogach. Droga pod górę była stroma. Przystanął. Gdzie się podział tamten? Stał bez ruchu, nasłuchując. Zagruchał gołąb. Fredric wyteżał wzrok, próbując dojrzeć coś w ciemnościach. Czy to kamienny blok, tam, kawałek dalej? Korzeń? Nie, coś się poruszyło! Znów rzucił się do biegu. Uciekinier podniósł się i skoczył w dół stromego, porośniętego rzadkim lasem zbocza. Tempo było szalone. Dzielilo ich od siebie zaledwie jakieś pięćdziesiąt

metrów. Fredric starał się nie stracić tamtego z oczu. Nagle potknął się o wystający korzeń i padł jak długi na ziemię, wsadzając przy okazji rękę w mrowisko. Podniósł się i potrząsnął nią w panice. Nie widział już przed sobą uciekiniera, słyszał jednak trzask łamanych gałązek. Nie poddawaj się, Fredricu, wytrzymaj jeszcze trochę!, dodawał sobie sił. Wynik tego spontanicznego biegu terenowego mógł okazać się decydujący. Wtedy znów zobaczył cień!

Byli teraz na drodze biegnącej wokół jeziora. Uciekinier zmierzał na północ, w szalonym tempie; Fredric starał się nie zostawać za bardzo w tyle. Mięśnie nóg były coraz sztywniej*sze, dyszał ciężko, czuł w ustach smak krwi. Dystans między nimi był za duży, nie widział dokładnie uciekającego. Wiedział jedynie, że to mężczyzna. I że ma nie najgorszą kondycję. Fredricowi udawało się jednak jakoś utrzymać tempo. Nie ma mowy, żebyś się teraz poddał, powiedział do siebie i zacisnął zęby. Jego płuca świszczwały niby miechy w starej kuźni. Nie było mu do śmiechu.

Dotarli do ostrego zakrętu, mężczyzna na chwilę zniknął mu z oczu. Gdy Fredric pokonał zakręt kilka sekund później, zobaczył przed sobą jedynie pustą drogę. Zahamował gwałtownie. Sukinsyn, udało mu się zwiąć.

Serce waliło mu z prędkością chyba ze dwustu uderzeń na minutę, w uszach tętniła krew. Którędy on uciekł? Fredric rozejrzał się dokoła. Po obu stronach drogi rósł las. Może sobie teraz szukać, co najwyżej uda mu się wystraszyć jakiegoś zająca.

Nasłuchiwał przez chwilę. Cisza, tylko plusk drobnych fal o kamienie pięćdziesiąt metrów poniżej.

Fredric stał przez moment, niezdecydowany. O nie, tak łatwo się nie podda! Zawrócił. Na zakręcie wspiał się na zwirowisko i usiadł na szczycie, skąd miał widok na drogę, zarówno od strony hotelu, jak i od północy.

Fredric Drum jest cierpliwy. Jak będzie trzeba, posiedzi tu choćby do świtu, wypatrując najdrobniejszego ruchu. Jeśli ktoś będzie szedł lasem, poniżej bądź powyżej, na pewno nie umknie to jego uwagi.

Do świtu. Właściwie już robiło się jasno, a było dopiero wpół do drugiej. Im jaśniej, tym lepiej, pomyślał, spoglądając na niebo. Zapowiadał się piękny dzień. Przeniósł wzrok na drogę.

Ze swojego miejsca widział też jezioro. Nagle zauważył jakąś dziwną smugę na poza tym spokojnej tafli. Podniósł się gwałtownie i zrobił kilka kroków. Teraz widział całe jezioro. Jak mógł na to nie wpaść! Jezioro miało w tym miejscu nie więcej niż dwieście*trzysta metrów szerokości. Jeszcze tylko sto metrów i mężczyzna znajdzie się bezpiecznie na drugim brzegu.

No cóż, to by było na tyle, Fredricu Drum. W ponurym nastroju ruszył w powrotną drogę do hotelu. Nie miał wątpliwości co do tego, że ten, kto właśnie zwiął mu sprzed nosa, ma wobec niego bardzo złe zamiary. Potrząsnął głową. Dlaczego? Dlaczego on, Fredric Drum, nieustannie musi robić za tarczę strzelniczą, i to w dodatku zawsze w takich miejscach, gdzie normalnie nikt nigdy do nikogo nie strzela? Czy jego udziałem nie mogłaby się w końcu stać jakaś ciekawa przygoda, która niekoniecznie wiązałaby się z zagrożeniem życia? Co w nim jest takiego, że zawsze musi znaleźć się w centrum jakichś makabrycznych wydarzeń? Co on takiego zrobił? Wino, badanie pisma, a teraz wędkowanie. Oto wszystkie jego grzechy. Może nie wolno łączyć ze sobą tych trzech rzeczy? Może złamał jakiś zakaz? Może mimowolnie stworzył jakąś alchemiczną formułę, która wywołała Złe? Był skłonny w to uwierzyć.

Widział już przed sobą budynek hotelu. Czuł zmęczenie, lecz nie sądził, by udało mu się zasnąć. Było niemal zupełnie jasno. Recepcja sprawiała wrażenie pustej i wymarłej.

Zastanawiał się, gdzie się podziewa Julia. Raczej nie mógł liczyć na to, że nadal stoi i czeka na niego tam, gdzie ją zostawił prawie półtorej godziny temu. Musiała pewnie pomyśleć, że jest co najmniej dziwny. Nagle rzuca się w głąb lasu w pogoni za jakimś człowiekiem!

Pewnie pomyślała, że to jakaś zabawa. Chłopięce figle. Nie sądził, by zauważyła przedmiot, który drasnął jego plecy i niemal bezgłośnie uderzył w trybunę.

Ciekawe, co to właściwie było?

Skręcił w lewo, w kierunku skoczni. Dotarł do buli i stanął mniej więcej w tym miejscu, w którym wtedy stał. Spojrzał za siebie. Drzewa rosły w odległości jakichś sześciu*siedmiu metrów. Tam stał wówczas napastnik. Potem skierował wzrok na trybunę.

Ruszył w stronę pomalowanego na brązowo budynku. Nie wiedział, czego właściwie powinien szukać. Miał nadzieję, że to był zwykły kamień. Niewinny kamień, rzucony przez jakiegoś dowcipnisa, który lubi straszyć ludzi po nocy. A potem ten dowcipny człowiek ucieka co sił w nogach i nawet przepływa na drugą stronę jeziora? Fredric potrząsnął głową. W tej samej chwili jego wzrok przyciągnął nieduży błyszczący przedmiot wystający ze ściany jakiś metr nad ziemią. Fredric pochylił się. Była to strzykawka.

Obejrzał ją ze wszystkich stron, nie dotykając. Dziwne. Normalnie tłok wciska się przecież do środka, a w tej strzykawce był on odwrócony. Znaczyło to, że gdyby chwycił ją i próbował wyciągnąć, automatycznie wstrzyknąłby jej zawartość we własne ciało.

Bardzo sprytny mechanizm. Był pewien, że gdyby strzykawka wbiła się w jego skórę, natychmiast by ją wyciągnął. Prosta reakcja, odruch. Płyn dostałby się do jego organizmu. Poczul, że robi mu się sucho w ustach.

Na ziemi leżała stara foliowa torebka. Podniósł ją, ostrożnie wyciągnął igłę ze ściany, łapiąc za część wystającą na zewnątrz, i włożył strzykawkę do torebki.

Zrobienie takiej strzykawki nie było wielką sztuką. Wystarczą zręczne palce. Łatwo też posłać coś takiego na dużą odległość, na przykład za pomocą dmuchawki.

Wspiął się kawałek wyżej i usiadł. Zza szczytów na wschodzie właśnie wychynęło słońce.

Ptaki wydzierały się co sił w płucach. Tam, na dole, stał razem z Julią. A za ich plecami stał ten ktoś.

Próba morderstwa. Domyślał się, co było w strzykawce * jedna z tych nowoczesnych syntetycznych toksyn, działających w ułamku sekundy i niemożliwych do wykrycia w organizmie. Ale przecież Julia byłaby świadkiem! Zobaczyłaby, jak Fredric wyciąga wbitą w jego plecy strzykawkę i pada na ziemię. Morderca nie mógłby podejść potem do jego martwego ciała i zabrać strzykawki, usuwając w ten sposób wszelkie ślady przestępstwa. Uznano by pewnie, że to serce. Gdyby nie Julia Hornfeldt. Julia była świadkiem.

Istniały jedynie dwie możliwości: albo morderca był tak zdesperowany, że było mu wszystko jedno, chciał za wszelką cenę pozbyć się Fredrica, albo Julia Hornfeldt współpracowała z mordercą. W końcu to ona zaproponowała spacer. Fredrica przeszedł lodowaty dreszcz.

Wyjął z kieszeni kryształową gwiazdę i przyłożył do oka. Brunatne promienie, paskudne, brunatne promienie. Czegoś takiego dotąd jeszcze nie widział.

Mowa kryształu była jasna i oczywista.

Twarz Fredrica skurczyła się w brzydkim grymasie. Każdy musiałby się cofnąć w przerażeniu pod spojrzeniem jego oczu.

Profesor się jeży,

dwaj mężczyźni płaczą oparci o pień sosny, a Fredric Drum widzi denata bez głowy
Gdzieś' z bardzo daleka dobiegało pukanie. Powoli przedzierał się przez zaslonę szarej mgły.

W końcu się obudził. Ktoś pukał do jego drzwi.

Było prawie wpół do dwunastej. Zamrugał, wciągnął na siebie dzinsy i poszedł otworzyć. W drzwiach stały dwa znaki zapytania: Stephen Pratt i Julia Hornfeldt.

* Gdzieś ty się podziewał? Już zaczynaliśmy poważnie się martwić, że coś ci się stało.

Często bawisz się w środku nocy w Indian i kowbojów? * Ton głosu zdradzał, że Julia jest nieco urażona.

Fredric odchrząknął.

* Jakiś facet chyba lubi żartować sobie z hotelowych gości. Dałem się nabrać i pobiegłem za nim do lasu. * Fredric powtórzył to samo po angielsku. Stephen w odpowiedzi tylko skinął głową i uśmiechnął się swoim szerokim uśmiechem, po czym pożegnał się, mówiąc, że zamierza spędzić ten dzień na lekturze książki w ogrodzie zimowym. Julia i Fredric zostali sami.

* Dlaczego uciekłeś? * Posłała mu oskarżycielskie spojrzenie.

* Zaraz „uciekłem” * odparł Fredric z wysiłkiem, jeszcze nie do końca rozbudzony. * Nie uciekłem. Chciałem tylko sprawdzić, kto łązi w nocy po lesie. Niestety, nie udało mi się go znaleźć.

* Pielgrzym lubi robić z igły widły * oznajmiła, akcentując każdą sylabę z osobna, po czym odwróciła się na pięcie i odmaszerowała.

Fredric wziął prysznic i ogolił się. Julia Hornfeldt musi być niesamowicie dobrą aktorką. Albo jest zupełnie niewinna i nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Fredric miał nadzieję, że raczej to drugie.

Na śniadanie zjadł znaleziony w kieszeni wafelek, który popił wodą. A potem pogrążył się w rozmyślaniach.

Strzykawka. Strzykawka numer dwa. Ktoś naprawdę chciał go zabić. Czy tylko jego?

Chwycił za telefon.

Najpierw zadzwonił na komendę policji w Oslo i poprosił do telefonu jednego z policjantów, którzy zajmowali się sprawą wypadku na promie. Udało mu się otrzymać wszystkie potrzebne mu informacje. Następnie odbył długą rozmowę z przewodniczącym Aqua Marina, klubu nurkowego, do którego należał kilka lat wcześniej. Na koniec zatelefonował jeszcze do Torbjorna Tinderdala, aby upewnić się, czy wszystko w porządku u niego i w restauracji. Szybko udzielił mu się jego dobry humor i kiedy odkładał słuchawkę, zauważył z zadowoleniem, że na zewnątrz świeci słońce.

Dzień mijał im spokojnie i leniwie, na krótkich przechadzkach i lekturze. Jednak cały czas Fredric był spięty i czujny, starając się jednocześnie, by przyjaciel niczego nie zauważył. Uważnie przyglądał się każdej twarzy. Może coś mu się uda dostrzec, może kogoś zdradzi mimowolna reakcja? Nie zauważył jednak niczego podejrzanego. Julii Hornfeldt nie było widać, jej ojca również nie.

Musiał zachować czujność, wyostrzyć wszystkie zmysły. W każdej chwili mógł się spodziewać nowego ataku. Nie zamierzał ułatwiać mordercy zadania. Fredric Drum maksymalnie skoncentrowany * to nie jest łatwy łup. Nawet na plecach miał oczy, niezliczone pary oczu, a opuszki palców były wyczulone na najdrobniejszy sygnał z otoczenia. Z zamkniętymi oczami potrafił dostrzec znacznie więcej niż to, co widać gołym okiem.

Podczas obiadu ogłoszono, że w sali konferencyjnej odbędzie się spotkanie informacyjne dotyczące prac wykopaliskowych. Grupa badawcza była już prawie w komplecie.

Spotkanie zaczęło się o ósmej. Oprócz Fredrica zjawili się czternaście osób. Fredric zajął miejsce na końcu długiego stołu. Spotkanie prowadził konserwator generalny, profesor Gerhardt Munch. Na początek wszyscy po kolei się przedstawili.

Archeolog Jacob Zimmer, starszy siwowłosy pan, pracownik Uniwersytetu w Oslo. Miał duże doświadczenie w prowadzeniu prac wykopaliskowych. Bystre, jasne oczy, zdradzające entuzjastyczne zainteresowanie tematem.

Archeolog Johanna Gudner, również z Uniwersytetu w Oslo. Specjalizacja: ubiór i przedmioty codziennego użytku w epoce wikingów i średniowieczu. Mocno zbudowana, lekka nadwaga, proste ciemne włosy opadające na twarz. Na oko po pięćdziesiątce, zawyrokował Fredric.

Studenci archeologii Gunnar Grepstad i John Ferner. Obaj tuż po dwudziestce, poważni, ciut spięci. To miała być ich pierwsza praca w terenie.

Profesor archeologii Victor Hornfeldt. Wesoły i jowialny, lecz jednocześnie budzący szacunek. Prawdziwy autorytet i nieformalny, lecz niekwestionowany przywódca grupy.

Konserwator regionalny Mathias Grinden. Niezgrabny i tyczkowaty, zielonkawa cera, głębokie, niemal bolesne spojrzenie. Zapewne po sześćdziesiątce, prawie na pewno cierpiący na jakąś chorobę.

Doktor med. Jens Vesterdal, oddział dermatologiczny, Rikshospitalet, Oslo. Około pięćdziesiątka, gładka, okrągła twarz. Łysinka, niespokojne dłonie.

Tor Meissner, wykładowca z Uniwersytetu w Tromsø, wydział patomorfologii. Młody, pewnie tuż po czterdziestce, robił wrażenie inteligentnego i zdecydowanego. Siedział obok Fredrica; uśmiechnął się i mrugnął wesoło, kiedy się sobie przedstawiali.

Profesor doktor Cecilie Lund*Hoegh, wydział radiologii, Wyższa Szkoła Techniczna w Trondheim. W średnim wieku, przenikliwe spojrzenie, szczupła twarz o ostrych, wyrazistych rysach.

Radiolog Edvard Havsten, Wyższa Szkoła Techniczna w Trondheim. Tuż po trzydziestce, blady, poważne spojrzenie, spokojny i opanowany. Fredric aż podskoczył, kiedy usłyszał nazwisko.

Johan Motzfeldt, Muzeum Zoologiczne w Oslo. Pięćdziesiąt parę lat, tłustawy, wąsiki i baczki. Wygląd nieco szelmowski, sprawiał wrażenie, jakby nie brał tego wszystkiego zbyt poważnie. To pewnie tylko maska, pomyślał Fredric.

Profesor odontologii, doktor Martin Griiner, Wyższa Szkoła Techniki Dentystycznej, Oslo. Młody jak na profesora, tuż po czterdziestce. Gładka twarz, grube okulary.

I na koniec: Marta Mulligan, wydział mikrobiologii, instytut biologii, Oslo. Szczupła, blada twarz, okulary w czarnych rogowych oprawkach. Lekki akcent wskazujący na anglosaskie pochodzenie.

Gdy przyszła jego kolej, by się przedstawić, Fredric z uwagą przypatrywał się zebrany. Może ktoś zdradzi spojrzeniem, grymasem czy gestem coś więcej niż obojętność czy neutralne zainteresowanie jego osobą. Nie zauważył jednak niczego podejrzanego. Jedyna nietypowa reakcja, w formie pogardliwego prychnięcia, pochodziła od Jacoba Zimmera, archeologa z Oslo, jednego z jego największych oponentów. Zimmer całkowicie negował wartość prac Fredrica Drum i niejednokrotnie dawał temu wyraz w różnych publikacjach. Fredric nie zamierzał się nim przejmować; Jacob Zimmer w swoim zatwardziałym konserwatyźmie był całkowicie niegroźny.

A młody, poważny radiolog Edvard Havsten? Czy był spokrewniony z kolegą Hegtuna, Lilleifem Havstenem? Można było dostrzec między nimi pewne podobieństwo. Wydawał się spokojny i opanowany. Kiedy Fredric wstał, by się przedstawić, zwrócił na niego spojrzenie poważnych oczu.

* Drogie koleżanki, drodzy koledzy * zaczął profesor Hornfeldt. * Chyba wszyscy w napięciu czekamy, co przyniosą kolejne dni. Być może nasze odkrycie okaże się wyjątkowe w skali europejskiej, wiele na to wskazuje, zaś w skali naszego kraju odnalezienie dobrze zachowanych zwłok z epoki żelaza to prawdziwa sensacja. Jak wam wiadomo, jest to pierwsze tego rodzaju odkrycie na terenie Norwegii, wcześniej odnaleziono jedynie źle zachowane fragmenty kości datowane na rok około 200 naszej ery; trudno nawet porównać te dwa odkrycia. * Profesor zrobił małą pauzę. * Mamy tu do czynienia z tak zwanymi mumiami bagiennymi, zwanymi też ludźmi z bagien. Jak wszystkim wiadomo, zwłoki pogrzebane w torfowisku często doskonale się zachowują. Proces rozkładu ciała ludzkiego jest bardzo skomplikowany; ciało gnije, materiał organiczny rozpada się pod wpływem działania bakterii, które opanowują martwe ciało. Bakterie te pochodzą głównie z jelit i przewodu pokarmowego, ale również na przykład z dróg oddechowych, rozprzestrzeniają się też poprzez układ krwionośny. Ciało dorosłego człowieka, pochowane na zwykłym norweskim cmentarzu, zamienia się w szkielet w ciągu mniej więcej dziesięciu lat, ciało dziecka * pięciu lat. Szczególnie odporne na rozpad są kości, zęby, chrząstka, włosy, paznokcie i soczewka oka. Natomiast ciało pochowane w torfowisku przechodzi zupełnie inny proces. Może ulec mumifikacji. Istnieją dwa rodzaje torfowisk, wysokie i niskie. Oba składają się z martwych resztek roślinnych i działają mniej lub bardziej konserwująco. Brak w nich dostępu powietrza,

a tlen gra zasadniczą rolę w procesie rozkładu materiału organicznego. Woda zmniejsza dopływ tlenu. Proces gnilny zostaje spowolniony lub nawet całkowicie zatrzymany. Meissner z wydziału patomorfologii podniósł rękę.

* Czasami w skład torfowiska wchodzi nanoszone przez wody gruntowe znaczne ilości fosfatów, saletry i wapna. Wiemy, że wapń niszczy tkankę skórą, włosy i wełniane tkaniny. Z jakim typem torfowiska mamy tutaj do czynienia?

* Nasze torfowisko jest wolne od wspomnianych zanieczyszczeń. Właśnie dlatego te znaleziska są tak interesujące.

Mamy tu do czynienia z torfowiskiem wysokim, zasilanym wodami opadowymi, nie rzeczonymi czy źródłanymi. Mchy z grupy torfowców, Sphagnum, mają wyjątkowe właściwości absorbowania wody. Deszczówka jest kwaśna i prawie nie zawiera soli ani innych niszczących substancji, jak na przykład wapń. Głęboko położone warstwy torfu są tak mocno ubite, że zawierające niszczące minerały wody gruntowe nie mogą się przez nie przedrzeć i wymieszać z wodami opadowymi. Kwaśne wody grają najważniejszą rolę w procesie konserwacji zwłok. Woda o silnym odczynie kwaśnym działa jak garbnik, a poza tym zatrzymuje proces gnicia, który normalnie zaczyna się bardzo szybko, szczególnie jeśli chodzi o zawartość żołądka. Ważne jest też, by woda miała niską temperaturę. Powyżej czterech stopni Celsjusza zaczynają się rozwijać bakterie gnilne. Dobry stan mumii bagiennych znalezionych na terenie Europy wskazuje więc na to, że ludzie ci musieli umrzeć zimą. W takich warunkach tkanka skórą konserwuje się, zaś wapń i inne obecne w kościach minerały znikają.

* Często organy wewnętrzne są zachowane w doskonałym stanie, o wiele lepiej niż w przypadku z mumifikowanych zwłok innego typu. U niektórych mumii bagiennych znalezionych w Danii zachowała się nawet treść żołądkowa, co dostarczyło wielu cennych informacji na temat ówczesnych zwyczajów żywieniowych.

* Czy zanim teren został zamknięty ubiegłej jesieni, pobrano z torfowiska próbki i wykonano badania składu organicznego i mineralnego? * zapytała archeolog Johanna Gud*ner. * A jeśli tak, to jak przedstawiają się wyniki badań?

Marta Mulligan z wydziału mikrobiologii podniosła się z miejsca.

* Poddaliśmy analizie szereg próbek pobranych w miejscu znaleziska. Wykazały one, że panują tam optymalne warunki dla zachowania materii organicznej * odpowiedziała, wyciągając z teczki wykresy.

Fredric Drum podniósł rękę i spytał:

* Rozumiem, że znalezione przedmioty, zabrane do laboratorium w Trondheim, poddano badaniom metodą węgla C*14? Do tej pory nie miałem okazji zapoznać się z wynikami badań i zastanawiam się, czy mógłbym teraz na nie spojrzeć.

Doktor Cecilie Lund*Hoegh i Edvard Havsten unieśli ręce. Havsten był odrobinę szybszy.

* Dokumentacja wyników badań wykonanych w Wyższej Szkole Technicznej w Trondheim, którą tu widzimy i której kopie dostaną państwo do ręki po naszym spotkaniu, zawiera również wyniki datowania radiowęglowego. Zbadano dziesięć próbek, wynik był ten sam: znalezione przedmioty pochodzą z około 200 r. p.n.e., margines błędu wynosi plus*minus osiemdziesiąt lat.

Havsten wydawał się bardzo dumny, że było mu dane podzielić się tymi informacjami.

Doktor Lund*Hoegh kiwała głową dla potwierdzenia słów młodszego kolegi. Wśród zgromadzonych przeszedł szmer. Dwieście lat przed naszą erą! Młodsza epoka brązu lub wczesna żelaza. Fakt, że odkrycia dokonano właśnie tutaj, na górzystym obszarze w głębi kraju, czynił je prawdziwą sensacją.

Fredric ponownie zabrał głos:

* Byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym mógł jak najprędzej otrzymać znalezione przedmioty i przystąpić do pracy. Zamierzam pracować ex situ. To znaczy w hotelu i mógłbym zacząć

jeszcze dziś wieczorem. Zapewne zdają sobie państwo sprawę, że takie prace są bardzo czasochłonne.

Doktor Cecilie Lund*Ffeegh spojrzała na niego z zakłopotaniem, po czym rozłożyła ręce i przeniosła wzrok na profesora Hornfeldta.

* Obiekty znajdują się w ognioodpornym skarbcu w Trondheim. Myślałam, że zdjęcia...

Profesor Hornfeldt przerwał jej brutalnie:

* Dałem wyraźnie do zrozumienia, że pan Fredric Drum pragnie zobaczyć oryginały. Kto jest odpowiedzialny za obiekty?

Młody Havsten dziwnie zbladł. Wpatrywał się okrągłymi oczami w doktor Cecilie Lund*Hoegh.

* Ja * powiedziała.

* Zatem * profesor cały się zjeżył * bardzo proszę, by powiadomiła pani kogoś w Trondheim, aby niezwłocznie przysłał znaleźiska do Savalen. Ekspresem. Pan Drum ma je otrzymać najpóźniej jutro wieczorem.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Fredric wykorzystał okazję, by przyjrzeć się twarzom zebranych. Może na którejś z masek pojawi się rysa? Jednak niczego takiego nie zauważył. Dostrzegł natomiast, że drzwi do sali konferencyjnej są uchylone. W szparze ujrzał czyjaś sylwetkę. I oczy. Nie było wątpliwości, za drzwiami stał Parelus Hegtun.

Przygotowano rzutnik i ekran. Ponieważ stanowisko w Rodalen zostało objęte zakazem fotografowania, nie było żadnych slajdów stamtąd. W zamian mieli obejrzeć prezentację zdjęć najbardziej znanych mumii bagiennych znalezionych na terenie Danii i Anglii.

Komentował Jacob Zimmer.

* Niecałe pięć lat temu * zaczął, a na ekranie pojawiło się pomarszczone, leżące w skulonej pozycji ciało * w bagnach Lindów, na południe od Liverpoolu, znaleziono tego oto dżentelmena. Człowiek z Lindów, znany też jako Pete Marsh, jako że „peat” to po angielsku „torf”, zaś „marsh” * „bagn”, zginął okrutną śmiercią. Jego szyję oplatała lina, kilka kręgów szyjnych było złamanych. Wygląda na to, że najprawdopodobniej duszono go powoli, stopniowo coraz mocniej zaciskając linę; było to zapewne coś w rodzaju słynnej hiszpańskiej garoty. Jednak oprócz tego, że Pete Marsh został uduszony, najpierw prawdopodobnie uderzono go kilka razy toporem w głowę; w jego mózgu znajdują się odłamki kości. Na koniec poderżnięto mu gardło. Kiedy zatapiano go w bagnie, był w każdym razie martwy. Musiało to mieć miejsce we wczesnej epoce żelaza, około 500 r. p.n.e., jak wykazało badanie kości metodą C*14. W chwili śmierci miał pewnie około dwudziestu pięciu lat. Jego ciało było dobrze zbudowane, mocne i zdrowe. Młody mężczyzna w sile wieku, który zginął straszliwą śmiercią dwa i pół tysiąca lat temu. Jego ostatni, skromny posiłek składał się z nasion chwastów, owoców buku i zbóż.

Następne zdjęcie ukazywało głowę mężczyzny o wyrazistych, niemal przerażająco żywych rysach. Czoło przecinały głębokie zmarszczki.

* To * podjął Zimmer * jest pierwsza dobrze zachowana mumia bagienna odkryta na terenie Europy. Sławnego człowieka z Tollund znaleziono w latach pięćdziesiątych; niestety, reszta ciała uległa zniszczeniu, gdyż przechowywano je w nieodpowiednich warunkach. Brakowało wówczas wiedzy na temat metod konserwacji tego typu znalezisk. Ocalała jedynie głowa, jak widać, tym bardziej pełna dramatycznego wyrazu. Człowiek z Tollund został powieszony, wokół szyi miał zaciśniętą pętlę. Zwłoki pochodzą zapewne sprzed około dwóch tysięcy lat. Później znaleziono jeszcze wiele mumii bagiennych na terenie Danii. Ulepszono metody konserwacji. Kiedy nasze mumie trafią na Uniwersytet w Oslo, na miejscu będzie czekała grupa ekspertów z Danii, by służyć swą wiedzą i umiejętnościąmi.

Jacob Zimmer kontynuował ten nieco makabryczny pokaz. Teraz nastąpiła seria zbliżeń mumii bagiennych. Najsławniejszym z nich towarzyszył wyczerpujący komentarz.

Szczególnie dużo uwagi poświęcił Zimmer dwóm najlepiej zachowanym mumiom, człowiekowi z Grauballe i kobiecie z Huldremo*se. Człowiek z Grauballe leżał w dziwnej, skręconej pozycji. Poniósł śmierć przez poderżnięcie gardła. Kobieta została pogrzebana w odświętnym stroju. Większość tego typu znalezisk miała jedną wspólną cechę: ludzie ci zginęli gwałtowną i okrutną śmiercią.

Po pokazie trzy z obecnych na zebraniu osób, które uczestniczyły w pracach wykopaliskowych jesienią ubiegłego roku, zasypano gradem pytań. W jakim stanie były zwłoki, czy widzieli je w całości, i tak dalej. Profesor Hornfeldt odpowiedział w skrócie: * Cecilie Lund*Hoegh, Jacob Zimmer i ja zdecydowaliśmy, że zwłoki należy z powrotem przykryć warstwą torfu, tak aby zapobiec procesowi rozkładu. Widzieliśmy ciała od piersi w dół. Wówczas nie znaleźliśmy fragmentów ubrań, zapewne zostaną odnalezione teraz. Ale jedną rzecz mogę z całą pewnością stwierdzić: mamy do czynienia z bardzo starym znaleziskiem. Skóra na stopach, biodrach i brzuchu jest bardzo skurczona i pomarszczona, co świadczyłoby, że zwłoki liczą sobie co najmniej tysiąc lat, najprawdopodobniej nawet dwa tysiące. Na razie określiliśmy wiek znalezionych przedmiotów. Zresztą jutro sami państwo będą mieli okazję zobaczyć. Trzeba usunąć brezent oraz górną warstwę torfu. Wszyscy mogą czuć się zaproszeni.

Na tym zakończyło się pierwsze spotkanie. Fredric szybkim krokiem ruszył do wyjścia. Zauważył, że w momencie, gdy Hornfeldt skończył, postać za drzwiami zniknęła.

Na schodach prowadzących do recepcji zaczął go Edvard Havsten, radiolog z Trondheim.

* Bardzo mi przykro, Drum * zaczął poważnie * ale to jakieś nieporozumienie. Wyraźnie uprzedziłem doktor Lund*Hoegh, że chcesz mieć do dyspozycji oryginały. Nie miałem pojęcia, że jednak ich ze sobą nie wzięła.

* Nie ma sprawy * odparł Fredric. * To nie takie pilne. Tylko jak sam zapewne rozumiesz, umieram z ciekawości * uśmiechnął się.

* Na pewno jutro je dostaniesz * zapewnił go Edvard, robiąc jeszcze bardziej grobową minę, jakby to na nim spoczywała cała odpowiedzialność.

Młody naukowiec, z powagą traktujący swoją pracę, pomyślał Fredric. Może z nadmierną powagą; daleko nie zajdzie, jeśli nie pozwoli sobie choćby na odrobinę fantazji i spontaniczności.

* A tak przy okazji * przypomniał sobie, kiedy już mieli się pożegnać * czy ty i Lilleif Havsten, który mieszka tu, w hotelu, to rodzina?

*To mój ojciec * odparł tamten, uciekając spojrzeniem w bok.

* Go right to Birmingham 'tell the King! * wykrzyknął Stephen. * Datowanie C*14 wykazało, że przedmioty mają ponad dwa tysiące lat?

* Aha * potwierdził Fredric.

Zbliżało się wpół do jedenastej, przyjaciele znaleźli spokojny kącik w barze i Fredric właśnie składał raport ze spotkania. Stephen początkowo próbował stłumić zawodową ciekawość. Był w końcu na wakacjach, miał zamiar łowić ryby i odpoczywać, a nie zajmować się jakimiś tam badaniami archeologicznymi. Nie odniosło to jednak większego skutku, już zdążył się zarazić entuzjazmem Fredrica. Siedzieli więc pogrążeni w dyskusji, rozważając różne hipotezy na temat znalezionych przedmiotów. Rozważania te przerwało przybycie trzeciej osoby. Julia Hornfeldt osunęła się na krzesło.

* Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś tak potwornego. * Mówiąc to, mocno zacisnęła powieki.

* Co? * spytali chórem panowie.

Julia opowiedziała, jak to po obiedzie wzięła samochód taty i wybrała się na wycieczkę do Rodalen. Kiedy już uiściła opłatę za przejazd, nagle drogę zastąpiła jej jakaś ogromna postać. Musiała wysiąść z samochodu, olbrzym za nic nie chciał zejść z drogi. Był strasznie stary, a brzydotą nie dorównałby mu najbrzydszy z trolli. Zanim ją puścił, wyrzucił z siebie długą

serię grózb i przekleństw, z których udało jej się zrozumieć może z połowę. Jego dialekt był bardzo specyficzny. W każdym razie krzyczał, żeby całe to towarzystwo, co ostatnio najężdża jego dolinę, straszny mu owce, grzebie w ziemi i chce tu budować drogę i wszystko zniszczyć, poszło sobie

w końcu do wszystkich diabłów. „Ale nie nazywam się Stalg Stalgson, wrzeszczał, jeśli wkrótce nie zrobię z tym porządku. Mam wszystko na papierze, wszystko!“. W końcu dał jej przejechać, ale wtedy była już w tak okropnym stanie, że musiała się zatrzymać i wysiąść z samochodu. Siadła na jakimś kamieniu i długo dochodziła do siebie. Nie udało jej się zbytnio nacieszyć pięknem doliny Rodalen.

Obaj panowie tylko potrząsnęli współczująco głowami.

* Po powrocie * ciągnęła Julia * rozmawiałam z właścicielem hotelu, który powiedział mi, że to był stary Stalg Stalgson, jeden z tutejszych mieszkańców najbardziej sprzeciwiających się wszelkim zmianom w Rodalen. Jego syn, oczywiście też o imieniu Stalg, podsycił jego upór, informując go na bieżąco

o tym, co się dzieje w dolinie, i opowiadając, że będzie katastrofa i koniec świata, jeśli te miastowe nie przestaną. Zamierzają złożyć skargę na państwo, żeby zapobiec wywłaszczeniom

i budowie drogi. Jak myślicie, czy to możliwe, że przez tych dwóch upartych osłów prace archeologiczne zostaną wstrzymane? * Julia wychyliła ostatnie krople swojego campari.

* Nie sądzę * odparł Fredric. * Nikt nie może zatrzymać prac archeologicznych. Wszystkie prawa własności i prawa zwyczajowe muszą zejść na drugi plan. Właściciele gruntów nie mają tu nic do gadania.

Czuł się zmęczony, miał ochotę wcześniej się położyć. Ustalili jeszcze tylko, że następnego dnia wybiorą się znowu na ryby. Trzeba przetestować kolejne jeziora. Stephen pojedzie samochodem, natomiast Fredric najpierw uda się wraz z pozostałymi na stanowisko, a później do niego dołączy. Zostanie im jeszcze całe popołudnie i wieczór.

Odchodząc, usłyszał jeszcze, jak Julia lekko urażonym tonem mruczy, że pewnie znowu idzie do lasu pobawić się w har*cerzyka. Fredric udał, że nie słyszy, uśmiechnął się tylko cierpko. Pobawić się w harcerzyka!

Pomimo zmęczenia oczywiście nie mógł zasnąć. Kiedy tylko zamknął oczy, widział dziwaczne obrazy, mumie bagienne, mumie Eskimosów... W głowie huczały mu nazwiska profesorów i mieszkańców doliny. A więc tu się toczy jakaś wojna. Nie mógł tylko zrozumieć, jaką rolę on w tym wszystkim odgrywa. Czy to, co się tu dzieje, jest kontynuacją wydarzeń z Oslo, czy raczej to właśnie Savalen i Rodalen są punktem zapalnym? Raz, a może nawet dwa, ktoś próbował go zabić w Oslo, raz tutaj. To nie żarty.

Udało mu się uzyskać od policji pewne informacje na temat jachtu motorowego. Kierowca nazywał się Kent Johan*sen, był bezrobotnym z Drammen. Przegląd techniczny wykazał, że ster rzeczywiście się zaciął. Trudno jednak było osądzić, czy ktoś zadbał o to wcześniej. Bezrobotny, a miał jacht? Zastanawiające.

Fredric Drum poczuł nagle, że potrzebuje jakiegoś wymagającego skupienia i zaangażowania zajęcia, czegoś, co pomogłoby mu porządnie przeczyścić zwoje mózgowie. Wszystko stałoby się wówczas o wiele jaśniejsze. Oby jak najszybciej przysłali te obiekty; praca pomoże mu odzyskać koncentrację i jasność myślenia. Wszystkie elementy powinny poukładać się wtedy w kryształowo jasną całość.

Już zasypiał, kiedy przez otwarte okno dobiegły jakieś dziwne dźwięki. Jakby płacz. Podkraść się do okna i wyjrzał.

Na skraju lasu, wsparci o pień sosny, stali dwaj mężczyźni i płakali. Od czasu do czasu któryś z nich coś mówił, ale za cicho, by Fredric mógł rozróżnić słowa. Za to po chwili rozpoznał, kim byli ci dwaj: Lilleif Havsten i jego syn Edvard, młody radiolog z Wyższej Szkoły Technicznej w Trondheim.

Fredric Drum zabrał się samochodem z Torem Meissnerem, młodym naukowcem z instytutu patomorfologii na Uniwersytecie w Tromsø. Meissner zwierzył się, że najpierw interesowała go medycyna sądowa, ale z czasem coraz bardziej zaczęły go fascynować badania nad chorobami w dawnych wiekach i studia nad anatomią naszych przodków. Jak dobrze pójdzie, napisze doktorat na temat znaleziska w Rodalen. Fredric z kolei opowiedział o swojej namiętej miłości do martwych języków i przedstawił w skrócie swoją teorię na temat istnienia przedrunicznego pisma obrazkowego, stworzonego prawdopodobnie przez plemiona rasy mongolskiej, które osiedliły się na Północy zaraz po ostatnim zlodowaczeniu. Obaj już nie mogli się doczekać, kiedy wreszcie zobaczą, co kryją bagna Rodalen.

Szlaban przy Garviksetra zniknął. Fredric pomyślał, że to pewnie konserwator regionalny o to się postarał. Teraz droga była wolna aż do ujścia doliny.

Zaparkowali w miejscu, gdzie kończyła się żwirówka. Czekał ich jeszcze czterdziestopięciominutowy spacer. Stanowisko leżało nieco bardziej na północ w stosunku do miejsca, w którym Stephen i Fredric wędkowali. Jak powiedział profesor Hornfeldt, przewieziono już na miejsce traktorami wszystkie potrzebne narzędzia. Wszystko było gotowe, mogli rozpocząć prace.

Na wyprawę zdecydowali się prawie wszyscy członkowie grupy badawczej. Brakowało tylko radiologa z Trondheim, Edvarda Havstena, i doktor Cecilie Lund-Hoegh. Nie zjawili się też: Grinden, konserwator regionalny, i dermatolog Jens Vesterdal. Szli małymi grupkami, walcząc z komarami i przystając od czasu do czasu, by podziwiać wspaniałe widoki.

Fredric obserwował uważnie mijane jeziora i lekko podekscytowany zauważył, że na powierzchni wody co i rusz pojawiają się kuszące kręgi. Stephen miał się zjawić za kilka godzin; do tego czasu on powinien się wyrobić.

Oczywiście nie tracił czujności. Jeśli ktoś postanowił się go pozbyć, Fredric musiał się liczyć z tym, że może to nastąpić w każdej chwili, choć raczej mało prawdopodobne, by ktoś chciał zaatakować go w biały dzień, w obecności dziesięciu innych osób i na otwartym terenie. To chyba jednak za duże ryzyko.

Minęli Vesltjern. To tu udało mu się złowić tamte wspaniałe pstrągi. Stąd było już niedaleko do miejsca, w którym dokonano odkrycia.

Obok niego kroczył profesor Hornfeldt, był w wyśmienitym humorze. Wyraźnie nie mógł się doczekać rozpoczęcia prac.

* To był prawdziwy fart. Czysty przypadek * mówił. * Właśnie kopano jakiś kanał, zdaje się, że pod tarło dla ryb; na szczęście kierowca koparki zauważył wystającą z brunatnego trzęsawiska ludzką stopę i od razu zatrzymał maszynę. Popędził do samochodu, podjechał do najbliższego telefonu i zadzwonił na policję i do lekarza. Był pewien, że to zwłoki zaginionych Belgów. Słyszał pan zapewne, że kilka lat temu zginęła tutaj trójka turystów? Fredric skinął głową w odpowiedzi, po czym zapytał:

* Ale jak zareagowała policja i lekarz? Jak wpadli na to, że zwłoki są znacznie starsze, że być może to cenne znalezisko archeologiczne? Sama stopa...

Profesor zaczął się śmiać.

* Znowu szczęśliwy przypadek * powiedział. * Lekarz był człowiekiem raczej ostrożnym. Najpierw pogrzebał trochę wokół wystającej kończyny, znalazł kilka przedmiotów i stwierdził, że wyglądają na bardzo stare. Poddawszy stopę bliższym oględzinom, zrozumiał, że zwłoki też nie są bardzo nowe. Zostawił wszystko tak, jak było, i powiadomił konserwatora regionalnego, który z kolei skontaktował się z nami. Byliśmy na miejscu kilka dni później. Jak panu wiadomo, działo się to na początku października, chwycił już mróz, śnieg mógł spaść łąda chwila, zabezpieczyliśmy więc stanowisko, ogrodziliśmy teren i postanowiliśmy poczekać z dalszymi pracami do lata.

* Ale słyszałem o dwóch ciałach, więc chyba jednak jakieś prace zostały wykonane.

* Nie, prawie nic. Usunęliśmy jedynie trochę ziemi wokół pierwszego ciała, tak że odsłoniła się część zwłok do klatki piersiowej, zabraliśmy znalezione przedmioty i dokładnie obejrzelśmy miejsce, w którym pracowała koparka. Zaledwie dwa metry od pierwszych zwłok zobaczyliśmy kolejną sterczącą z ziemi stopę. Ledwie było ją widać, więc nic dziwnego, że kierowca niczego nie zauważył. Ostrożnie usunęliśmy ziemię wokół i naszym oczom ukazały się zwłoki numer dwa. To znaczy same stopy...

* Kurczę * wykrzyknął Fredric * to bagno może kryć całe tuziny zwłok, może nawet cały cmentarz!

Profesor przytaknął z zapalem.

* Na pewno jest tu dużo szczątków kostnych, ale zapewne są to kości zwierząt.

Gunnar Grepstad, student archeologii, coś pokazywał, cały przejęty. Kilkaset metrów przed nimi połyskiwało jezioro. Po jego wschodniej stronie ciągnął się brunatny pas; mniej więcej pośrodku bagniska oddzielono ogrodzeniem niewielki obszar, który następnie przykryto brezentem, teraz powiewającym lekko na wietrze. Pod brezentem niknęła prosta, nieco ciemniejsza linia. Drugi jej koniec ginął w pobliskim brzozowym lasku. Był to wykopany podczas jesiennych robót kanał.

W milczeniu, pełni napięcia zbliżali się do ogrodzenia. Niektórzy starali się tak ostrożnie, jak to tylko możliwe, skakać z kępy na kępę, jakby bali się, że pod wpływem ciężaru ich ciała ukryte tuż pod cienką warstwą torfu skarby mogą ulec zniszczeniu. Ktoś przeciął drut kolczasty, zaś Grepstad i drugi student, John Frener, zaczęli usuwać kamienie, którymi przyciśnięty był brezent. Profesor Hornfeldt krążył dokoła, wydając polecenia. Pracowali w milczeniu. Po chwili brezent został zwinięty i ich oczom ukazał się rów. Parujące bagnisko. Wszyscy z niejakim wahaniem podeszli bliżej.

Fredric stał obok Tora Meissnera. Rów rozszerzał się na końcu, mógł mieć jakieś półtora metra szerokości i niecały metr głębokości. Czuć było surową woń torfu.

* Ciała przykrywa warstwa ziemi * powiedział Hornfeldt. * Johanna, weźcie, ty i Grepstad, te mniejsze szpadle. Ferner, chodź ze mną, spróbujemy razem tutaj.

Victor Hornfeldt i Johanna Gudner wskoczyli na dno rowu. Studenci, nieco pobladli, po chwili wahania poszli w ich ślady. Fredric zauważył, że gdzieś w ziemi tkwią jakieś patyki. Na każdym z nich widniały litery i cyfry. Przykryte warstwą ziemi znaleziska najwidoczniej starannie oznakowano. Hornfeldt i Gudner byli profesjonalistami.

Rozmawiano przyciszonymi głosami. Profesor udzielił studentom kilku wskazówek i cała czwórka zaczęła wprawnie wymachiwać łopatami. Sześć twarzy, sześć par oczu w milczącym napięciu śledziło z góry każdy ich ruch.

Minęło pięć minut, dziesięć, kwadrans. Słysząc było tylko, jak mokra ziemia mlaska pod gumiakami. Kopano niezwykle ostrożnie. Po dwudziestu minutach rozległ się okrzyk. Gunnar Grepstad zobaczył stopę.

Teraz w ruch poszły pędzelki i specjalne aparaty na baterie. Po chwili pracujący w dole odsunęli się na bok. Bagno parowało, wszędzie wokół unosiły się roje komarów. Fredric spojrział w dół.

Zobaczył zwłoki, a właściwie ich dolną połowę, wystające nad powierzchnię trzęsawiska. Skóra była szaroczarna i pomarszczona, stopy chude, pod skórą wyraźnie rysowały się żyły i kości. Można było przypuszczać, że stopy te należały do mężczyzny, chociaż podbrzusze było tylko nieforemną masą. Widać było jeszcze kawałek ramienia, natomiast klatka piersiowa, ramiona i głowa nadal znajdowały się pod ziemią.

Profesor Hornfeldt otarł pot z czoła, podniósł wzrok i powiedział:

* Patrzcie * po czym wziął do ręki nie większą od łyżeczki łopatkę i delikatnie postukał nią w ciało mumii. Zabrzmiało to tak, jakby stukał w drewno.

* Twarde jak kamień * stwierdził. * Wysuszone i wygarbowane. Trzeba wielu setek lat, by zwłoki zakonserwowały się w ten sposób.

Nagle wszyscy zaczęli mówić naraz, podnieceni i zachwyceni.

A więc to prawda; wszystkich trochę dręczyła myśl, że rów okaże się pusty, że mumie w jakiś tajemniczy sposób zniknęły przez zimę. Teraz wątpliwości się rozwiały, widzieli to na własne oczy.

Hornfeldt, Gudner i studenci znów wzięli się do roboty. Zamierzali odsłonić zwłoki w całości. Fredric i pozostali w napięciu śledzili postępy pracy. Powoli ich oczom ukazywała się coraz większa część ciała mumii. Klatka piersiowa, chuda i zapadnięta. Dziwnie wykręcone ramiona, barki, szyja. Nagle pracująca w dole czwórka przerwała pracę. Hornfeldt zaklął soczyście.

Mumia nie miała głowy.

8

Stephen i Fredric przygotowują ucztę Lukullusa,
właściciel hotelu się zwierza,
a nad doliną zapada cisza

* Nie było to chyba aż takie dziwne, co? * Stephen siedział na ziemi i natłuszczał linkę specjalnym smarem. * Człowiek z Lindów został uduszony, człowiekowi z Grauballe poderżnięto gardło, i tak dalej. Ci ludzie z reguły kończyli w mękach, ich ciała noszą ślady tortur. Widocznie tutaj, na północy, odcinano zwłokom głowy, nim wrzucono je do bagna. Fredric odnalazł przyjaciela nad Vesttjern, zajętego montowaniem sprzętu. Opowiedział mu w szczególach, jak przebiegła wyprawa i jak ogromne rozczarowanie wszyscy przeżyli, kiedy okazało się, że mumiom brakuje głów. Martin Griiner, odontolog z Wyższej Szkoły Techniki Dentystycznej, niewiele miał do roboty. Chyba że odkryją kolejne zwłoki zachowane w całości lub okaże się, że głowy leżą w bagnie osobno. Opuścili stanowisko wczesnym popołudniem; wszystko było gotowe i następnego dnia miały się rozpocząć zasadnicze prace. Fredric również usiadł na ziemi i przystąpił do składania swojej wędki. Niebo było jak zwykle niemal bezchmurne. Nad ich głowami unosiły się roje komarów. Fredric nie wiedział, co robić. Czy powinien znowu odwiedzić starego myśliwego? Czuł, że mógłby w ten sposób odszukać klucz do coraz bardziej dręczącej go zagadki. Jednego był pewien: to na pewno nie Hugar chodzi po nocy, strzelając do ludzi napelnionymi trucizną strzykawkami. jutro. Jutro zabierze Stephena nad Storbekktjern, do chaty myśliwego. Dziś, teraz, mają łowić ryby.

* Weź trochę i też posmaruj linkę. * Stephen podał mu pudełko ze smarem, a potem zaczął przyglądać się pływającym po powierzchni wody owadom. Po chwili już wiedział.

* „March Brown” * zamruczał, wyjmując z pudełka z muchami coś, co wyglądało jak małe szarobrazowe szczoteczka.

Rozstali się i każdy z nich zajął swoje miejsce nad wodą. Fredrica oślepił odbijający się od powierzchni blask słoneczny. Kark go swędział, komary były bezlitosne. Przesunął wzrokiem po otaczających jezioro wzniesieniach. Idylla. Tuż obok spokojnie pasło się stadko owiec, dzwoneczki podzwaniały przyjaźnie i rytmicznie. W miejscu, gdzie przed chwilą rzuciła się ryba, odbijał się w wodzie łagodny kształt szczytu Rodalshoa, rozwibrowany od jej poruszeń. Żywej duszy, być może nawet w promieniu wielu kilometrów, tylko Stephen i on. Przygotował wędkę i zarzucił kilka razy na próbę. Potem pozwolił, by mucha wylądowała z gracją w miejscu, gdzie chwilę wcześniej zerowała ryba. Nie musiał długo czekać, wkrótce chwyciła i rozpoczęła się ekscytująca walka.

Żadnych niepotrzebnych rozmyślań, żadnych niepokojących skojarzeń. Dwie godziny wypełnione czysto zmysłowymi doznaniem. I te ciarki na plecach. Fredric Drum był w stanie autentycznej harmonii z otaczającym go światem. Stał się częścią otoczenia, jego ciało było

tym samym, co krzewy, kamienie, bagno, trzcina i woda. Pstrąg. Tylko on i pstrąg. Całość tak harmonijna, że nie ma w niej miejsca na nic innego.

Tak jak krople dobrego wina i ten skoncentrowany blask słońca minionego lata potrafiły obudzić do życia wspomnienia dawnych smaków i woni, tak to jedyne w swoim rodzaju uczucie napięcia, ułamek sekundy, gdy wyczuwał, że ryba bierze, mieściło w sobie odziedziczone po przodkach myśliwych instynkty, dumę i radosną ekscytację łowcy.

Wyjątkowy rodzaj upojenia.

Zbliżali się do cypla po północnej stronie jeziora z przeciwnych stron. Pomachali do siebie. Stephen wskazał soczyście zieloną łąkę, na której zostawił swój nieźle dziś wypchany plecak. Fredric kiwnął głową z uśmiechem. Najwyższy czas na odpoczynek.

Rzucili się na trawę. Uśmiech wypełniał niemal całe oblicze Stephena.

* Coś niesamowitego * powiedział, przechylając torbę. W trawie błyszczało jedenaście tłuściutkich pstrągów.

Fredric z nie mniejszą dumą zaprezentował własną zdobycz * osiem sztuk.

Stephen pogrzebał trochę w plecaku i po chwili na ziemi stanął płaski metalowy pojemnik * przenośny grill. Następnie pojawił się ciemny chleb, pomidory, ogórki i przeróżne przyprawy. Talerze i szklanki. Oraz kieliszki do wina, jak skonstatował z zachwytem Fredric. Wkrótce cztery największe pstrągi piekły się na grillu, a wokół zaczęła rozchodzić się smakowita woń.

* Close your eyes, friend * powiedział nagle Stephen, sięgając do kieszeni plecaka.

Fredric posłusznie zamknął oczy, a gdy po chwili je otworzył, na trawie stało coś naprawdę pięknego: butelka. Otworzył je jeszcze szerzej, kiedy spojrzał na etykietkę. Chateau Mo*uton Rotschild rocznik 1970.

* Jagnię coś nie w sosie, w Hali bucie prosię, pod pierzyn*ką krokiety i, niestety, sorbety * wydukał.

* Czy może być lepsza okazja, by napić się dobrego wina? *Stephen zachichotał na widok zaskoczonej miny przyjaciela. Wyznał, że tego nadzwyczajnego zakupu dokonał na lotnisku Heathrow.

W milczeniu rozkoszowali się pić i jedzeniem. Ryby upiekły się na złocistobrazowy kolor, skórka była chrupiąca, a mięso ciemnoróżowe i tak delikatne, że samo rozpływało się w ustach. Niezrównany posiłek w niezrównanie pięknym otoczeniu. Kilka owiec stanęło tuż obok, spojrzały na rozwalonych w trawie ludzi i tylko potrząsnęły łbami. Fredric pomyślał, że chyba sam Lukullus mógłby im pozazdrościć.

Stephen ziewnął, przeciągnął się i zamknął oczy. Po winie ogarnęła ich senność i rozleniwienie. Fredric dłubał źdźbłem trawy w resztkach rybiej skóry. Myśli nadpływały i odchodziły niby łagodne fale; on sam był pyłkiem kołyszany ich ruchem. Nagle nadciągnął ogromny grzywacz, złamał się tuż nad jego głową i zalała go masa lodowato zimnej słonej wody. Zerwał się na równe nogi.

Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w rybią skórę. Nie, to niemożliwe! To nie może być prawda. A może jednak? Myśl zjawiała się nagle i niespodziewanie, ale nie chciała odejść, uczepliła się i została. Panowała teraz niepodzielnie, groźna i odrażająca. To niemożliwe, takie rzeczy się nie zdarzają. Twoja wyobraźnia, drogi Fredricu, pomyślał, rodzi czasami niebezpiecznie makabryczne rzeczy. Tą myślą nie mógł się z nikim podzielić. Smród byłby straszliwy. Zapomnij o tym, Fredricu, zapomnij!

Nie był jednak w stanie uwolnić się od tej myśli. Pojawiła się i została.

Stephen spał. Zbliżała się ósma. Podniósł się i z irytacją kopnął rybie skóry, aż sfrunęły w dół wzniesienia niby brunatne strzępy. Stado owiec rzuciło się do ucieczki. Potem Fre*dric zmienił przypon i wybrał nową muchę. Usiadł i zapatrzył się przed siebie, jakby chciał przebić spojrzeniem wznoszące się dokoła góry.

Jeszcze chwilę tak posiedzi i zjedzą go komary. Trzeba obudzić Stephena. Chwycił go za stopę i lekko pociągnął. Stephen podniósł się raptownie, oszołomiony i potarł powieki, po czym oświadczył:

* It's a real inca tambourine. * Najwyraźniej przebywał właśnie w zupełnie innej części świata.

Postanowili, że jeszcze przez godzinę powędrują i dopiero wtedy wrócą do hotelu. Fredric ruszył brzegiem jeziora. Od czasu do czasu przystawał i zarzucał wędkę. Nie mógł pozbyć się tamtej myśli, tłukła mu się w głowie jak jakiś potwór. Zniknęła dopiero w momencie, gdy na hak nadział się blisko kilogramowy okaz pstrąga.

Fredric wziął prysznic i posmarował maścią niezliczone ugryzienia. Tego dnia słońce przygrzewało dość mocno i nawet trochę się opalił. W doskonałym humorze zszedł do baru.

* Trzydzieści dziewięć do siedemnastu dla Stephena! * Na jego widok Anglik podniósł szklaneczkę pełną whisky.

Było gwaro, chyba przy wszystkich stolikach omawiano sensacyjne odkrycie. W barze byli prawie wyłącznie członkowie grupy badawczej i bardzo niewielu zwykłych hotelowych gości. Tego dnia przybyło też kilku dziennikarzy, Hornfeldt właśnie odpowiadał na ich niezliczone pytania. Julii nigdzie nie było widać.

Stephen sączył swoją whisky, zaś Fredric zamówił butelkę włoskiego chianti. W dość szybkim tempie opróżnił ją do połowy, słuchając przy tym, jak Stephen podsumowuje ich wędkarskie sukcesy. Fredric też miał wszelkie powody do zadowolenia. Dziesięć pięknych pstrągów, doskonały punkt wyjścia do kulinarnych fantazji. To będzie prawdziwy przebój w „Kas*serollen”.

Zbliżała się dwunasta, kiedy w barze pojawił się Edvard Havsten. Przystanął, rozejrzał się po sali i odszukawszy w tłumie Fredrica, z wahaniem ruszył w jego stronę.

* Niestety * oświadczył * jeszcze nie otrzymaliśmy obiektów. Są w drodze, doktor Lundficegh o to się zatroszczyła. Tymczasem możesz przejrzeć to. * Wyjął zza pazuchy plik papierów i podał Fredricowi.

Była to dokumentacja badań metodą C*14. Fredric przerzucił papiery i schował do kieszeni. Podziękował i poprosił młodego radiologa, by zajął wolne miejsce. Stephen właśnie stał przy barze i zamawiał kolejną porcję whisky. Przy okazji wdał się we flirt z barmanką.

Po chwili wahania Edvard Havsten usiadł. Fredric przyglądał mu się dyskretnie. Jak już wcześniej zauważył, młodzieniec miał poważne, nawet nieco smutne spojrzenie. I nieustannie uciekał nim w bok. Był dobrze zbudowany, lecz chorobliwie blady. Na jego szyi wisiała jakaś ozdoba, a może raczej amulet, chyba stary, bo patyna wyglądała na autentyczną.

* I co, ominęła cię atrakcja w postaci trupów bez głowy? *zapytał Fredric żartobliwie.

* Nie miałem tam nic do roboty. Sprzętu bym ze sobą przecież nie zabrał. Musimy dostać odpowiednie próbki, by badania dały jak najbardziej precyzyjne wyniki.

Fredric wypił kilka łyków wina i po chwili namysłu zapytał:

* Czy metoda C*14 w ogóle może dać błędne wyniki, zasadniczo odbiegające od faktycznego wieku badanego przedmiotu?

* To absolutnie niemożliwe * odparł Edvard, stanowczo potrząsając głową. * Szczególnie teraz, kiedy nasza uczelnia dysponuje akceleratorem typu tandem. Wcześniej posługiwaliśmy się akceleratorem cyklicznym, należącym do wydziału fizyki w Oslo. Trzeba było spalić niemal cały obiekt, żeby w ogóle wykonać badanie. Teraz wystarczy dosłownie okruc. Dzięki nowemu akceleratorowi, który, nawiasem mówiąc, waży trzydzieści ton, badania są tysiąc razy bardziej efektywne. I nie ma mowy o pomyłce.

Fredric skinął głową. Właściwie doskonale o tym wszystkim wiedział, pytanie było zbyteczne. Chciał się tylko upewnić. Młody naukowiec podniósł się z krzesła.

* Chyba pójdę już do pokoju. To nie jest miejsce dla mnie. Prawdopodobnie jutro dostaniesz interesujące cię przedmioty * powiedział, po czym wymruczał coś na pożegnanie i wyszedł.

Dziwny typ, pomyślał Fredric. A więc to nie miejsce dla niego. Jakież przekonania religijne? Ozdoba na jego szyi mogłaby coś takiego sugerować. Jedno było pewne: podczas całej rozmowy Fredricowi ani razu nie udało się uchwycić jego spojrzenia. Nagle coś mu przyszło do głowy. Wstał i pospiesznie ruszył do wyjścia. Mijając Stephena, rzucił, że zaraz wraca, po czym udał się do recepcji i spytał, czy Edvard Havsten jest w swoim pokoju. Klucz wisiał, więc raczej było to niemożliwe. Recepcjonista stwierdził, że chyba to właśnie jego widział przed chwilą, jak kieruje się w stronę wyjścia.

A więc Edvard Havsten wybrał się na spacer w tę piękną letnią noc. Pewnie stoi teraz oparty o pień sosny i płacze na wyścigi z tatą. Fredric obrócił się na pięcie. Poczł smuzkę delikatnych perfum. Na schodach prowadzących do baru mignęła lekka błękitna sukienka. Właśnie miał za nią ruszyć, kiedy zauważył, że w ogrodzie zimowym przy stoliku w głębi siedzi jakaś samotna postać pochylona nad stosem papierów. Był to właściciel hotelu, Parelius Hegtun.

* Nocna zmiana? * rzucił Fredric od niechcienia, udając, że tylko tędy przechodzi, a tak naprawdę interesuje go system korzeniowy rosnącego obok figowca.

* Rany boskie * jęknął Hegtun i przeciągnął ręką po czole. * Te wszystkie cyferki działają mi na nerwy. Osoba, która normalnie tym się zajmuje, jest teraz na urlopie. * Zsunął papiery na kupkę i ziewnął. Jego oczy wyglądały zupełnie normalnie.

* Hotel dobrze prosperuje? * spytał Fredric.

Hegtun wskazał mu wolne krzesło. Fredric nie dał się dwa razy prosić.

* Muszę panu powiedzieć, że coraz lepiej. Norwegia właśnie odkrywa Savalen i uroki przyrody, w które obfituje ta okolica. Nieważne, co gada ten cały Havsten. Marudzi i marudzi. Od czterech lat marudzi, nerwy mam już zszarpane, każde oko patrzy w inną stronę. Bankructwo, powtarza jak katarzynka. * Hegtun zrobił straszliwego zęza, ale po kilku sekundach wszystko wróciło do normy.

* Co pan powie? * zdziwił się uprzejmie Fredric. * Ale kim właściwie jest ten Havsten? Jego syn też tu obecnie przebywa w związku z pracami archeologicznymi.

* Pfff! * Spomiędzy warg Hegtuna wydobył się przeciągły syk. * To jest tragedia. Wielka tragedia. Havsten jest szalony. Cała rodzina jest szalona. Gdyby nie to, że znam go jeszcze z gimnazjum, już dawno bym mu kazał spakować manatki i wynosić się stąd. Nie interesuje mnie udział w tym jego projekcie, i tak nic z niego nie będzie.

* Jakim projekcie? * Fredric starał się sprawiać wrażenie całkowicie obojętnego.

* Zamki na lodzie to są, zamki na lodzie, mówię panu! Im gorzej Lilliefowi Havstenowi się układa, tym większe zamki na lodzie buduje. Doskonale rozumiem jego żonę, która kilka lat temu w końcu go zostawiła po jego ostatnim wyczynie. Tym razem to były jakieś restauracje. Z hukiem zbankrutował. A teraz postanowił zbudować tu największe centrum turystyczne w całej Norwegii. Hotele, kompleks skoczni i Bóg wie co jeszcze. W Rodalen! * fuknął Hegtun. * On jest zupełnie bez pojęcia. Tutejsze grunty stanowią własność prywatną. Właściciele nie oddadzą dobrowolnie nawet jednego metra kwadratowego. A teraz w dodatku te prace archeologiczne. Jeśli Rodalen przejdzie na własność państwa, będzie to obszar chroniony. Ale Havstenowi oczka coraz bardziej błyszczą. Moim skromnym zdaniem, ten facet jest kompletnie pomyłony.

* A co z jego synem? * zapytał Fredric ostrożnie.

* Jego syn! Synalek jest tak samo niemożliwy, w dodatku to typ depresyjny. Po każdej jego wizycie stan Lilleifa jeszcze bardziej się pogarsza. Już nie mam siły. * Parelius Hegtun zgarnął papiery na kupkę.

* Ale dlaczego Havsten mieszka w hotelu? To musi strasznie dużo kosztować?

* No, a jak. Cztery lata temu, po ostatnim bankructwie i rozwodzie, odezwał się do mnie. Ze względu na dawną przyjaźń zaproponowałem mu, żeby przyjechał tutaj trochę odpocząć.

Wtedy odkrył Rodalen i od tej pory nie daje jej sobie wybić z głowy. Płaci za siebie, twierdzi,

że ma pieniądze na jakimś prywatnym koncercie. Ale jak zamierza sfinansować swój projekt, pozostaje tajemnicą. Lilleif Havsten jest w ogóle bardzo tajemniczy. W każdym razie w związku z tymi sensacyjnymi odkryciami powinien już zacząć się pakować. Bo to chyba jest prawdziwa sensacja? * Hegtun czynił bohaterskie wysiłki, by zapanować nad oczami.

* Zgadza się * Fredric kiwnął głową * to prawdziwa sensacja.

Parelius Hegtun podniósł się z miejsca i razem ruszyli w kierunku recepcji.

* Ja w każdym razie jestem zadowolony z tego, co mam * oświadczył, rozkładając ramiona. * Zajęło mi to dwadzieścia pięć lat. Krew, pot, łzy i walka z biurokracją. Ale najgorsze za nami. Teraz wszystko zaczyna iść jak z płatka. * Nagle Hegtun złapał Fredrica za ramię i powiedział mu do ucha poufnym szeptem: * I powiem krótko, jeśli to odkrycie jest rzeczywiście takie ważne, ten hotel może zmienić się w prawdziwą żyłę złota. To jedyny hotel w promieniu kilkudziesięciu kilometrów! * Jego oczy, szeroko otwarte, błyszczały intensywnym blaskiem. Zez zniknął bez śladu.

Na dole zabawa trwała w najlepsze. Julia i Stephen tańczyli staromodne tango. Na twarzy Anglika malował się wyraz totalnego rozanielenia. Uważaj, stary kawalerze, pomyślał Fredric, uśmiechając się do siebie, i zamówił kolejną butelkę chianti. Usiadł na starym miejscu. Stolik stał pod ścianą, dość słabo oświetlony. Pozostali goście zdawali się pochłonięci własnymi sprawami. Zauważył konserwatora generalnego i siedzącego samotnie Jacoba Zimmera. Archeolodzy Gud*ner, Grepstad i Ferner byli pogrążeni w rozmowie z kilkoma innymi osobami, prawdopodobnie dziennikarzami. Profesor Hornfeldt siedział przy stoliku z dermatologiem Jensem Ve*sterdalem i sympatycznym Meissnerem z Tromso. W głębi lokalu mignęła Fredricowi Marta Muiligan z instytutu biologii w towarzystwie zoologa Motzfeldta i Martina Griinera, odon*tologa. Panował wesoły, podniosły nastrój.

Wyjął z kieszeni dokumentację, którą dostał od Edvarda Havstena, i szybko przebiegł wzrokiem zapisane stronicę. Wydawała się bardzo solidna. Na końcu widniały podpisy specjalistów i studentów Wyższej Szkoły Technicznej w Trondheim.

Ponad dwa tysiące lat. Naprawdę znalezione przedmioty i mumie są aż tak stare? Ciekawe, co jeszcze kryje w sobie ta okolica. Może zbudują tu muzeum, a Rodalen stanie się obszarem chronionym. Mogłoby być gorzej, pomyślał Fredric. Na przykład gdyby ten cały Havsten zaczął realizować swoje dzikie fantazje. Spod półprzymkniętych powiek obserwował pogrążone w półmroku wnętrze lokalu. Wśród gości znajdowała się jedna osoba, której obecność ktoś uznał za niepożądaną. On, Fredric Drum. Ktoś wolałby, aby był teraz zupełnie gdzie indziej, najlepiej na drugim świecie. Czy powodem wszystkiego była laleczka? Czy może to, że miał zbadać napisy na znalezionych przedmiotach? A może coś zupełnie innego, co teraz nie przychodziło mu do głowy. Może wkrótce się dowie? Popijał chianti prędkimi, małymi łykami.

Stephen i Julia wrócili do stolika. Stwierdził nie bez ulgi, że Julia jest bardziej zainteresowana jego przyjacielem niż nim.

* Głębokie rozważania nad sikaczem z Toskanii? * Stephen wałnął Fredrica w ramię. * W taką noc nie należy tracić czasu w dusznym barze. * I pokręcił głową.

Fredric tylko uśmiechnął się w odpowiedzi. Krople chianti o owocowym posmaku połączyły się w jego głowie więzami braterstwa, wywołując niezwykle przyjemny nastrój.

* Przejdziemy się? * Na dźwięk głosu Julii Fredric aż podskoczył, ale tym razem pytanie było skierowane do Stephena.

Anglik natychmiast zerwał się z miejsca. Julia ujęła go pod ramię.

* Dobranoc, Fredric * powiedziała z uśmiechem.

Nie było w nim ani cienia ironii czy goryczy. To był najzwyczajniejszy w świecie uśmiech na dobranoc. Fredric zamruczał z zadowolenia.

Posiedział jeszcze pół godziny, po czym udał się do recepcji po klucz do pokoju. Otworzył okno, by wywietrzyć pokój przed snem. Tym razem nikt nie płakał pod sosnami. Żaden cień nie skradał się w ciemnościach. Letnia noc łagodnie otuliła hotel Savalen.

* Spójrz tutaj. * Fredric rozłożył mapę na stole. * Tu, w głębi doliny, zaledwie kwadrans marszu od Vesltjern leży ukryte w wąskiej dolinie niewielkie jezioro. Storbekktjern. Chodzą słuchy, że to najlepsze miejsce w okolicy. Palia. Salve*linus alpinus. Wspaniała ryba, tylko ciężko ją złowić.

Stephen z zainteresowaniem studiował mapę. Byli już po śniadaniu, siedzieli właśnie w ogrodzie zimowym, omawiając plan dnia. Fredric nie wybierał się tym razem na stanowisko, nie miał tam nic do roboty. Czekał na przesyłkę z Trondheim.

* Salvelinus alpinus. * Stephen skinął głową. * Piękna ryba, smaczniejsza nawet niż pstrąg. Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy nie próbowałem łowić palii. To dopiero będzie przeżycie. Nie ma co się zastanawiać, idziemy.

Następnie Fredric opowiedział, że w pobliżu mieszka ten tajemniczy stary myśliwy; korzystając z okazji, mogliby mu złożyć wizytę. Stephen przyjął propozycję z entuzjazmem i zaczęli szykować się na wyprawę. Mieli zamiar wrócić dopiero wieczorem, musieli więc przygotować pokaźny prowiant, ale na szczęście kuchnia hotelowa była do dyspozycji gości. Drogę do Rodalen pokonali w dość krótkim czasie; znali ją już całkiem dobrze. W dodatku szlaban był teraz cały czas otwarty. Ku ich zaskoczeniu na końcu zwirowej drogi stało całkiem sporo samochodów, zapewne należących do naukowców i dziennikarzy. Fredric zauważył też kilka wozów zarządu dróg. No tak, słyszał, że w przyszłym miesiącu ma się rozpocząć budowa drogi. Pewnie robią jakieś pomiary. Podskakując na wybojach, podjechali kawałek dalej drogą gruntową i zaparkowali.

Zarzucili plecaki na plecy i ruszyli niespiesznym krokiem. W nocy padało, powietrze wypełniał zapach świeżej zieleni, a na każdej gałązce, na każdym liściu połyskiwały tysiące kropli. Nad Vesltjern zatrzymali się na krótki odpoczynek. Korciło ich, by zostać trochę dłużej i zarzucić wędki. Po chwili jednak ruszyli dalej, pod górę. Kiedy zmęczeni i mokrzy od potu wreszcie wdrapali się na sam szczyt, usiedli na moment i zapatrzyli się na roztaczający się wokół widok. Dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie doliny, błękitniała Fjadalshea, wielka i potężna.

* Gods own country * westchnął Stephen. * Oby ludzie tego nie zniszczyli.

Fredric przysłonił oczy dłonią. Na stanowisku archeologicznym tłoczyli się ludzie. Jak mrówki wokół martwej osy. Obok stały dwa traktory z przyczepami wyładowanymi wszelkim możliwym sprzętem. Pośród torfowisk i mchów stanął też barakowóz. Aż tutaj dochodziły pokrzykiwania i pomruk agre*gatora. W świeżym górskim powietrzu dźwięk niósł się doskonale. Bez trudu można było sobie wyobrazić, jak być może będzie wyglądać to miejsce za kilka lat.

W końcu, nacieszywszy oczy panoramą doliny, zaczęli wędrówkę w dół, w kierunku Storbekktjern. Tym razem nieba nie zasnuwały ciemne chmury, a potężny skalny nawis nie wyglądał tak złowroźnie. Wisiał nad tą doliną od milionów lat i nic nie zapowiadało, by miało być inaczej. Na tle skalnej ściany krążyły dwa kruki, mniej więcej na wysokości miejsca, w którym stała chata Hugara.

Kiedy dotarli nad jezioro, Stephen wyciągnął nagle rękę i powiedział z zachwytem:

* Look! Woda jak kryształ! Widać dno. To zupełnie inny typ jeziora niż te, w którychłowiliśmy dotychczas, ciemne i błotniste. Spójrz na dno, białe kamienie i skała. I z pewnością jest tu bardzo głęboko, zobacz tam, dalej, woda jest zupełnie czarna!

Stephen miał rację. Poprzednim razem Fredric nie zwrócił na to wszystko uwagi; nie miał na to czasu. Powietrze tu, w górze, było chłodniejsze, i nic dziwnego, to miejsce leżało co najmniej dwieście metrów wyżej w stosunku do Rodalen, a także dlatego, że roślinność, z której zawsze paruje ciepło, co podwyższa temperaturę, była tu uboższa.

Powierzchni jeziora nie przecinała nawet najdrobniejsza zmarszczka.

Czy tu w ogóle są jakieś ryby? Fredric poważnie by w to wątpił, gdyby nie fakt, że Hugar mu o tym powiedział. Dlaczego nie widać nawet najmniejszego oczka? Podzielił się wątpliwościami ze Stephenem, a ten uśmiechnął się na to swoim szerokim uśmiechem i wyjaśnił:

* Im większa ryba, tym mniej ją widać. A palia, z tego, co czytałem, jest w ogóle wyjątkowa. Szczególnie ostrożna i płochliwa. Przyciąga ją czerwony kolor, pytanie tylko, czy mamy odpowiednią przynętę.

Kiedy obejrzeni zawartość swoich pudełek z muchami, okazało się, że kolorowe przynęty, które Fredric wybrał zupełnie przypadkowo, mają dużo czerwieni. Idealne, stwierdził Stephen, który nigdy wcześniej nie łowił palii. Przygotowali sprzęt.

Fredric czuł dziwne napięcie, na które zapewne składały się dwie przyczyny: po pierwsze, świadomość, że pod powierzchnią wody kryją się ryby, po drugie, myśl o wizycie, którą mieli złożyć myśliwemu. Kruki zataczały kręgi ponad ich głowami, coraz to wyżej i wyżej.

Fredric zajął miejsce na brzegu i przygotował się do zarzucenia wędki. Stephen stanął po drugiej stronie, jednak dzieliło ich zaledwie nieco ponad sto metrów. Szu, szu, szu, rozległo się z obu brzegów. Obserwowali siebie wzajemnie, obaj ciekawi, komu najpierw się poszczęści. Porozumiewanie się za pomocą wrzasków było rzecz jasna surowo wzbronione. Minął kwadrans, pół godziny, czterdzieści minut. Kilka

razy zmieniali miejsca i powoli zbliżali się do siebie. Nic, nawet cienia płetwy. Fredric wypróbował trzy różne muchy po kolei, bez rezultatu. W końcu zrezygnowany usiadł na ziemi. Po chwili zjawił się Stephen, kręcąc głową.

* Przyjrzyj się powierzchni wody * powiedział. * Prawie nie widać owadów. Chyba wiem, co jadają rybki w tym jeziorze. * Przez chwilę grzebał w torbie. Wyjął z niej małe pudełeczko. * Nimfy * wyjaśnił, otwierając je * imitują ostatnie wodne stadium rozwoju owadów. Myślę, że właśnie tego nam potrzeba.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, wodząc wzrokiem po powierzchni wody w oczekiwaniu na jakiś ruch, oznakę życia.

* Tam! Widziałeś? * wykrzyknął nagle Stephen, pokazując jakiś punkt na wodzie.

Niedaleko od miejsca, w którym siedzieli, Fredric zauważył niemal niedostrzegalne drobne kręgi. Jakby spadła kropla deszczu. Jeśli to rzeczywiście była ryba, musiała być niewiele większa od jego palca. Jednak Stephen zerwał się na równe nogi i zbiegł na sam brzeg.

Fredric spokojnie śledził ze swojego miejsca beznadziejne wysiłki przyjaciela.

Nimfa kilka razy świsnęła w powietrzu, po czym poleciała tam, gdzie przed chwilą woda się zmarszczyła, i zniknęła pod powierzchnią, pociągając za sobą przypon. Stephen czekał, czujny, spięty. Faktycznie, jest się czym podniecać! To z pewnością będzie gigantyczna zdobycz... Fredric z trudem opanował śmiech. Ale nagle zerwał się i popędził w stronę przyjaciela.

Oto na powierzchni wody mignęła ogromna płetwa. Wę*dzisko niebezpiecznie się wygięło.

Nagle usłyszeli głośne plaśnięcie, a zaraz potem ich oczom ukazała się wielka jaskrawo*czerwona ryba. Przez chwilę trzepotała się na końcu wędki, po czym zniknęła.

Linka naprężyła się jak struna. Głośno zaświszczał kołowrotek. Stephen, pobladły, kurczowo trzymał wędkę obiema rękami.

* Go right to Birmingham 'tell the King! * wydusił z siebie.

Tylko kilka razy w całym swoim dotychczasowym życiu Fredric żałował, że nie ma przy sobie kamery, ale właśnie teraz wiele by za to dał. Pełen napięcia dramat, którego widzem był niemal od pół godziny, naprawdę był wart zarejestrowania na taśmie. Walka między człowiekiem i rybą, tak finezyjna i pełna subtelnych niuansów, że Fredric musiał z szacunkiem schylić głowę przed obiema stronami. Ani przez moment nie był pewny, na którą stronę w końcu przechyli się szala zwycięstwa. Przypon był tak cienki, że gdyby nie

doświadczenie i ogromna wprawa, z jaką Stephen posługiwał się wędziskiem, żyłką i kołowrotkiem, ryba zerwałaby go bez trudu niby cienki włos. Jednak Stephen nie dopuścił do tego; a próbowała, i to jak próbowała! Elastyczna szczytówka wyginała się na wszystkie strony. Ale bestii nie udało się zerwać na wolność.

Nagle ruchy linki ustały. Szczytówka też znieruchomiała. Stephen zaczął ciągnąć ze wszystkich sił.

* Ryba opadła z sił, walka ją wyczerpała! * wychrypiał. * Oby tylko hak siedział porządnie * dodał niemal szeptem.

I wtedy Fredric zauważył, że ryba rzeczywiście przestaje stawiać opór. Stephen zaczął zwiijać linkę na bębnek, centymetr po centymetrze holując rybę do siebie. Po chwili ryba się poddała, ukazała się na powierzchni, odwrócona na bok. Zaprzestała walki. Kiedy Fredric przybiegł z podbierakiem, Stephen tylko machnął ręką. Po co to niepotrzebne ryzyko? Chce stracić rybę?

Tymczasem sam wszedł do wody, nie przestając ściągać ryby do siebie. Była już prawie koło jego buta! Schylił się powoli, jedną rękę zanurzył w wodzie. Błyskawicznie chwycił rybę pod pokrywą skrzelową i wyciągnął na brzeg. Była ogromna. Trzepotała się jak szalona między kamieniami, aż Stephen rzucił się na nią i przygniótł do ziemi. Leżeli tak bez ruchu prawie minutę, ryba i wędkarz.

To był pokaz prawdziwej wędkarskiej klasy, pomyślał Fredric. Palia mogła przecież wywinąć się i zerwać z napiętego do granic wytrzymałości przyponu dosłownie sekundę wcześniej, nim Stephen zdążył ją chwycić.

Stephen wstał, bladzi i drżący, lecz jego twarz rozjaśniał wprost nieopisany uśmiech. Potem sięgnął do torby i wyluskał z niej kieszonkową wagę. Palia ważyła dwa przecinek siedem kilo. Jej brzuch był krwistoczerwony, boki zdobiły białe cętki. Była to najpiękniejsza ryba, jaką Fredric kiedykolwiek widział.

Usiedli na porośniętym mchem brzegu, tuż nad wodą. Zdaniem Stephena, na razie nie było sensu ponownie zarzucać wędki. Hałas i ruch wody na pewno na jakiś czas skutecznie wystraszyły ryby. Wyjęli więc termosy z herbatą i nalali do kubków parującej herbaty.

Fredric leniwie wodził wzrokiem po powierzchni jeziora. Nagle zauważył, że w niewielkiej zatoczce opodal na wodzie unosi się jakiś żółtawy przedmiot. Ktoś wyrzucił tu śmieci? Podniósł się zaciekawiony. Stephen nie mógł oderwać wzroku od swej wspaniałej zdobyczy i na nic nie zwracał uwagi. Fredric wziął wędkę do ręki i ruszył w stronę zatoczki. Tajemniczy przedmiot znajdował się w niewielkiej odległości od brzegu, bez trudu więc dosięgnął go wędką i zaczął ciągnąć do brzegu, coraz bardziej ciekaw, co też to może być. Po kilku sekundach już wiedział. Poczul na plecach zimny dreszcz. Szczęki zacisnęły się kurczowo, w ustach mu zaschło.

To była lalka.

Mocno zdeformowana, skórzane ubranko było podarte. Schylił się i wziął ją do ręki. Lalce brakowało jednego oka, wyglądała dość groteskowo. Była to ta sama lalka, którą Hugar nosił pod ubraniem i którą Fredric widział dosłownie przez mgnienie oka, zanim myśliwy wywalił go za drzwi.

Obejrzał ją ze wszystkich stron. Jedna noga i ręka były połamane, teraz widać było, że lalkę zrobiono z kości. Wyglądały na dość nowe. W porównaniu z tamtą lalką, którą wyłowił, gdy wpadł do wody podczas zderzenia promu z jachtem, ta była o wiele prostsza, nie tak starannie wykonana. Jednak bez wątplenia ktoś ją zrobił na wzór tamtej. Hugar?

Co się stało? Skąd się tu wzięła? Dlaczego pływała w wodzie i czemu ktoś ją zniszczył? Czy to myśliwy cisnął swój amulet do wody, wściekły, że nie przynosi mu szczęścia? Fredric miał nieprzyjemne uczucie, że coś tu jest nie tak. Schylił się, zaczerpnął wody i wypił

łapczywie. Potem wrócił do miejsca, gdzie zostawił Stephena, i pokazał mu zmasakrowaną laleczkę.

* Patrz * powiedział. * Pływała sobie w wodzie. Ostatni raz widziałem ją wiszącą na szyi starego myśliwego. To amulet, takich lalek od setek lat używają myśliwi na Grenlandii. Według źródeł historycznych takie lalki uchodzą za obdarzone specjalną magiczną mocą, zapewniającą myśliwemu powodzenie na polowaniu.

Stephen szeroko otworzył oczy, biorąc lalkę do ręki. Siedział chwilę w milczeniu, obracając ją na wszystkie strony. Potem zbliżył do nosa i powąchał skórzane ubranko.

* Peculiar * powiedział w końcu * and where is the hunter? Fredric pokazał kciukiem za siebie.

* Tam. Jego chata leży na końcu tej wąskiej dolinki, tuż pod nawisem. Złożymy mu wizytę? Jeśli uda nam się zjednać sobie jego przyjaźń, żadna ryba nam się nie oprze. Mieszka tu od dwudziestu lat i pewnie osobiście zna każdą większą sztukę w okolicy. Ale uprzedzam: słyszałem, że jest bardzo dziwny. * Fredric starał się, by jego słowa brzmiały beztrzesko i wesoło, lecz tak naprawdę był niespokojny, a jego wzrok nabrał surowego wyrazu.

Nie uszło to uwagi Stephena. Przyjrzał się przyjacielowi, pokiwał głową i zamruczał coś do siebie. Schowali sprzęt i plecaki w kępie krzaków i ruszyli.

Fredric odnalazł ścieżkę. Miał nadzieję, że myśliwy będzie w domu. Ogromnie zależało mu na tym, aby odzyskać jego zaufanie. Hugar coś wiedział, coś, o czym on też musiał się dowiedzieć. Za długo już błądził pośród upiornego krajobrazu, gdzie czyhały na niego zastawione przez fantomy śmiertelne pułapki. Teraz towarzyszył mu Stephen, i czuł, że przyjaciel wie, że coś go dręczy. O nic jednak nie pytał. Znali się już dość dobrze i każdy z nich wiedział, kiedy nie zadawać drugiemu niepotrzebnych pytań.

Byli już niedaleko chaty. Fredric przystanął i zaczął nasłuchiwać. Cisza, tylko szmer potoku.

* Piękne miejsce. * Stephen skinął głową w stronę chaty. * Zaciszne, zielone. Idealne, jeśli chce się tu mieszkać przez cały rok.

Fredric zauważył, że drzwi są otwarte. Kłódka z wetkniętym w nią kluczem wisiała na gwoździu przy drzwiach.

* Hej! * krzyknął. * Jest tam kto?!

Cisza. Ze środka nie dochodziły żadne dźwięki. Dziwne, pomyślał. Rozejrzał się dokoła. To by było w stylu Hugara śledzić ich z ukrycia i nagle pojawić się bezgłośnie i niespodziewanie z tej czy innej strony. Znowu zawołał, znowu nic. W potarganych koronach brzoź delikatnie szumiał łagodny popołudniowy wiatr.

Po chwili Fredric podszedł do drzwi i zapukał. Cisza. Otworzył i zajrzał do środka.

Chata była pusta. Prycza starannie pościelona, na chropawym blacie stał kubek, obok leżała kromka chleba z serem. Niezbyt świeża.

* Fredric, prędko! * zawołał Stephen, najwyraźniej bardzo czymś przejęty. Głos dochodził z tyłu chaty. Fredric wybiegł na zewnątrz i okrążył budynek. Stephen stał pochylony. Na ziemi leżało chude, dziwnie wykręcone ciało, wsparte bezwładnie o starannie ułożony stos drewna.

* Nie żyje * powiedział cicho Stephen.

Fredric Drum grzebie w popiele,

przypomina sobie pewne nazwisko

i przybiera bardzo niewygodną pozycję

Fredric marzł. Zmrużył oczy, aż zwięzły się w małe szparki. Przed nim rozciągała się

lodowato błękitna równina, równina bez końca. Szalała zamieć. Wiatr smagał twarz i wdzierał

się pod kaptur anoraka. Szedł ciężkim krokiem, powoli, z trudem brodząc w sięgającym do

kolan śniegu, przed siebie, wciąż przed siebie. Tam były renifery, tam było jedzenie!

Bładożółta smuga światła na horyzoncie pozwalała dojrzeć jakieś kontury; rozróżniał

niewielkie zagłębienia w płaskiej białej przestrzeni, widział w oddali sylwetkę renifera, stał

tam i czekał na niego, w jego ciele pulsowała ciepła ożywcza krew. Myśliwy przystanął, startł szron i sople lodu osiadłe na brwiach i brodzie, oddychał ciężko, wypuszczając z ust białe kłęby pary.

Przycisnął do piersi ukrytą pod kurtką lalkę, podniósł broń, wymierzył. Ren osunął się na ziemię. Udało się!, pomyślał i rzucił się do przodu. Walcząc z burzą, pokonał biegiem odległość dzielącą go od zwierzęcia.

Padł na kolana i wtulił twarz w jeszcze ciepłe futro. Żył. Udało mu się zaczarować zwierzę. Z otwartego pyska ciekła krew, znacząc śnieg, spływała dalej, poprzez pokłady lodu, struga krwi drażyła sobie drogę przez grubą lodową warstwę, by dotrzeć do ukrytej pod nim ziemi, sto metrów niżej. Myśliwy zwinął się w kłębek i czekał na przyjście długiej nocy. Był uratowany.

Fredric podszedł bliżej, przyglądając się zwłokom myśliwego. Ich pozycja sugerowała, że przed śmiercią musiał poczuć gwałtowny ból czy skurcz, prawa dłoń była lekko zaciśnięta. Jakby coś w niej trzymał, pomyślał.

* Niewydolność serca? Wylew? W końcu był w podeszłym wieku. * Stephen odsunął się nieco do tyłu.

Fredric skinął głową. Oczywiście, myśliwy mógł źle się poczuć i umrzeć, idąc po drewno na opał. Tylko że on w to nie wierzył. Ale to, w co on wierzył, nie miało najmniejszego znaczenia. Jeśli zacznie opowiadać, że ktoś zamordował osiemdziesięcioletniego myśliwego mieszkającego na odludziu, w odległej dolinie, zrobi z siebie idiotę. Obdukcja nic pewnie nie pomoże. Nowoczesne trucizny są właściwie nie do wykrycia. Bo Fredric był całkowicie pewien: w jakimś miejscu na ciele myśliwego widnieje ślad igły. Niemal niedostrzegalny punkcik, ukłucie, które można by zinterpretować na wiele przeróżnych sposobów.

Powiódł wzrokiem dokoła. Morderca mógł się tu bez trudu zaczaić i zaatakować z ukrycia. Dmuchawka i strzykawka z odwróconym tłokiem! Genialna, bezgłośna broń. Kiedy trucizna zadziałała, wyszedł z ukrycia, wyjął strzykawkę z dłoni zmarłego, brutalnym szarpnięciem zerwał lalkę z jego szyi, zniszczył i wrzucił do wody.

Dlaczego?

Ponieważ Hugar coś wiedział. Coś, co mogło komuś zaszkodzić, szczególnie teraz, kiedy Fredric węszył po okolicy. Jeden z nich musiał zginąć. Z Fredrikiem się nie udało. Pytanie tylko, czy ta jedna śmierć wystarczy? Czy on sam stanowi zagrożenie? Tego nie wiedział.

* Nie możemy go tak zostawić * stwierdził Stephen, wskazując palcem ku górze. Wysoko nad nimi krążyły kruki. Czekały cierpliwie.

* Wnieśmy go do środka * powiedział Fredric. Częściowo niosąc, częściowo ciągnąc po ziemi, wnieśli ciało

do chaty. Zdążyło zeszywnieć, śmierć musiała nastąpić dość dawno przed ich przyjściem.

Położyli je na pryczy. Musieli zrezygnować z prób wyprostowania nóg i ramion. Fredric położył na piersi myśliwego zmasakrowaną laleczkę.

Stephen ze zdumieniem rozglądał się po chacie. Szczególnie zafascynowały go wiszące na ścianach przedmioty. Fredric zdążył prawie wszystko obejrzeć poprzednim razem. Stał przed ramką z wierszem. Wyraźne, staranne pismo. Zdjął ramkę i schował za pazuchą, przysięgając sobie, że nie spocznie, póki się nie dowie, kim jest morderca. Wiersz pomoże mu w rozwikłaniu zagadki. Będzie potrzebował całej mądrości, jaką stary myśliwy przywiózł ze sobą z Grenlandii.

Oczywiście nie było mowy o dalszym wędkowaniu. Musieli jak najszybciej wrócić do cywilizacji i przekazać wiadomość o tym, że ostatni myśliwy w Rodalen poluje teraz gdzie indziej.

Przed odejściem zamknęli drzwi na kłódkę, ale klucz zostawili.

W ciszy pokonywali drogę powrotną. Niedawny radosny nastrój przygasł. Stephen rozumiał, że przyjacielowi towarzyszą raczej ponure myśli. Nie wiedział, jaka jest ich istota. Fredric też nie potrafił ich uporządkować i oddzielić rzeczy istotnych od mniej ważnych.

Lalka. Cały czas ta lalka. Diabelski przedmiot!

Choć odwracasz się w stronę nieba, Fredricu, nie zmienia to faktu, że błędzisz w gęstej mgle, powiedział do siebie. Męczące, nieprzeniknione opary, które nie pozwalały dostrzec niczego dookoła, tłumili dźwięki, tępiły zmysły. Dlaczego ten, kto zabił Hugara, zniszczył też lalkę? Chyba musiało chodzić o jakąś ciemną wiarę w siły nadprzyrodzone. Wypaczony umysł, który pozwolił zapanować nad sobą przesądom i czarnej magii. Od takiego przeciwnika nie należy oczekiwać normalnych uczuć i zdrowego rozsądku. „Kroczą przed siebie, z powagą i godnością, pewnym, równym krokiem, a ich oczy błękitne jasno patrzą i szczerze”. Tak poeta Arne Garborg, który przez jakiś czas mieszkał nad Savalen, opisywał tutejszą arystokrację chłopską. Fredric przeglądał ostatnio jego biografię. W najbliższych dniach raczej będzie miał do czynienia z trochę innymi ludźmi.

I ta myśl, czarna jak sadza, która pojawiła się zupełnie niespodziewanie, kiedy on i Stephen rozkoszowali się wspaniałym winem i świeżo uwędzoną rybą. Myśl tak nieprawdopodobna, że aż bał się wypowiedzieć ją na głos. Lecz doskonale pasująca do obrazu całości, jeśli rzeczywiście stoją za tym wszystkim jakieś dziwne zabobony i wypaczone wierzenia. W innym przypadku musiałyby ją odrzucić, tak była potworna, niemożliwa. Dotarli do samochodu i zaczęli pakować sprzęt do środka.

* Następnym razem złowimy więcej takich * oświadczył Stephen z uśmiechem, poklepując torbę, w której leżała jego imponująca zdobycz.

Fredric skinął głową i też się uśmiechnął.

* Posłuchaj, Stephen. Idziemy na mały spacer, tutaj, niedaleko. Już wcześniej tam byliśmy. Ale zanim ruszymy, podam ci pewne hasło i chciałbym, żebyś się nad nim zastanowił. Wyteż wszystkie siły i pomyśl, dlaczego wspominam o tym tu i teraz. Nie przejmuj się, chcę, żebyś potraktował to po prostu jak zagadkę, ćwiczenie mózgu, którym będziesz mógł zająć myśli, kiedy akurat nie będziesz miał nic lepszego do roboty. I więcej już nic nie powiem, nie pytaj.

* No, dobra. Dawaj! * zapalił się Stephen. Czuł, że być może rozwiązując zagadkę, dowie się wreszcie, co dręczy jego przyjaciela.

* Hasło brzmi: całun turyński.

Stephen zamrugał. Wiedział oczywiście, co to jest całun turyński. Wiele na ten temat czytał, przestudiował raporty naukowców usiłujących zbadać, czy znajdująca się w Turynie relikwia to autentyk, czy na całunie faktycznie widnieje odcisk ciała i twarzy Chrystusa. Była to głośna sprawa, wielu naukowców próbowało rozwiązać tę zagadkę.

* Całun turyński * powtórzył Fredric. * Pomyśl o tym. Pomyśl o tym, kiedy tam będziemy. * Wskazał ręką skupisko drzew powyżej, gdzie Stephen znalazł tajemniczy dół z resztkami ogniska na dnie.

Odnaleźli to miejsce bez trudu. Stephen w skupieniu patrzył na dół i połączone z nim rowy. Fredric zeskoczył na dno i zaczął grzebać kijem. Warstwa popiołu i zwęglonych resztek była dość gruba. Następnie sprawdził rowy. Na pewno wcześniej były czymś przykryte, nie było co do tego wątpliwości. Pogrzebał na dnie, po czym zaczerpnął garść czerwonego piasku. Powąchał. Pokręcił głową. Przez chwilę stał bez ruchu.

Wrócili w milczeniu. Dopiero w samochodzie, gdy już ruszyli, Stephen wymruczał:

* Całun turyński? Szczerze mówiąc, nic nie rozumiem.

* Ja też nie * stwierdził Fredric. * Ale pomyśl o tym w wolnych chwilach.

Kiedy Fredric i Stephen przekazali wiadomość o śmierci Hugara, oczy Pareliusza Hegtuna zbiegły się w straszliwym zezie. Stojący za jego plecami Lilleif Havsten, gwałtownie pobladły, tylko potrząsał głową. Zawiadomiono policję i pogotowie. Wkrótce miał się zjawić helikopter i zabrać ciało zmarłego. Nic więcej nie można było zrobić. Rodalen stała się o

jedną atrakcją uboższa. Gdyby nie archeolodzy i owcze dzwonki, nic nie mąciłoby ciszy w dolinie.

Fredric otworzył drzwi swojego pokoju i rzucił się w ubraniu na łóżko. Było wczesne popołudnie, hotel był niemal pusty. Prace na stanowisku jeszcze się nie skończyły. Ciekawe, co jeszcze znajdują w torfowisku? Miał nadzieję, że całe mnóstwo doskonale zachowanych zwłok i ciekawych przedmiotów. Na razie w rowie wykopanym przez koparkę znaleziono kości dzikich zwierząt, łośi, wilków i niedźwiedzi.

Nagle aż usiadł. Niespodziewanie przypomniało mu się pewne nazwisko. Nazwisko, które cały czas próbował sobie przypomnieć. Przez cały czas był pewien, że Bjorn Lennart, mężczyzna poznany tamtego wieczoru w „Smuget”, przedstawił się pełnym nazwiskiem. Bjorn Lennart twierdził, że mógłby godzinami opowiadać historyjki o Taraldzie Thomsenie, człowieku, który zginął na promie. O Taraldzie Thomsenie, który miał w rękę strzykawkę. Fredric zbiegł do recepcji i poprosił o książkę telefoniczną Oslo. Zaczął gorączkowo przerzucać kartki. Jest! Zgadza się! Wymienił banknot na garść monet i ruszył w kierunku aparatu telefonicznego.

Po drugiej stronie odezwało się jakieś dziecko. Spytał, czy mógłby rozmawiać z tatą, i wreszcie usłyszał głos Bjorna Len*narta. Tamten dopiero po chwili zrozumiał, z kim ma do czynienia. Kiedy Fredric przedstawił mu swą prośbę, Bjorn Len*nart powiedział, że chętnie mu pomoże. Zaprezentował dość długi wykład na temat bogatego życiorysu Taralda Thomsena, po czym dodał, że cała ta wiedza wzięła się stąd, że przez pewien czas pracował jako nauczyciel w Hokksund i często wpadał do pewnej kafejki, w której Thomsen właściwie non stop przesiadywał. Fredric zadał mu jeszcze kilka pytań, na które uzyskał bardzo zadowolające odpowiedzi. Na koniec powiedział:

* Jesteście, ty i twoja żona, mile widziani w restauracji „Kasserollen”. Kiedy tylko wam pasuje. Na koszt firmy.

Zapadła cisza.

* O, kurczę! To ty jesteś właścicielem „Kasserollen”? Tak mi się właśnie wydawało, że już gdzieś słyszałem twoje nazwisko...

Po skończonej rozmowie Fredric postanowił posiedzieć trochę w ogrodzie zimowym i przetrwać to, co właśnie usłyszał. W głowie mu się kręciło od tych rewelacji. Te wszystkie fakty były w jakiś sposób ze sobą powiązane, pytanie tylko, w jaki. W labiryncie pojawiło się jeszcze więcej korytarzy.

Tarald Thomsen przez dwanaście lat, od siedemnastego do dwudziestego dziewiątego roku życia był myśliwym na Grenlandii. Przebywał tam w tym samym czasie, co Hugar, z tą różnicą, że o wiele krócej. Jak twierdził Bjorn Lennart, mógł w nieskończoność snuć opowieści z tego okresu swojego życia. Ale czy wszystko to zdarzyło się naprawdę, czy też był to wytwór jego wyobraźni, tego nikt nie wie. Jedno wiadomo na pewno: historie te, w połączeniu z jego chorobliwą wprost wiarą w zjawiska nadprzyrodzone, robiły dość niesamowite

wrażenie w miejscu, gdzie dotychczas największe tajemnice przekazywano sobie w formie niewinnych ploteczek na temat życia osobistego bliższych lub dalszych znajomych, a najczęściej emocji dostarczały zakłady sportowe, jednak z czasem w życiu Taralda Thomsena zaczęły się dziać różne nieprzyjemne rzeczy. Był wraz z kilkoma innymi osobami zatrzymany w sprawie jakichś podejrzanych ceremonii z udziałem nieletnich dziewcząt. Poza tym w ogóle sobie nie radził w życiu zawodowym, nie potrafił znaleźć normalnej pracy. A na koniec jeszcze rak. Bjorn Lennart wiedział, że Tarald był śmiertelnie chory, i nie mógł zrozumieć, co robił wtedy na promie.

Fredric zapytał, czy w opowieściach Thomsena pojawiała się obdarzona magiczną mocą lalka, grenlandzki amulet. Bjorn Lennart potwierdził jego przypuszczenia. Thomsen często wspominał o tej lalce i wtedy na jego ustach błąkał się tajemniczy uśmiech. Jakby zdobył

jakaś wiedzę, mądrość niedostępną dla innych. Bjorn Lennart nic nie wiedział na temat jego bliskich. Czasami Thomsen znikał na całe tygodnie. Nigdy nikomu się nie zwierzał, gdzie był i co robił.

Niektóre rzeczy się zgadzały. Inne nie. Elementy układanki nadal nie chciały stworzyć logicznej całości. Fredric postanowił zadzwonić jeszcze w kilka miejsc.

Najpierw zatelefonował do klubu Aqua Marina. Udało im się znaleźć torbę i sprzęt fotograficzny. Strzykawkę odnaleźli dopiero po użyciu detektora metalu. Fredric poprosił, by przesłano ją do laboratorium, gdzie zbadają jej zawartość.

Potem zadzwonił do Torbjorna Tinderala i odbył z nim długą rozmowę.

Teraz był w ofensywie. Nareszcie poznał niektóre składniki tego sosu. Wrócił do ogrodu i uważnie obserwował wszystkich wchodzących i wychodzących ludzi. Czekał na jedną, konkretną osobę.

„Niech ci się aby nie wydaje, że wielką radość sprawisz mieszkańcom Kolbotnen swoim przyjazdem. Po pierwsze, może się zdarzyć, że nie przyjedziesz, i już narobiłeś ambarasu. Po drugie, jeśli już jednak się zjawisz, to jeszcze nie znaczy, żeś bez winy. Przeważnie twój przyjazd zaburza naturalny rzeczy porządek i straszny czyni zamęt”. Fredric przeglądał cienką książeczkę na temat Garborga, od czasu do czasu zatrzymując wzrok na jakimś fragmencie. Miał dziwne uczucie, że słowa poety odnoszą się także do niego * on też, gdzie by się nie zjawił, czynił straszny zamęt. Na razie jednak panowała cisza i spokój.

Przed hotel zajechało kilka samochodów. Widocznie naukowcy skończyli na ten dzień pracę. Fredric był bardzo ciekaw, czy dokonali jakichś nowych odkryć, jednak najpierw musiał uzyskać odpowiedź na inne pytanie.

Uważnie przypatrywał się wchodzącym. Wszyscy wyglądali na bardzo zmęczonych. Osoba, na którą czekał w napięciu, nie pojawiła się. Zamówił kubek herbaty. Pomyślał, że Stephen pewnie właśnie sobie smacznie chrapie.

Przed hotel zajechał jeszcze jeden samochód, czerwony, i zaparkował przy wejściu. Wsiadła z niego dama w średnim wieku. Nareszcie.

Podniósł się z miejsca i ruszył do recepcji. Na jego widok dama przystanęła, rzuciła mu niemal wrogie spojrzenie i uniosła ramiona w geście rezygnacji.

* Rozumiem, że się pan niecierpliwi * powiedziała doktor Cecilie Lund*Hoegh. * Przykro mi, nic na to nie poradzę. Obiekty dostanie pan najwcześniej jutro rano.

Fredric spytał uprzejmie, czy ma chwilę czasu. Może mogliby usiąść na chwilę i porozmawiać, napić się herbaty. Niechętnie ruszyła za nim w stronę stolika pod figowcem. Tylko zdążyła usiąść i już się zaczęło.

* Narobił pan niezłego zamieszania tymi swoimi dziwactwami. Tak, dziwactwami. Inni badacze zadowoliliby się zdjęciami i przezroczeniami, ale pan nie. Pan musi mieć obiekty. Chyba zdaje pan sobie sprawę, że to przedmioty o dużej wartości, właściwie bezcenne. Nie ma mowy, żeby przesłać je tu zwykłą

pocztą. To ja za nie odpowiadam aż do momentu, gdy bezpiecznie wrócą do magazynu. * Ściągnęła usta, po czym podjęła swą tyradę. * Właśnie wracam ze stacji. Obiekty przybędą dziś późnym wieczorem, specjalną przesyłką. Zawracanie głowy, cholera jasna! Nikt z zaufanych osób z uczelni nie mógł, tak jak na to liczyłam, przywieźć ich tutaj. Przez te pana fana*berie jeszcze nawet nie byłam w Rodalen.

* Ależ, droga pani * powiedział Fredric głosem tak łagodnym, jak tylko mógł * wydaje mi się, że przedstawiłem swoją prośbę z odpowiednim wyprzedzeniem?

* Phhh! Z wyprzedzeniem czy bez wyprzedzenia... Pana żądania uznałam za absurdalne. W głowie mi się nie mieściło, że nie wystarczą panu fotografie. Ten rodzaj szczególnego traktowania, którego pan się domaga, jest mi całkowicie obcy. Stawiam bezpieczeństwo obiektów na pierwszym miejscu, jest to dla mnie ważniejsze niż to, czy pana prace będą przebiegały sprawniej, jeśli będzie pan mógł pracować na oryginałach.

Podczas całej tej przemowy Fredric uważnie przyglądał się doktor Lund*Hoegh. Było oczywiste, że go nie lubi. Nie wiedział, czy to antypatia na tle zawodowym, czy też jakieś prywatne animozje. Może dręczył ją po prostu syndrom nadmiernego poczucia odpowiedzialności. To dość częste u zaawansowanych wiekiem naukowców; w wielu przypadkach dolegliwość ta działa destrukcyjnie na młodych współpracowników pragnących szukać nowych dróg, eksperymentować. Na szczęście Fredric nikomu nie podlegał i nie groziła mu nadopiekuńczość starszych kolegów ani przymusowy udział w odprawianych w sterylnych laboratoriach konserwatywnych rytuałach.

* Moim zdaniem * odparł * takie rzeczy, jak patyna, forma, ozdoby i to, jak ze sobą współgrają, ma niebagatelne znaczenie w przypadku obiektów, z jakimi mamy tutaj do czynienia. Całkiem możliwe, że fotografie by wystarczyły. Niestety, na razie nie jestem w stanie tego stwierdzić. Powiedziała pani, że jutro rano?

* Tak * potwierdziła doktor Lund*Hoegh, której udało się nieco uspokoić za pomocą herbatki. * Jak tylko otworzą dział ekspedycji. Osobiście odbiorę paczkę.

* Wyśmienicie. A tak przy okazji, czy to pani prowadziła wszystkie badania związane z datowaniem radiowęglowym?

* Zgadza się, wszystkie. Czuwałam nad przebiegiem badań przez cały czas ich trwania. Wiek przedmiotów z całą pewnością został określony prawidłowo, akurat tym nie musi się pan martwić.

* O jakim materiale mówimy?

* Kość i drewno. Obiekty są w doskonałym stanie, nie noszą najmniejszych śladów zniszczenia.

* Czy wiek mumii będzie badać to samo laboratorium?

* Oczywiście. * Doktor Lund*Hoegh dumnym ruchem odrzuciła głowę do tyłu. * Mamy jedno z najlepiej wyposażonych tego typu laboratoriów w Europie. * Podniosła się z miejsca i na pożegnanie dodała: * Jutro rano dostanie pan obiekty. I biada panu, jeśli coś się z nimi stanie!

Po czym odmaszerowała. Fredric został sam. Zamyślił się. Jego czoło przecięła głęboka bruzda. Cecilie Lund*Pfoegh naprawdę cierpiała na poważny przypadek nadmiernego poczucia odpowiedzialności. Zupełnie bezpodstawnie, w końcu obiekty stanowiły działkę archeologów.

Doktor Lund*Hoegh jakoś mu nie pasowała do tego obrazka. Jako radiolog była absolutnie doskonała, pewnie wystarczyło, że spojrzała, a atomy od razu wyskakiwały ze swych torów, by zdradzić jej swe najskrytsze tajemnice. Nic dziwnego, że młody Havsten, który z nią pracował, tak marnie wyglądał. Fredric dopił herbatę i skierował się w stronę saloniku.

Widział wcześniej, jak profesor Hornfeldt zmierza w tamtą stronę.

Profesor rzeczywiście tam siedział, sącząc drinka, zapatrzonego w jezioro. Odwrócił się i powitał Fredrica uśmiechem.

* Jak dziś poszło? Jest pan zadowolony? * Fredric zajął miejsce na sofie obok profesora.

* Taaa... Jakby to powiedzieć... Zależy, czego się oczekuje. Nie znaleźliśmy nic więcej interesującego, chociaż przekopaliśmy dość duży obszar wokół miejsca, gdzie leżały mumie. Mamy nadzieję, że przynajmniej uda nam się znaleźć głowy. Najlepiej by było, gdybyśmy co i rusz natykali się na jakieś ciekawe obiekty, ale cóż, nie można od razu zbyt wiele oczekiwać, dopiero zaczęliśmy * powiedział profesor, drapiąc się z wyraźną ulgą. Komarów na bagnach na pewno nie zabrakło.

Fredric powoli pokiwał głową. On też zapatrzył się w jezioro.

Błądził wzrokiem wzdłuż linii brzegowej, śledził wklęsłości zatoczek i wypukłości cypli, aż w końcu zatrzymał spojrzenie na dramatycznie wykręconej sośnie rosnącej na samym krańcu daleko wysuniętego w jezioro przylądka.

* Poza tym * zauważył Fredric * to musiałyby być niesamowity traf, gdyby wszystkie interesujące obiekty leżały w jednym miejscu, akurat tam, gdzie przejechała koparka. Może trzeba poszukać kawałek dalej?

Profesor potrząsnął tylko głową, patrząc na Fredrica pytającym wzrokiem.

* Jutro * dodał Fredric, wciąż wpatrzony w potarganą koronę sosny.

* Panie Drum, czy pan o czymś wie? * Profesor Hornfeldt nagle czujnie się wyprostował.

* Nie grzebałem w bagnie przed państwa przyjazdem, jeśli o to panu chodzi * uśmiechnął się Fredric. * Lubię tylko snuć różne wizje, chciałem się nimi podzielić, nim dokonamy jakiegoś prawdziwego odkrycia. Jutro mam w końcu otrzymać obiekty, o ile można polegać na tym, co mówi doktor Cecilie Lund*Hoegh.

* Absolutnie * zapewnił go Hornfeldt. * Jak ona coś powie, to nie ma przebaczyć. Jest bardzo solidna. Blisko spokrewniona ze statkiem pancernym. * Hornfeldt dokończył aperitif.

* Co zamierzają państwo zrobić z mumiami?

* Dzisiaj zostały wyjęte z torfu i włożone do plastikowych worków, z których następnie wypompowano powietrze i szczelnie zamknięto, tak że w środku panują warunki zbliżone do próżni. Potem worki przeniesiono do barakowozu i umieszczono w napędzanej generatorem zamrażarce. Są więc całkowicie bezpieczne.

* Jak ocenia pan stan mumii? Na przykład w porównaniu z człowiekiem z Grauballe.

* Fantastyczny. Tylko cholernie szkoda, że brakuje głów. * Profesor zabębnił nerwowo w blat stołu.

* Pewnie niedługo się znajdą. Czy wiadomo, w jaki sposób je usunięto? To znaczy czy to był jeden mocny cios, czy powolna męczarnia przy użyciu kiepskich narzędzi?

* Ciekawe, że pan o to pyta. * Profesorowi załśniły oczy. * Tak się składa, że sam to sprawdzałem. Wygląda na to, że rzeczywiście przy usuwaniu głów posłużono się marnymi narzędziami. Kręgi szyjne zostały złamane, tak więc metody na pewno były bardzo prymitywne.

* Jeszcze jedna wiadomość może okazać się dla mnie cenna, zanim przystąpię do pracy. O jakim typie ludzkim możemy mówić, to znaczy chodzi mi o budowę ciała, wzrost...

Profesor długo nie odpowiadał, jakby potrzebował czasu do namysłu. W końcu powiedział:

* Człowiek z Grauballe mierzył metr sześćdziesiąt dziewięć centymetrów. Człowiek z Lindów metr sześćdziesiąt siedem. Nasze mumie są nieco większe, Tor Meissner mówił, że mają około metra siedemdziesięciu. Nie określiliśmy jeszcze płci, okolice jamy brzusznej i podbrzusze pokrywa skorupa ziemi, musimy użyć specjalistycznego sprzętu, żeby ją usunąć. Za wcześnie też, by coś powiedzieć na temat budowy ciała.

* Resztki ubrań? Profesor potrząsnął głową.

* A więc zostali pogrzebani nago, za to wyposażeni w przedmioty użytku osobistego albo może rytualne.

Obaj siedzieli w milczeniu, spoglądając na jezioro. Na południowym krańcu widać było łódź, niemal niedostrzegalnie posuwającą się na północ. Ktoś wylawiał ostatnie palie, które pozostały po regulacji jeziora. Jezioro Savalen też nie uniknęło skutków budowy elektrowni. Po chwili profesor przerwał ciszę. Przedstawił w skrócie plan prac archeologicznych i dodał, że nawet jeśli tym razem nie uda im się nic więcej znaleźć, państwo i tak wywłaszczy część doliny, co jest bardzo korzystne; będą mogli nadal kopać, gdzie tylko im się spodoba, nie narażając się na szykany ze strony właścicieli gruntów. Owce tak czy inaczej nadal będą mogły się paść tam, gdzie się pały.

Nadpłynęła Julia Hornfeldt. Rzuciła radosne pozdrowienie i zapytała:

* Mówiłeś już Fredricowi?

* Nie, niby co? * zdziwił się profesor.

* No nie, przecież obiecałeś, że mu powiesz. Mam być twoją asystentką * zwróciła się do Fredrica. * Chcę się nauczyć paru twoich sztuczek.

Fredric poczuł, że blednie. Myśl, że ktoś miałby towarzyszyć mu przy pracy, budziła w nim gwałtowny sprzeciw. Nie życzył sobie żadnych asystentek. To była po prostu kwestia koncentracji. Musiał być absolutnie, całkowicie skoncentrowany, nic nie mogło go rozpraszać, tylko wtedy istniała szansa na to, że znaki dadzą sobie wyrwać swoje tajemnice. Julia Hornfeldt kręcąca się po pokoju równa się fiasko. Totalna porażka, bezwarunkowa kapitulacja. Siedział sztywny jak mumia bagienna, niezdolny wydusić z siebie słowa, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

* Jestem pewien, że pan Drum nie ma nic przeciwko temu * powiedział Hornfeldt i odchrząknął znacząco. *Z pewnością przy tak trudnym zadaniu przyda mu się taka pomysłowa dama.

Trudno w to uwierzyć, ale w głosie profesora nie było słyhać nawet cienia ironii. Mówił śmiertelnie poważnie.

Fredric wstał, nadal nie mogąc wydusić z siebie słowa. Następnie podszedł do okna i zgniótł leżącą na parapecie od dawna martwą muchę. Nie spojrzawszy na profesora ani jego córkę, opuścił salonik. Miał nadzieję, że w ten sposób wyraził więcej niż jakimikolwiek słowami protestu.

Na deser były morożki ze śmietaną. Stephen i Fredric siedzieli przy stole w głębi. Obiad był najważniejszym punktem wieczoru. Obaj chwalili tutejszą kuchnię, chociaż kucharz raczej nie aspirował do kulinarnego Oscara. Jedzenie było zdrowe, proste, lecz na swój sposób wykwintne.

* Przez cały czas myślałem tak intensywnie, że głowa mało mi nie pękła * oświadczył Stephen * ale nie udało mi się rozwiązać twojej zagadki. Całun turyński. Niczego mi to nie przywodzi na myśl. Co, mam sobie wyobrazić tamten dół jako grób Jezusa? Jedyne skojarzenie, jakie mi się nasuwa, to że na dnie dołu leżał popiół i jakieś zwęglone resztki, zaś wspomniany całun w swoim czasie o mało nie spłonął w pożarze. Zdaje się, że brzeg jest nadpalony.

Fredric, pochłonięty konsumpcją morożek, zamruczał w odpowiedzi:

* Nie najgorzej. Jesteś na dobrej drodze. Ale więcej nic nie powiem.

* Na dobrej drodze? Hmmm. * W Stephenie na nowo obudziła się nadzieja.

Fredric miał zamiar zaproponować przyjacielowi partyjkę szachów w ogrodzie zimowym, ale Stephen uprzedził go, mówiąc, że musi wykonać kilka ważnych telefonów do Anglii. Fredric zajął więc swoje stałe miejsce pod figowcem, gdzie mógł w spokoju posiedzieć i uporządkować myśli, które wkrótce niby fantazyjny ornament zapełniły marginesy leżącej na stole lokalnej gazety.

Tarald Thomsen był bardzo przesądny i posiadał laleczkę, która według niego miała magiczną moc.

Tarald Thomsen od kilku tygodni nie żyje.

Myśliwy Hugar posiadał laleczkę bardzo podobną do tej Thomsena. Hugar był przesądny?

Myśliwy Hugar też nie żyje, prawdopodobnie został zamordowany.

Ktoś ukradł lalkę Thomsena z restauracji.

Ktoś zniszczył lalkę Hugara i wrzucił ją do wody.

Ktoś próbował zabić Fredrica Drum dwa, a może nawet trzy razy.

Przy czym ostatni raz zupełnie się z tym nie kryjąc, jeśli Julia Hornfeldt jest niewinna.

Lilleif Havsten zamierza uczynić z Rodalen atrakcję turystyczną i zbić na tym forszę, co raczej jest nierealne, szczególnie teraz, kiedy dokonano odkrycia archeologicznego.

Parelius Hegtun widzi w tych planach zagrożenie dla swojego hotelu.

Trzy lata temu w Rodalen zniknęli bez śladu trzej belgijscy turyści.

Datowanie radiowęglowe oraz stan mumii nie pozostawiają wątpliwości co do tego, że chodzi o znalezisko z epoki żelaza.

Syndrom całunu turyńskiego.

Lokalni mieszkańcy zawzięcie walczą o Rodalen, ze starym Stalgiem Stalgsonem i jego synem na czele.

Pewne osoby uważają, że wkład Fredrica Drum w badania archeologiczne jest zupełnie bezwartościowy, i sabotują jego pracę.

Wszystkie piętnaście punktów miał w głowie, teraz musiał je tylko w odpowiedni sposób połączyć, odnaleźć rządzącą nimi logikę, a wówczas rozwiązanie samo się pojawi. Jednak nadal równanie nie było pełne, brakowało mu kilku stałych. Jeśli mu się uda je odnaleźć, wszystko pójdzie jak po maśle.

Ziewnął i stłumił kichnięcie. Za każdym razem, gdy ktoś przechodził przez drzwi wejściowe, liście figowca lekko drżały. Ruch w hotelu znacznie wzrósł od momentu, gdy zaczęły się prace. Toczyły się dyskusje, życie towarzyskie kwitło. Po schodach do baru właśnie spłynęła Julia Hornfeldt.

Fredric zamierzał wcześniej się położyć. Skoro ma rano dostać obiekty, warto by się porządnie wyspać. Dał znak rozmawiającemu przez telefon Stephenowi, że idzie do siebie.

Recepcjonistka od razu podała mu klucz, pamiętała już numer jego pokoju.

Kiedy otworzył drzwi, poczuł nieprzyjemne ciepło. W myślach przeklął pokojówkę, która za każdym razem zamykała mu okno. Fredric chciał mieć świeże powietrze przed snem. Świeże powietrze z nutką sosnową. Czy może być coś lepszego? Zmierzając w kierunku okna, zaczął ściągać z siebie koszulę.

Co za szkoda, że nie udało mu się porozmawiać ze starym myśliwym. Teraz nie żyje.

Zamordowany? Na pewno? Oczywiście istniała możliwość, że zmarł śmiercią naturalną, że na przykład zdenerwował się na amulet, który nie zdołał uchronić Rodalen przed najeźdźcami, i w napadzie wściekłości zerwał go z szyi, a potem idąc po drewno na opał, zmarł na atak serca. Gdyby tak było, przynajmniej kilka ciemnych chmur zniknęłoby z tego chaotycznego nieba.

Fredric popchnął okno na zewnątrz, chcąc otworzyć je na maksymalną szerokość. Było to jedno z tych nowoczesnych okien, przechylne. Nagle poczuł, że coś jest nie tak, i w tym samym momencie okno spadło na niego. Padł na kolana, odruchowo wykręcając głowę w bok.

I wtedy zobaczył jakiś cień.

Wszystko stało się bardzo szybko. Fredric niewiele mógł zrobić w tej pozycji, był niemal całkowicie bezbronny. Działał instynktownie. Posłał kopniaka w kierunku stojącej za nim postaci. Poczuł, że w coś trafił, chyba w rękę napastnika, z której coś wypadło, potoczyło się pod łóżko i rozbiło z cichym brzdęknięciem. Usłyszał jęk i stłumione „o, kurwa”, a potem cień spadł na niego całym ciężarem ciała. Poczuł, jak jego głowa zostaje wciśnięta w parapet. Jeszcze kilka razy próbował kopnąć przeciwnika, jednak bezskutecznie. Ten przyciskał go z całej siły. Fredric otworzył usta i wydobył się z nich cichy pisk. To było powietrze, uchodziło z niego powietrze. Jeszcze sekunda, a jego czaszka trzaśnie jak skorupka jajka. Próbował jakoś wykręcić dolną część ciała, nic to jednak nie pomagało, ucisk coraz bardziej wzrastał. Miał wrażenie, że oczy zaraz wyskoczą mu z orbit. Były szeroko otwarte, ale nic nie widział, tylko wirujące w szalonym tempie czerwone plamy, coraz większe i większe. Zrobiło mu się niedobrze, jego ciało przebiegł skurcz i nagle z ust i nosa buchnęła fontanna niedawno spożytego obiadu, kwasów żołądkowych i śluzu, i rozlała się po parapecie tuż przy jego twarzy. Ból był teraz nie do wytrzymania, nie miał już siły się bronić. Czuł, że za moment jego czaszka rozpadnie się na tysiące kawałków.

I nagle nastąpił wybuch. Rozległ się ogłuszający huk i zalało go morze płomieni, zmiatając czerwoną mgłę przed jego oczu. Okropny ból przeszył jego ciało aż po koniuszki palców. A potem była już tylko pustka i ciemność.

Chór śpiewał coraz głośniejsze.

„So recht. Ihr Engel jauchzt und singet dass es uns heut so schön gelinget! Auf denn, wir stimmen mit euch ein, uns kann es so wie euch erfreuen. Kyrieleis! Kyrieleis!" Knabenchor i trąbki, kotły i puzony, alty i soprany, głębokie kontrabasy i łagodne skrzypce. Muzyka narastała, potem cichła, stawała się coraz głośniejsza, zaraz popękają mu w uszach bębenki. Fredric otworzył oczy i straszliwy hałas ucichł. Za to w skroniach czuł okropny pulsujący ból. Spojrzał na swoje ciało. To chyba nie mogło być jego ciało.

Leżało jakoś niemożliwie wykręcone, częściowo kolanami, częściowo brzuchem wsparte o kaloryfer. Broda była wtłoczona pomiędzy kaloryfer a ścianę. Nie miał siły się ruszyć. Nie mógł się ruszyć. Został uwięziony w wieńcu ostrych jak sztylety kawałków szkła. Na jego plecach i ramionach spoczywała ciężka rama okienna. Głowa przebiła trzy warstwy szyby. Czuł, jak jego szyję kasają ostre szklane zęby. Ale żył, cholerny Fredric Drum znowu wywinął się śmierci dzięki swej twardej pancernej czaszce!

Nasłuchiwał przez chwilę. Cisza. Napastnik zniknął, zapewne przekonany, że skutecznie wykonał robotę.

Zdobył się na odwagę i ostrożnie poruszył ramieniem. Każdy ruch był ryzykowny, najmniejsza nieuwaga i szkło przetnie mu krtań i tętnicę. O ile już nie... Fredric skierował wzrok w lewo. Całe ramię było czerwone od krwi. Na podłodze już zdążyła się zebrać kałuża. Z rany na szyi bez ustanku kapą krew; ogromne krople, jedna za drugą.

Strasznie dużo krwi, pomyślał i nagle poczuł, że ogarnia go obezwładniająca słabość. Zaraz wykrwawisz się na śmierć, Fre*dricu! Chciał krzyknąć, ale wyszło z tego tylko jakieś gulgotanie. A szklane noże pod wpływem nieznacznego ruchu wbiły się jeszcze głębiej. W rozpacz zaciśnął lewą pięść, była to chyba jedyna część ciała, którą miał odwagę poruszyć. Pomocy, niech ktoś mu pomoże, szybko! Tylko jak o tę pomoc zawołać? Oczy zaczęła mu przesłaniać ciemna mgła, wiedział, że jeszcze chwila i straci przytomność. I już jej pewnie nie odzyska.

Pomacał wokół i znalazł na podłodze spory odłamek szkła. Na co mu to? Już miał go wypuścić z dłoni, kiedy nagle przyszedł mu do głowy zupełnie szalony pomysł.

Kaloryfer!

Postukał na próbę. Dźwięk był mocny, przenikliwy. Wiedział, że słyhać go w całym hotelu, we wszystkich pomieszczeniach, w których znajdowały się kaloryfery, połączone szeregiem rur w jeden system.

Zaczął wybijać określony rytm, szybko i precyzyjnie. Trzy krótkie, trzy długie, trzy krótkie. SOS. Powtórzył całą serię kilka razy. Potem przerwa i dalej: dwa stuknięcia, przerwa, jedno, przerwa, cztery. Mieszkał w pokoju numer dwieście cztery. Chyba ktoś to usłyszy i zrozumie, o co chodzi!

Stukał tak i stukał, powtarzał sygnał SOS i numer pokoju, i coraz bardziej opadał z sił. Z najwyższym trudem trzymał rękę w górze. Szkło kilka razy wyslizgiwało mu się z ręki. Mgła przed oczami gęstniała, w głowie znów zaczęło szumieć. Trzy krótkie, trzy długie...

Już nie miał siły, szkło spadło na podłogę, a on pogrążył się w mdlącej czerwonej mgle.

Skrzypce, kotły i puzony. I chór złożony z tysięcy głosów: „Ich will dich mit Fleiss bewahren, ich will dir leben hier, dir will ich abfahren, mit dir will ich endlich schweben voller Freud ohne Zeit dort im andern Leben".

10

Kółka odkrywają swe oblicze,
taksówkarz sobie podśpiewuje,

a błady letni księżyc przegląda się w jeziorze

Wszystko było białe i przesycone dziwną ostrą wonią. Fre*dric Drum leżał i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w przestrzeń.

Słysząc było jakieś tykanie. Trzy razy zamrugał i poczuł, że zaraz kichnie. A więc żyje. Kicham, więc jestem.

Sprawdził, czy wszystko jest na swoim miejscu. Podkurczył palce u nóg. Zaciśnął pięści. Wziął głęboki oddech. Wszystko działało jak trzeba. Nic go nie bolało. Czuł się cudownie wypoczęty. I strasznie chciało mu się pić. Jego szyję ciasno otaczało coś sztywnego. Bandaż. Aha, wyładował w szpitalu.

Białe ściany i biały sufit. Monstrualne łóżko, w nogach jakieś dziwne drążki i uchwyty. Lśniący nikiel i czarny plastik. Obok łóżka przerażający stojak obwieszony przeróżnymi rurkami i przyrządami. Oraz plastikowy worek napełniony do połowy krwią. Z ulgą stwierdził, że z żadnej części jego ciała nie sterczą kabelki, wężyki ani inna aparatura. Czuł się wręcz bezwstydnie zdrowo, tylko w głowie trochę mu szumiało, no i to potworne pragnienie. Nocny stolik był doskonale sterylny, jeśli chodzi o zapasy wody pitnej.

Wiszący nad drzwiami zegar pokazywał godzinę za piętnaście trzecią.

Próbował uporządkować przebieg wydarzeń: kiedy wszedł do pokoju, było tuż po jedenastej. Cały ten koszmar zaczął się więc zaledwie cztery godziny temu. Pamiętał, że jakiś potwór wsadził mu na głowę szybę okienną. Potem zaczął strasznie krwawić. Co się wydarzyło później? Kto go znalazł i zawiózł do szpitala?

Uniósł się na łokciach. Obrócił głowę. Poczuł pulsujący ból na szyi, z prawej strony. To bandaż uciskał. Głowa chyba była w porządku, nieco obolała tu i tam, a nad lewą skronią guz. Solidna czaszka. Nie ma co, czaszkę miał naprawdę porządną!

Zauważył guzik na ścianie, wcisnął go. Lampka nad wejściem zaczęła migać na czerwono.

Po chwili usłyszał kroki na korytarzu. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich pielęgniarka. Na pulchnej, ozdobionej okularami twarzy nie było widać śladu uśmiechu.

* Słucham? * zapytała, trzymając się w bezpiecznej odległości dwóch metrów od cudu techniki, jakim było łóżko, w którym leżał.

* Chciałem prosić o wodę * wychrypiał Fredric. Odchrząknął i powtórzył: * Chciałem prosić o wodę, najlepiej całe morze.

Siostra odwróciła się i zniknęła. Na długo. W końcu pojawiła się ze szklanką. Napełnioną mniej więcej w jednej czwartej. Fredric posłał pielęgniarce zranione spojrzenie i wlał do gardła marne kropelki. Przy okazji zwrócił uwagę na potrójny podbródek, jakim siostra była obdarzona.

* To raczej niewiele mi pomogło. Jeśli to taki kłopot, sam sobie przyniosę. W końcu nie jestem sparaliżowany.

* Nie wolno panu wstawać z łóżka * ostrzegła go groźnym tonem. * Stracił pan dużo krwi. Dostanie pan więcej wody.

* Cały dzbanek! * krzyknął za nią.

I dostał dzbanek. Wypił sześć szklanek. Poprosił siostrę, by opowiedziała mu, gdzie jest i co się z nim działo.

Szpital, w którym leży, znajduje się jakieś dwadzieścia kilometrów od Savalen, jak zrozumiał, w pobliżu miejscowości, której architektura przyprawiła go o estetyczną traumę. Został przywieziony do szpitala prywatnym samochodem, towarzyszyły mu dwie kobiety i mężczyzna. Kiedy lekarz zapewnił ich, że jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, wrócili do hotelu. Mieli go odwiedzić jutro rano. Nie doznał żadnych poważnych obrażeń, nie licząc rany na szyi, która spowodowała obfity krwotok. Teraz miał na szyi siedem szwów, dostał litr krwi i potrzebował odpoczynku. Lekarz dyżurny powiedział, że musi poleżeć parę dni w spokoju, wrócić do równowagi. Znaczna utrata krwi to zawsze szok dla organizmu. Nie ma powodów do niepokoju. Za to wodę może pić w dowolnych ilościach.

Pielęgniarka zakończyła swój szczegółowy wywód i zniknęła za drzwiami.

Aha. Siedem szwów na szyi. Piękna nieduża blizna. Szok dla organizmu? Niczego takiego nie zauważył. Musiał to być szok czysto fizyczny, może jakieś mięśnie nie działają? Opadł na poduszki i przesunął ręką wzdłuż krawędzi łóżka. Tam też były jakieś drążki i uchwyty. Nie mógł się powstrzymać i pociągnął za jeden z nich. Rozległ się cichy szmer, część łóżka od strony nóg uniosła się, a od strony głowy gwałtownie obniżyła. Kołdra spadła mu na głowę jak wielki żagiel. Fredric zaczął gorączkowo majtać drążkiem. W końcu przyniosło to efekty i po chwili znowu leżał w pozycji horyzontalnej.

Zamknął oczy. Ogarnęło go przyjemne obezwładniające zmęczenie. Po chwili był już zupełnie gdzie indziej.

Obudzono go wcześniej rano, zmierzono temperaturę i zaserwowano toaletę poranną oraz śniadanie. Potem odwiedził go lekarz, który stwierdził, że dobrze by było, gdyby Fredric kilka dni poleżał w łóżku. Nie zamierzał protestować, sam czuł, że jest osłabiony. Poza tym to była świetna okazja, by wszystko w spokoju przemyśleć. No, i tu na pewno był bezpieczny.

Chwilę po wyjściu lekarza rozległo się pukanie do drzwi. Do środka weszły dwie blade i poważne osoby: Stephen Pratt i Parelius Hegtun. Fredric musiał uśmiechnąć się na ich widok; wyglądali, jakby spodziewali się zobaczyć Złego.

* To niewiarygodne * wybełkotał Hegtun, na próżno próbując zapanować nad zezem. * W moim hotelu nigdy nie było żadnych problemów z oknami. Słyszałem, że na szczęście nic poważnego się panu nie stało, tylko ta paskudna rana...

Stephen po przyjacielsku potrząsnął ramieniem Fredrica. Na jego prośbę opowiedział dokładnie przebieg wydarzeń: Tor Meissner, młody lekarz z Tromsø, już zasypiał, kiedy nagle usłyszał dochodzące z kaloryfera dźwięki. Szybko rozpoznał sygnał SOS, domyślił się też, że następująca po nim seria dźwięków oznacza numer pokoju, ale początkowo pomyślał, że to pewnie jakiś żart. Kiedy jednak zauważył, że pukanie robi się coraz słabsze i coraz bardziej nieregularne, ubrał się i postanowił na wszelki wypadek sprawdzić, co się dzieje. Kiedy stanął przed drzwiami do pokoju Fredrica, usłyszał jakieś słabe odgłosy gulgotania, czy czegoś w tym rodzaju, nikt jednak nie odpowiedział na jego pukanie. Drzwi były zamknięte. Pobiegł do recepcji po zapasowy klucz. Kiedy recepcjonista otworzył drzwi, ujrzeli Fredrica leżącego w ogromnej kałuży krwi, z głową uwięzioną w rozbitej szybie okiennej. Z pomocą kilku innych osób udało im się uwolnić go z pułapki, Tor Meissner zatamował krwotok i czym prędzej pojechali do szpitala. Gdzie nadal się znajdował.

* Pokój był zamknięty? * zdziwił się Fredric. Stephen potwierdził skinieniem głowy.

* Klucz tkwił w zamku od wewnętrznej strony, pewnie zamknąłeś drzwi, skoro zamierzałeś się położyć. Okno*pułapka, co?

* Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. * Hegtun potrząsnął głową. * Obejrzałem całe to paskudztwo. Wyglądało to tak, jakby ktoś porozkręcał śruby. Ale to nie pan majstrował przy oknie?

* Nie, niby po co miałbym to robić? * roześmiał się Fredric. * Zużycie materiału. Jedno jest pewne: to było okno wagi ciężkiej. Znokoutowało mnie jednym ciosem, nic nie pamiętam aż do momentu, kiedy się ocknąłem w kałuży krwi.

Oczy Hegtuna znowu patrzyły prosto. Widać było, że jest mu przykro i że się przestraszył.

Zaproponował Fredricowi darmowy pobyt w hotelu i obiecał, że osobiście sprawdzi wszystkie okna. Z kolei Stephen roztoczył przed nim wizje czekających ich wypraw wędkarskich. Góra za dwa dni, stwierdził, Fredric znów będzie z wdziękiem machać wędką.

Rozmawiali tak sobie o tym i owym, na koniec Stephen obiecał, że wpadnie jeszcze po południu, zamierza bowiem, zgodnie z zaleceniem Hegtuna, zwiedzić Roros, to słynne stare miasto górnicze. Będzie mu towarzyszyć Julia Hornfeldt, która zresztą gorąco go pozdrowia.

Kiedy już zbierali się do wyjścia, Stephen zbliżył się do łóżka i ścisząc głos, powiedział:

* I've got some bad thoughts. Nie podoba mi się to wszystko. Całun turyński. Mam pewne skojarzenia, których wolałbym nie mieć. Później porozmawiamy.

Fredric odpowiedział niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy.

Po wyjściu gości pograżył się w rozmyślaniach. Usiłował przypomnieć sobie tamte dramatyczne minuty. Co się wydarzyło, zanim stracił przytomność? Ktoś dostał się do jego pokoju, otworzył drzwi, może za pomocą klucza, może wytrycha. Zobaczył cień i kopnął, trafiając w dłoń, z której coś wypadło. Potem cień próbował go zabić, wsadzając mu okno na głowę. Kiedy szyba się zbiła i stracił przytomność, napastnik musiał pomyśleć, że mu się udało. Wyskoczył przez okno; pokój był na pierwszym piętrze. Na pewno nikt niczego nie zdążył zauważyć.

Cień.

Fredric nie miał pewności, zapamiętał jednak pewne szczegóły. Głos, który syknął „o, kurwa” za jego plecami, wydał mu się znajomy. Jednak dalej coś tu nie pasowało.

Kiedy tak leżał i rozmyślał, znów rozległo się pukanie. Tym razem była to prawdziwa niespodzianka: do środka wkroczyła doktor Cecilie Lund*Hoegh. Dzierżyła w ramionach wielką brązową paczkę oraz * to już prawdziwy cud * bukiet czerwonych goździków.

* To dla naszego nieszczęsnego utrapieńca * powiedziała na powitanie, rzucając kwiaty na łóżko. Na jej twarzy widniał uśmiech. * Znajdzie się tu chyba jakiś wazon.

Fredric tak był poruszony, że ledwie zdołał wydusić z siebie podziękowanie. Jego uwagę zajęła jednak brązowa paczka, którą doktor Lund*Ffeegh ostrożnie umieściła na stoliku.

* No, teraz przynajmniej nie będzie pan się nudził. Proszę zajrzeć do środka i sprawdzić, czy jest tu wszystko, o co panu chodziło. Spiesz mi się, zaraz jadę do Rodalen, teraz moja kolej, żeby popatrzeć na te bezgłowe znaleziska.

Fredric chwycił paczkę. Była bardzo solidnie zabezpieczona, więc trochę potrwało, zanim wreszcie dostał się do środka. Po chwili trzymał w rękach szare plastikowe pudełko.

Ostrożnym ruchem zdjął wieczko. W środku leżały owinięte w bawełnianą watę trzy niesamowite przedmioty. Duża kościana tabliczka, brązowa, w kształcie prostokąta, około dwudziestu centymetrów na dziesięć. Na brzegach dłuższych boków widać było liczne ubytki. Z jednej strony niewyraźnie rysowały się szeregi znaków i zdobień. Rodzaj kościanego toporka o drewnianym stylisku; był zniszczony, ale też można było dostrzec na nim jakieś znaki. Poza tym niewielka czarka, nieco większa od kieliszka do jajek, drewniana, ozdobiona biegnącym wzdłuż brzegu szlaczkiem. Wyglądało na to, że wszystkie przedmioty były w dobrym stanie. I na pierwszy rzut oka było widać, że muszą być stare. Bardzo stare.

Doktor Cecilie Lund*Hoegh pokiwała głową. Na jej twarzy malowała się ulga; bezcenne klejnoty na szczęście dotarły bezpiecznie. Wbijając w niego ostre spojrzenie, powiedziała:

* Teraz oboje jesteśmy usatysfakcjonowani. Kiedy pan skończy, proszę przekazać skarb profesorowi Hornfeldtowi. Bo chyba ma pan świadomość, że tu, na tej kołdrze, leży prawdziwy skarb?

Fredric zapewnił ją z roztargnieniem, że absolutnie ma tego świadomość. Całą jego uwagę pochłonęła już tabliczka i wryte na niej rzędkie znaków. Serce biło mu jak szalone. To dopiero wyzwanie! Czy sobie poradzi? Jaką treść kryje w sobie ten przedmiot? Jaka kultura za nim stoi? Jeszcze raz wymamrotał słowa podziękowania za kwiaty i przeprosił za kłopot. A potem doktor Cecilie Lund*Hoegh zniknęła za drzwiami.

Wziął do ręki czarkę. Musiała zostać wycięta z korzenia. Na nieco chropowatej powierzchni była wyraźnie widoczna struktura drewna. Czarka miała z jednej strony niewielkie uszkodzenie, ale nie przewróciła się, kiedy postawił ją na stoliku. Na dnie od zewnętrznej strony widać było świeży ubytek, zapewne stąd pobrano próbkę materiału do badań. Kolor drewna w tym miejscu był dokładnie taki, jak zwykle w przypadku starych przedmiotów. Gdyby obiekt był nowy, kolor byłby zupełnie inny. Oprócz szlaczka wzdłuż brzegu nie znalazł żadnych innych znaków. Był to bardzo prosty wzór, zygzak i kropki. Niezbyt oryginalna dekoracja, trudno byłoby na jej podstawie określić wiek znaleziska.

Natomiast toporek był dość niezwykły. Zniszczone drewniane stylisko i kościany obuch. Raczej nie mógł to być przedmiot użytkowy, najprawdopodobniej ozdoba lub przedmiot używany w ceremoniach religijnych. Toporek też nosił ślady pobrania próbek. Kościaną część zdobiły jakieś znaczki i wzorki, jednak tak zatarte, że Fredricowi nie udało się zgadnąć, co mogły przedstawiać.

Ostatni, trzeci przedmiot był z jego punktu widzenia najbardziej interesujący. Widniały na nim rządki znaków, które z całą pewnością można by uznać za rodzaj pisma. Oprócz tego różne punkty, kropki i kółka, które wydawały się ułożone w jakimś określonym porządku. Na razie mógł stwierdzić dwie rzeczy: nie były to na pewno runy, nie przypominały też zdobień typowych dla sztuki lapońskiej czy północnosyberyjskiej. Właściwie nie przypominały niczego, co do tej pory widział. Sama tabliczka została zapewne zrobiona z kości biodrowej jakiegoś dużego zwierzęcia, najprawdopodobniej łosia.

Tak, tak, drogi Fredricu, czeka cię prawdziwe wyzwanie. Nagle ucieszył się, że jest w szpitalu. Żadna Julia Hornfeldt nie będzie mu przeszkadzać. Tu miał upragniony spokój i ciszę.

Zawołał pielęgniarkę i zapytał, czy mógłby dostać trochę papieru i coś do pisania. Wkrótce miał wszystko, co potrzebne do pracy, oczywiście oprócz przydatnych książek, które zostały w hotelu. Na razie będzie musiał radzić sobie bez nich.

Kiedy podawano obiad, całe łóżko było już zasłane przeróżnymi papierami i notatkami. Zjadł, niemal nie rejestrując, co wkłada do ust. Był daleko, w świecie znaków i symboli, w którym mogły nagle pojawić się najbardziej niespodziewane idee i dziwne wizje. Kojarzył ze sobą najodleglejsze zjawiska, na myśl przychodziły mu najprzeróżniejsze rozwiązania, które później odrzucał lub odkładał do dalszego przemyślenia. Wykonywał niemal akrobatyczne skoki z jednej kultury do drugiej, wypróbowywał różne znaki, łączące je podobieństwa i wzorce gramatyczne. Sortował, wybierał, tworzył ciągi skojarzeń, mruczał i gadał do siebie, maksymalnie skoncentrowany i całkowicie oderwany od rzeczywistości.

Te kółka coś mu przypominały. Musiał się dowiedzieć. Niech mu pokażą swoje oblicze. Jakie oblicze?

Nagle zamarł z długopisem w ustach i zapatrzył się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Siedział tak długo, bardzo długo. Przed nim leżała kartka, a na niej wyrysowane wszelkie możliwe znaki w kształcie koła pochodzące z różnych kultur. Nagle zaklął soczyście, chwycił czystą kartkę i zaczął gorączkowo notować.

W końcu się uspokoił i ponownie przyjrzał rezultatom swojej pracy. Zero wątpliwości. Kółka odkryły swoje oblicze. Wykrzywione ku niemu z nienawiści.

Miał uczucie, jakby znowu zaczął się krwotok. Opadł na poduszki. Migąło mu przed oczami. Prawda ukazała mu się

z bezlitosną jasnością, nagle zrozumiał wszystkie powiązania. Został wplątany w szatańską grę, grę, w której on sam był najważniejszym graczem. Chwycił kościaną tabliczkę i z wściekłością cisnął nią o ścianę. Rozpadła się na kawałki i leżała tak niczym resztki psiego obiadu.

Odrzucił kołdrę na bok i siadł na brzegu łóżka. Nie zamierzał spędzić tu ani sekundy dłużej. Trzeba wreszcie wydobyć te czarne, niesamowite myśli na światło dzienne. Myśli, których początkowo nawet nie dopuszczał do siebie.

Ostrożnie zsunął się na podłogę. Czuł się nieco oszołomiony, ale zdołał jakoś stanąć o własnych siłach. Podszedł do szafki, wyjął ubranie i włożył je na siebie. Zarówno koszula, jak i spodnie były poplamione krwią, nie zamierzał jednak zbytnio się tym przejmować. Podniósł z ziemi kawałki tabliczki, zebrał notatki i wraz z pozostałymi przedmiotami wsadził wszystko do pudełka. Stanął przed lustrem i przez chwilę patrzył sobie w oczy, mierząc siłę własnego spojrzenia. Od razu było widać, że to nie żarty. Bandaż na szyi trochę mu przeszkadzał.

Trudno, nie zamierzał go ruszać. Potem w pośpiechu opuścił pokój.

Nikt nie próbował go zatrzymać i po chwili znalazł się na zewnątrz. Rozejrzał się dokoła. Którędy do centrum? Wybrał drogę na chybił trafił. Minął jakiś duży budynek, zapewne szkołę, i po chwili zorientował się, że idzie w dobrym kierunku: przed nim wznosił się pamiętny rdzawy kolos, ratusz, otoczony mniejszymi pudełkami.

Taksówka. Musi znaleźć taksówkę.

Zapytał o drogę jakichś przechodniów, którzy nieufnie wpatrywali się w jego poplamione krwią ubranie i bandaż na szyi. Po niedługim czasie znalazł się na stacji kolejowej. Na szczęście stały tam dwie wolne taksówki.

Kierowca, gruby i niski, najwyraźniej miał jakąś wadę czy uszkodzenie stawów biodrowych. Był w doskonałym nastroju. Cały czas podśpiewywał. Fredric postanowił przerwać te trele; czuł nieodpartą potrzebę porozmawiania z kimś.

* Kamień * zagaił * trafił w przednią szybę mojego samochodu i widzi pan, jak teraz wyglądam. Siedem szwów mi założyli, krew sikała na wszystkie strony, wystarczy spojrzeć na moje ciuchy. Często robi pan tę trasę?

Fredric gadał jak najęty, a kierowca od czasu do czasu wtrącał jakiś dowcip lub zabawną uwagę okraszoną lokalnym humorem.

* Podobno przyjechali tu jacyś uczeni i kopią na mokradłach. Pewnie Czarną Śmierć chcą wykopać. Smród czuć aż na dole. Teraz to tu się zrobi ruch.

* Tak pan uważa? A to czemu? * zainteresował się Fredric.

, * Wie pan, jak państwo zacznie wywłaszczać, to zaczną jeździć wte i wewte. Miejscowi to tak pilnują tej swojej doliny, że aż strach. Sam nigdy tam nie byłem, mam kiepskie nogi, ale słyszałem, że to przepiękne miejsce.

* Przepiękne * potwierdził Fredric. Nagle zdał sobie sprawę z czegoś, co wcześniej jakoś umknęło jego uwagi. Jeżeli jest tak, jak myśli, ostatni brakujący fragment układanki wkrótce trafi na swoje miejsce, zagadka zostanie rozwiązana. Grinden, konserwator regionalny, być może potwierdzi jego przypuszczenia. Miał nadzieję, że zastanie go w hotelu.

Toyoty nie było na parkingu. Stephen i Julia zgodnie z zapowiedzią wybrali się do Roros. Zapłacili i podziękował kierowcy za towarzystwo.

Jak dowiedział się w recepcji, Mathias Grinden faktycznie był w hotelu. Na widok Fredrica w zakrwawionym ubraniu i z obandażowaną szyją Parelius Hegtun gwałtownie zbladł

* Wypisali mnie * uśmiechnął się do niego Fredric.

* Nieprawda * odparł Hegtun, desperacko walcząc z uciekającymi gałkami ocznymi. *

Nieprawda * powtórzył. *Właśnie dzwonili ze szpitala. Pan uciekł!

* Aha * potwierdził Fredric beztrąsco. * Sam się wypisałem. Tu mam wszystkie papiery. *

Pokazał plastikowe pudełko, które dzierzył pod pachą. Potem zabrał klucze do nowego i starego pokoju * musiał przecieżyć przenieść swoje rzeczy * i popędził na górę.

Otworzył drzwi do starego pokoju. Rama okienna stała wsparta o kaloryfer. Odłamki szkła usunięto. Na dywanie pod oknem wyraźnie było widać brzydką rdzawą plamę. Jego krew. Przeszedł go dreszcz.

Przez kilka sekund stał bez ruchu i intensywnie myślał. Potem ukląkł na podłodze i zajrzał pod łóżko. Tak jak przypuszczał. Leżała tam zbita strzykawka ze złamaną igłą. Zwyczajna strzykawka. Potwór pewnie zużył tamte z odwróconym tłokiem, pomyślał. Ostrożnie zebrał kawałki strzykawki i wsadził je do torebki. Trzy sztuki, licząc też tę, która obecnie znajdowała się w laboratorium w Oslo. Jak tak dalej pójdzie, niedługo otworzy hurtownię.

Nowy pokój leżał dokładnie naprzeciwko starego. Przeprowadzka nie trwała zbyt długo.

Kiedy już się urządził, zdjął bandaż i zakleił ranę plastrem. Nie wyglądała aż tak strasznie. A potem wskoczył pod prysznic.

Mathias Grinden podszedł do stolika pod figowcem i zwrócił na Fredrica pytające spojrzenie.

*Podobno chciał pan ze mną rozmawiać?

Fredric potwierdził skinieniem głowy i wskazał mu wolne krzesło. Konserwator przyjął zaproszenie, zdecydowanie jednak odmówił, kiedy Fredric zaproponował kieliszek wina. Właśnie zamówił całą butelkę najlepszego wina z hotelowych zapasów, Chateau Kirwan rocznik 1975. Z każdym łykiem wracały mu siły i spokój, rozkoszował się każdą kroplą. Bukiet był wyrazisty i intrygujący, miód, migdały i grzyby.

* Chętnie uzyskałbym odpowiedź na kilka bardzo istotnych dla mnie pytań * zaczął Fredric. * Mogą się one wydać niezbyt związane z moją pracą, jednak, jak zapewne wkrótce pan się dowie, mają dla jej wyników niebagatelne znaczenie. Czy wie pan, jak duży obszar ma ulec wywłaszczeniu?

We wzroku Grindena nadal można było dostrzec zdziwienie i niedowierzanie, odpowiedział jednak, że owszem, doskonale wie, gdyż brał udział w ekspertyzie. Chodzi, krótko mówiąc, o całą dolinę, ni mniej, ni więcej.

* Ale dlaczego całą? * Fredric wsadził nos w kieliszek i wciągnął w nozdrza aromat wina.

* Ponieważ po pierwsze, tak jest najprościej ze względu na właścicieli gruntów. Gdyby zaczęto dzielić teren, doprowadziłoby to w przyszłości do sporów i kłótni. Władze mają doświadczenie w tego typu sprawach, na przykład kiedy wywłaszczano tereny pod obszary chronione i parki narodowe. Po drugie, umożliwi to powstanie różnych inwestycji, nie tylko związanych z odkryciami archeologicznymi, które zapewnią tak upragnione miejsca pracy.

* Na przykład z jakiej branży? * spytał czujnie Fredric.

* Turystycznej * odparł Mathias Grinden.

Fredric uniósł kieliszek pod światło i obracając go w palcach, studiował uważnie barwę wina. Dostał odpowiedź na swoje pytanie. Było dokładnie tak, jak się obawiał. Podziękował Grindenowi i pożegnał się, mówiąc, że ma do wykonania kilka telefonów.

Najpierw zadzwonił do laboratorium chemicznego. W strzykawce była bardzo rzadka organiczna trucizna. Dosłownie kilka kropli wstrzykniętych w ludzkie ciało wystarczy, by w ciągu paru sekund nastąpił paraliż dróg oddechowych i śmierć. Po godzinie trucizna rozchodzi się po organizmie i staje się bardzo trudna do wykrycia. Substancji tej używa się sporadycznie w celach naukowych.

Fredric poprosił, by wyniki badań i strzykawkę przesłano Policji Kryminalnej.

Następnie zatelefonował do Toba. Przez ostatnią dobę udało mu się całkiem sporo zdziałać. Fredric zanotował na kartce kilka informacji. Na jego wargach pojawił się chłodny uśmiech. Jeszcze trochę i bomba wybuchnie.

Potem wrócił na swoje miejsce pod figowcem. Czekał, sącząc wino w samotności. Niedługo Stephen i Julia powinni wrócić. Na razie niewiele więcej mógł zrobić. Archeolodzy i reszta ekipy byli w Rodalen. Miał gotowy pewien plan, ale do jego zrealizowania potrzebował pomocy Stephena.

Dochodziła szósta, kiedy przed hotel zajechała toyota. Musiał się pospieszyć, zanim tamci wrócą z Rodalen. Julia i Stephen właśnie wchodzili do recepcji. Pomachał do nich. W odpowiedzi uśmiechnęli się i zgodnie ruszyli w jego stronę.

* Go right to Birmingham 'n tell the King! W szpitalu powiedzieli, że zwiąłeś! Well well, swoją drogą nie wyglądasz na specjalnie schorowanego.

Julia uściskała Fredrica na powitanie, mocno się przy tym rumieniąc.

* Biedny Pielgrzym * powiedziała. * Gdybym wiedziała, że po nocach lubisz bawić się w Indian, a czasem dla odmiany wkładasz sobie okna na głowę, pewnie tak bardzo bym się nie niecierpliwiła, żeby wreszcie cię poznać. Ale kilka tygodni temu, w Oslo, jeszcze o tym wszystkim nie miałam pojęcia i nie mogłam się powstrzymać, po prostu musiałam zobaczyć cię in natura. Niedługo chyba przystąpimy do pracy?

Fredric odchrząknął, zmieszany. Kiwnął tylko głową i wysączył ostatnie krople ze swojego kieliszka. Potem wymamrotał, że jest głodny i chciałby zjeść obiad w spokoju, zanim

wygłodniali i hałaśliwi naukowcy zrobią najazd na restaurację, dyskretnie mrugnawszy do Stephena.

Kwadrans później siedzieli przy stoliku w głębi, pochłonięci konsumpcją soczystych befsztyków. Byli sami. Stephen opowiadał, jakie skojarzenia wywołało u niego hasło „całun tu*ryński”. Fredric słuchał z powagą. Nie były to zbyt przyjemne hipotezy. W dodatku wiedział, że niestety mają pełne pokrycie w rzeczywistości.

* Zamów sobie whisky. Podwójną albo i potrójną * powiedział, kiedy już skończyli jeść. * Teraz usłyszysz całą historię, a jest dość ciężko strawna, więc lepiej ją czymś popić. Stephen skinął głową. Na jego czole pojawiły się zmarszczki. Wkrótce whisky zjawiała się na stole.

Przez następne pół godziny Fredric opowiadał ze szczegółami, co dokładnie wydarzyło się od pamiętnej przeprawy promowej aż do ostatniej rozmowy z Torbjornem Tinderdalem. Kiedy skończył, przed Anglikiem stała pusta szklanka. Niebezpiecznie mocno zaciskał na niej dłoń.

* Znasz już fakty * rzekł Fredric. * Teraz trzeba temu obłędowi położyć kres. Mam pewien plan.

Kiedy zapoznał z nim Stephena, wstali od stołu i udali się do pokoju Fredrica. Stanęli przy oknie wychodzącym na hotelowy parking.

Czekając, omówili szczegóły planu. Stephen miał pewne wątpliwości, jego zdaniem plan był ryzykowny i najlepiej byłoby od razu powiadomić policję, jednak Fredric naciskał. To on był punktem centralnym całego tego dramatu, od pierwszej chwili, i chciał doprowadzić tę grę do końca, poznać całą prawdę, inaczej umrze z ciekawości. Gdyby zjawiała się tu teraz policja, od razu zostałby odsunięty na bok i już niczego więcej by się nie dowiedział.

Stephen spojrzał z uwagą na przyjaciela. Rozumiał go, co nie zmieniało faktu, że była to niebezpieczna gra. Obiecał jednak dokładnie zastosować się do prośby Fredrica.

Nagle parking zappełnił się samochodami. Uważnie obserwowali wysiadających i znikających w recepcji naukowców. Horn*feldt wszedł jako ostatni. Widać było, że jest zmęczony.

Stephen i Fredric kiwnęli do siebie głowami. Odczekali pięć minut i zeszli do recepcji.

Członkowie ekipy byli teraz w swoich pokojach i pewnie brali prysznic, upragniony po całym dniu pracy w błocie i brudzie. Stephen podał Fredricowi kluczyki.

* Powodzenia * powiedział z uśmiechem i dał mu przyjacielskiego kuksańca w bok.

Zaparkował koło Garviksetra. Kiedy zapukał do drzwi, z wnętrza domu dobiegło szczekanie.

Cofnął się na bezpieczną odległość dziesięciu metrów. Drzwi się otworzyły, najwidoczniej jednak ktoś trzymał wściekłego zwierzątko za obrozę czy na smyczy, bo szczekanie stopniowo stawało się coraz cichsze i coraz bardziej schrypnięte.

* Stalg Stalgson! * krzyknął Fredric * Uwiąż porządnie tego potwora, to usłyszysz najlepszą wiadomość roku!

Przez chwilę z wnętrza domu dochodziły jakieś piekielne hałasy; w końcu olbrzym pojawił się na progu. Tym razem nie zrobił na Fredricu aż tak przerażającego wrażenia.

* O co chodzi? * zapytał, rzucając mu podejrzliwe spojrzenie.

* Stalg Stalgson * powtórzył Fredric * przynoszę ci pomyślne wieści. Nie będzie żadnego wywłaszczenia. O budowie drogi też można zapomnieć. * Mówił powoli, każde słowo wypowiadał głośno i wyraźnie, tak by stary na pewno go zrozumiał.

* He? Co on za jeden?

Fredric przedstawił się i powtórzył to, co przed chwilą powiedział: władze już się nie interesują Rodalen, prace archeologiczne zostaną wkrótce zakończone i nie będzie żadnej budowy.

Stalgson w końcu zrozumiał. Aż zadrżał ze szczęścia, a pośród kępek włosów i brodawek pojawił się uśmiech. Wskazał na stojącą opodal ławkę. Usiedli i rozpoczęła się rozmowa, lub może raczej coś na kształt rozmowy, wymagająca od Fredrica najwyższego skupienia.

Dialekt, którym posługiwał się Stalgson, był naprawdę specyficzny. Nie wdając się w

szczegóły, wytłumaczył, że znaleziska okazały się o wiele mniej interesujące, niż to się z początku wydawało. Staremu trzęsły się ręce, widać było, że wiadomość bardzo go poruszyła. Położył na ramionach Fredrica potężne pięści i raz po raz domagał się potwierdzenia, że to nie czcze gadanie, że na pewno będzie tak, jak Fredric mówi. W końcu się uspokoił i po policzku starego

spłynęła łza. Aż tyle więc znaczyła dla niego ta dolina. Fredric doskonale to rozumiał.

* Szkoda, że Hugara już z nami nie ma. On też kochał to miejsce. Nie podobało mu się, że płaczą się tu ci wszyscy ludzie. Pewnie serce mu nie wytrzymało.

* Ano, niestety * zgodził się Fredric. * To smutne, że umarł.

Chciał jeszcze zapytać o jedną rzecz. W końcu się zdecydował. Chodziło o opłaty za przejazd. Czy kwitki z poprzednich lat są gdzieś przechowywane? Koniecznie musi coś sprawdzić. Stalgson skinął głową w odpowiedzi. Nie ma problemu. To on się tym zajmował. Wszystkie leżą u niego w szufladzie.

Fredric spytał, czy mógłby zobaczyć wszystkie kwity z ostatnich czterech lat. Stary poczłapał do środka i po dłuższej chwili wrócił z plikiem kwitów. Nie było tego tak dużo, najwyżej kilkaset. Dowód na to, jak mało ludzi było świadomych istnienia tego pięknego miejsca.

Fredric wyjął z kieszeni karteczkę z zanotowanymi wcześniej numerami rejestracyjnymi kilku samochodów. Szybko przejrzał kwity. Gwizdnął. Jest. I następny. Zapisał daty i nazwiska. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości. Pewna osoba odwiedzała to miejsce wiele razy o określonej porze, rok w rok.

* Pilnuj tych kwitków * powiedział, podnosząc się z miejsca. * Być może niedługo okażą się bardzo potrzebne. Rodalen jest w każdym razie bezpieczna, jeszcze raz powtarzam.

Stalgson wyjął z kieszeni piersiówkę i puścił Fredrica dopiero wtedy, kiedy zgodził się spróbować jej zawartości. Okazała się piekielnie mocna, o wyraźnym posmaku drożdży. Fredric ruszył dalej, w stronę Rodalen. Zapadał wieczór, dochodziła dziewiąta. Korony brzoź płonęły złotym blaskiem. Było ciepło i bezwietrznie, niebo niemal bezchmurne. Znowu zachwyciło go piękno tutejszej przyrody, choć w pewnym stopniu był też w stanie zrozumieć, że niektórzy, przyjeżdżając tu, nie widzą pstrągów i morożek, tylko pieniądze i łatwy zysk. Nie potrafił jednak pojąć, jak ktoś mógł dopuścić się takich czynów, jakich świadkiem była ta dolina.

Zaparkował tam, gdzie zwykle, wyjął z bagażnika kalosze, spodnie rybackie i kurtkę oraz kilka innych rzeczy, które, jak czuł, mogły być potrzebne. Musiałby się bardzo poważnie pomylić, gdyby się okazało, że tego wieczoru nikogo nie spotka.

Szedł lekkim, niespiesznym krokiem, zatrzymując się przy każdym jeziorku i oczku wodnym. Śpiew ptaków i dźwięk owczych dzwonek mieszały się ze sobą w przepięknej kompozycji. Takie dźwięki chyba nieczęsto można usłyszeć gdzie indziej. To miejsce jedyne w swoim rodzaju, na pewno jedno z najbardziej wyjątkowych miejsc na świecie, pomyślał.

Zatrzymał się na chwilę nad Vesltjern. Wiedział, że pod powierzchnią wody kryją się pstrągi. W gładkiej tafli odbijał się blady księżyc. Wzdłuż brzegu spokojnie płynęła kaczka, a za nią siedem małych kłębków. Ze smutkiem pomyślał o starym myśliwym, ile też on musiał przeżyć tego rodzaju pięknych chwil.

W końcu dotarł do stanowiska. Od jego ostatniej wizyty nastąpiły spore zmiany, co natychmiast rzuciło mu się w oczy. Rozkopano spory obszar, pewne miejsca oznaczono i ogrodzono za pomocą palików i rozciągniętych między nimi sznurków. Opodal stały dwie przykryte plandekami przyczepy. Z barakowozu dochodziło mruczenie pracującego agregatora. Wszędzie widać było ślady gumiaków.

Fredric podszedł do miejsca, w którym znaleziono mumie. Rów przedłużono o kilka metrów. Na końcu leżała plandeka. Skinął głową. Profesor Hornfeldt posłuchał jego rady. I chyba nie bez efektów. Już samo to powinno dać wszystkim do myślenia.

Stał tak, rozglądając się dokoła. Dokładnie przyjrzał się miejscu wykopalisk i terenowi wokół. Im bliżej jeziora, tym bardziej teren stawał się podmokły. Z jednej strony rosła gęsta kępa karłowatych brzoź, z drugiej rysowało się niewielkie skaliste wzniesienie. Dobrze wszystko zapamiętał. Uśmiechnął się gorzko, odwracając wzrok w stronę szczytu Rodalshoa.

Kolejne pół godziny było wypełnione intensywną pracą. Najpierw skierował się w stronę jeziora. Było tu bardzo grząsko, miejscami grunt zapadał mu się pod stopami, musiał uważać na każdy krok, aby przypadkiem nie wpakować się w jakąś dziurę i nie utknąć w błocie na dobre. Pokonawszy spory odcinek, w końcu znalazł idealne miejsce.

Zaczął zbierać mech, twardy i wilgotny. Potem przeniósł na wybrane miejsce naręcze palików różnej długości, następnie nazbierał kamieni, a na koniec przyniósł swoją kurtkę i spodnie rybackie.

Wypchał ubranie mchem i usztywnił za pomocą palików. Powstała kukła, którą posadził na kamieniu; wyglądała jak człowiek, który pochylił się lekko do przodu i czemuś się przygląda. Na głowę kukły, też zrobioną z mchu, nasadził swój kapelusz wędkarski. Udało mu się osiągnąć dość zadowalający efekt. Postać siedziała zwrócona plecami w stronę brzoźowego zagajnika, przodem do jeziora.

Wrócił na miejsce wykopalisk i spojrzał z góry na swoje dzieło. Całkiem niezłe. To był Fredric Drum, siedział sobie spokojnie i czemuś się przyglądał. Potem ruszył w kierunku kępy brzoź. Odległość była znacznie mniejsza, zaledwie jakieś trzydzieści metrów. Jednak i z tego miejsca kukła wyglądała bardzo naturalnie. Doskonale.

Wrócił na dół, przywiązał do głowy i ramienia kukły cieniutką żyłkę, którą następnie ostrożnie przeciągnął aż do wzniesienia po drugiej stronie. Tam wczołgał się za wystający głaz i delikatnie pociągnął. Kukła poruszyła się! Wyglądała doskonale, żyłka była teraz niemal zupełnie niewidoczna, później, kiedy jeszcze bardziej się ściemni, w ogóle nie będzie jej widać. Fredric zaśmiał się cicho do siebie.

Wszedł na szczyt wzniesienia. Mało nie umarł ze strachu, kiedy spod nóg wyskoczyła mu pardwa. Kawalek dalej leżało kolejne jezioro, brzoźowy lasek schodził aż do linii wody. Tam, pomyślał, tam powinni spróbować, on i Stephen.

Zegarek pokazywał wpół do jedenastej. Lepiej się przygotować. Wrócił na swój posterunek za kamieniem i skulił się tak, by nie było go widać ani ze stanowiska, ani z brzoźowego zagajnika. Jeśli Stephen dobrze odegrał swoją rolę, niedługo ktoś powinien się zjawić.

Wyjął z kieszeni kryształową gwiazdkę, przyłożył do prawego oka. Słabe wieczorne światło wypełniło kryształ. Niesamowite! Gwiazdka rozbłysła czerwienią, jakby w środku zapaliło się małe słońce. Skąd to światło, ta intensywna barwa? Obracał nią na wszystkie strony, jednak widać było tylko ten jeden kolor. Czerwone fotony uderzały o siatkówkę jego oka. Zakręciło mu się w głowie. Co kryształ próbował powiedzieć ?

Nieraz nachodziła go myśl, że gdyby nie ta kryształowa gwiazdka, którą zawsze miał przy sobie, już dawno byłoby po nim. Ktoś mógłby uznać, że to jakiś metafizyczny bełkot, jednak Fredric niczego z góry nie odrzucał, był otwarty na różne niekonwencjonalne, często sprzeczne z potocznym doświadczeniem, zjawiska. Kiedyś, obiecał sobie, pokaże ją jakiemuś fizykowi. Może na przykład układ jej pięciu ramion powoduje, że wewnątrz gromadzi się jakaś energia, która następnie przeistacza się w kolory, na takiej mniej więcej zasadzie, na jakiej powstaje snop rubinowego światła w laserze? Kto to wie?

Poruszył się niespokojnie i spojrzał w górę. Na tle nieba rysował się ciemny cień barakowozu. Całkowity spokój i bezruch. Nasłuchiwał przez chwilę. Nic, nawet owcze dzwonki zamilkły. Pomyślał na pocieszenie, że nawet jeśli jego plan nie wypali, to ma to niewielkie znaczenie dla przebiegu sprawy. Posiadał niepodważalne dowody. Tyle tylko, że tak bardzo marzyła mu się ostateczna konfrontacja. Fredricowi Drum nieobce było uczucie zwane pragnieniem zemsty. W końcu przez ostatnie tygodnie zafundowano mu dość emocjonujące przygody. Szkoda tylko, że myśliwy Hugar nie mógł mu teraz towarzyszyć.

Właśnie masował sobie stopę, kiedy nagle zauważył jakiś ruch na lewo od zagajnika. Zmrużył oczy. I wtedy ich dostrzegł: dwa cienie przemykające pomiędzy brzoźami. Wyraźnie kierowały się w stronę siedzącej w dole kukły.

11

Bagno zamyka się, mały myśliwy jaśnieje w ciemności, a Fredric Drum słabym głosem wygłasza mocne przemówienie

Fredric chwycił za koniec żyłki i delikatnie pociągnął. Kukła poruszyła głową i ramieniem. Wyglądało to wręcz przerażająco naturalnie. Jednocześnie Fredric nie spuszczał z oczu poruszających się pomiędzy drzewami cieni. Jeden z nich, idący przodem, dotarł już prawie na skraj zagajnika. Przystanął i zza pnia jednej z brzoź obserwował siedzącą w dole postać. Fredric ponownie poruszył żyłką. Z trudem opanował śmiech. Co też ten Fredric Drum wyprawia, sam po nocy na mokradłach.

Minęło kilka minut, nic się nie działo. Fredric nie rozumiał, czemu się wahają. Taka okazja, na co czekają! Z tej odległości nie można chybić.

I wtedy zupełnie niespodziewanie jeden z cieni wychynął z zagajnika i dziko wymachując ramionami, krzyknął:

* Oby ciemny płomień Bareka strawił twą duszę, Fredri*cu Drum!

Fredric pociągnął żyłkę mocnym ruchem i nagle zdał sobie sprawę, że nie wszystko idzie zgodnie z planem. Napastnicy zapewne nie mieli już więcej strzykawek z trucizną, zdecydowali się na bezpośredni atak. Oczywiście! Przecież wtedy, w hotelu, też nie użyli dmuchawki; cholera, że też tego nie przewidział! Pewnie ją zgubili albo po prostu nie chcieli jej użyć.

Nagle wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko.. Pierwszy napastnik z potwornym wyciem rzucił się do biegu. Jego towarzysz został w zagajniku, ukucnął za drzewem. Fredric pociągnął za żyłkę tak mocno, że kukła przewróciła się na bok. Podniósł się. No tak, to było nieuniknione. Edvard Havsten siedział już po pas w trzęsawisku. Rozpaczliwie machając rękami, zaczął wrzeszczeć jak opętany:

* Joma, Vanu, Halin, pomocy! Tonę!

Fredric ruszył w kierunku pogrążającego się w bagnie potwora, cały czas jednak nie spuszczał z oka jego towarzysza, który nadal krył się wśród drzew. Usłyszał jego szloch. Co za szaleństwo! Bezsensowny dramat! Syn tonie, a ojciec nawet nie próbuje go ratować! Ale cóż, dokładnie taka była logika tej gry, chorej, nienormalnej gry, w którą został wplątany.

Ostrożnie wypróbowując stopą każdą kępę i omijając najbardziej niebezpieczne miejsca, ruszył w stronę tonącego. Gdy był już jakieś pięć metrów od niego, krzyknął:

* Nie ruszaj się, do cholery! Chyba że chcesz utonąć w ciągu kilku minut. Leż spokojnie, rozumiesz?

Edvard Havsten nadal rozpaczliwie miotał się w pochłaniającej go mazi. Już tylko głowa i ramiona wystawały nad powierzchnię. Gdyby Fredric nie przyszedł mu na ratunek, byłby bez szans.

Niech tu zostanie, niech go pochłoną te jego ciemne siły, przebiegło Fredricowi przez myśl. Szybko jednak się opamiętał, podszedł do kukły i wyciągnął paliki, na których opierała się cała konstrukcja. Dwa z nich rzucił Havstenowi, trzeci, około półtorametrowej długości, zatrzymał.

Na jaką odległość może podejść? Sukinsyn wlaź na bagno praktycznie w najgorszym miejscu. Akcja ratownicza była dość ryzykowna i Fredric przystępował do niej z najwyższą niechęcią. Przez cały czas starał się nie spuszczać z oczu zagajnika, w razie gdyby tata wpadł na jakiś głupi pomysł.

Położył się na brzuchu. Zaskakujące, mokre podłoże było przyjemnie ciepłe. Ostrożnie, metr po metrze, zaczął czołgać się w stronę Havstena. Cały czas czuł, że grunt pod nim jest bardzo niepewny; miejscami kołysał się złowieszczo. Z każdym jego ruchem trzęsawisko głęboko wzdychało.

Havsten posłusznie leżał bez ruchu. Jego ramiona nadal

były na powierzchni. Wywracał oczami i szeptał jakieś dziwne zaklęcia i imiona.

Fredric nie miał odwagi posuwać się dalej. Nie mógł ryzykować, musiał leżeć na w miarę twardym podłożu. Wyciągnął palik w stronę Havstena, a ten złapał go jedną ręką. Fredric zaczął ciągnąć, ale szybko poczuł, że to raczej Havsten wciąga jego w grzęzawisko.

* Przestań, do cholery! Przestań, słyszysz? Albo cię tu zostawię. Słuchaj no! Wyciągnij się na brzuchu, spróbuj położyć się tak płasko, jak to tylko możliwe. Najwyżej połkniesz trochę błota, nieważne. Jak chcesz się stąd wydostać, to musisz zapomnieć o takich drobiazgach. * Fredric sam miał już pełno błota w ustach i oczywiście dwa razy mocno kichnął.

Przeciósł się kawałek do tyłu i wbił czubek buta w jakąś w miarę stabilną kępę. Potem zaczął ciągnąć ze wszystkich sił. Havstenowi udało się położyć płasko na brzuchu.

Trzęsawisko stopniowo zwalniało uścisk, mlaszcząc przy tym złowieszczo. Po chwili Edvard Havsten czołgał się w jego stronę, niby jakiś pokryty błotem gad przedzierał się przez brunatną breję.

Fredric przezornie cofnął się. Podniósł się i charkając i plując, zaczął wycierać się z najgorszego blocka.

Lilleif Havsten nadal klęczał pomiędzy brzożami, łkając i szlochając. Fredric przeniósł wzrok na potwora, który właśnie zbliżał się ku niemu. Nagle z siłą, o jaką Fredric by go nie podejrzewał, potwór rzucił się do przodu i całym ciężarem ciała przewrócił go na ziemię.

Oślepiony przyklejającym mu się do twarzy błotem, próbował desperacko przekreślić się w bok, przeklinając samego siebie, że nie zostawił Edvarda Havstena na pastwę losu. Teraz znów musiał walczyć o życie.

Udało mu się trafić tamtego kolaniem w pachwinę. Havsten zarżał rozpaczliwie jak koń smagnięty batem. Fredric przetoczył się kawałek w bok. W tym samym momencie coś uderzyło go w podbródek, głowa poleciała mu do tyłu, rozległ się trzask. Wszystkie siedem szwów diabli wzięli, pomyślał. Posłał przeciwnikowi mocnego kopniaka. Trafił poniżej kolana. Havsten osunął się na ziemię i Fredric odetchnął z ulgą.

Dotknął szyi. Plaster się odkleił, po jego piersi płynął szeroki strumień krwi. Zaklął, aż echo poszło. Przed oczami zaczęły mu wirować ciemne plamki. Dokładnie w momencie, gdy Ed*vard Havsten znów szykował się do ataku, Fredric usłyszał głosy, a zaraz potem zza barakowozu wychylnęło kilka postaci.

Havsten zamarł. Jeśli w ogóle był zdolny do racjonalnej oceny sytuacji, to musiał zrozumieć, że w tym momencie jest przegrany. Fredric usiadł na ziemi, nie miał już siły dłużej stać.

Zdażył jeszcze zobaczyć, jak Edvard Havsten ze straszliwym okrzykiem, który odbity od górskich ścian, zadudnił ze zdwojoną siłą, rzuca się przed siebie. Po chwili plaskanie i odgłosy desperackiej walki przycichły, Fredric usłyszał tylko ciche „plum”, po czym bagno zamknęło się z głębokim westchnieniem. Zapadła cisza. Edvard Havsten zniknął.

Leżał na ławce w barakowozie. Tor Meissner właśnie przemywał mu ranę na szyi. Fredric zobaczył nad sobą poważne, pobladłe z przejęcia twarze: Stephen Pratt, Julia Hornfeldt, studenci Grepstad i Frener oraz Cecilie Lund*Hoeg. Wszyscy milczeli. Meissner nałożył na ranę potężnych rozmiarów kompres, a gdy skończył, Fredric usiadł i spytał z uśmiechem:

* Nie znajdzie się przypadkiem butelka czerwonego wina? Chętnie zneutralizowałbym trochę smak błota.

* Damn it, Julia * powiedział Stephen, dając jej lekkiego kuksańca w bok * wiedziałem, że o czymś zapomnimy! Magiczny eliksir Fredrica!

Wybuch śmiechu był jak wyzwolenie. Nagle wszyscy zaczęli mówić naraz. Fredrica zasypano gradem pytań. Wyciągnął ręce w obronnym geście i powiedział:

* Później. To zbyt skomplikowana historia, później, w hotelu, wszystko opowiem.

Nagle coś mu się przypomniało. Skoczył na równe nogi.

* A gdzie senior? Gdzie się podziewa Lilleif Havsten? Pozostali tylko pokręcili głowami, nikt go nie widział. Fredric ruszył do wyjścia, reszta podążyła za nim. W zagajniku znaleźli na ziemi wstrząsany spazmami tobolek, z którego dochodziło cichutkie kwilenie. Fredric dotknął go czubkiem buta.

* Wstawaj, Havsten * powiedział twardo.

* Miria, Joma, Halin, zlitujcie się nade mną! * zaskomlało stworzenie. * Ja od początku mówiłem niee, wie edziałem, że to się nie uda! Miria, Joma, Halin, zabierzcie mnie do siebie!

Wyglądało na to, że Lilleif Havsten nie ma zamiaru wstać. Tor Meissner i John Frener pochylili się i podnieśli go siłą. Wisiał między nimi jak worek, cały usmarowany, okropnie skrzywiony, i nie chciał stanąć o własnych siłach. Kiedy go puścili, opadł bezwładnie na ziemię.

* A niech to diabli! Będziemy musieli dźwigać go aż do samochodu * stwierdził Frener.

* Mam lepszy pomysł * oznajmił Fredric. * Drzwi barakowozu są zamykane na porządną kłódkę, prawda? Zamknijmy go w środku, niech sobie tu posiedzi do rana, a potem zajmie się nim policja. To będzie odpowiednia kuracja dla tego zabobonnego drania * noc w towarzystwie dwóch bezgłowych trupów. Nie wyobrażam sobie lepszej kary.

Propozycja spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem, zaś Havsten nagle się ożywił. Wstał prędko o własnych siłach i złożył ręce w błagalnym geście.

* Nie! Nie! Pójdę, już, słyszycie, pójdę z wami. Tylko mnie tu nie zostawiajcie z tymi Belgami! Nieee! * I rozbeczał się na całego.

* O, cholera! To naprawdę paskudna sprawa! * powiedział stłumionym głosem Tor Meissner do Fredrica, a ten skinął głową w odpowiedzi.

* Trudno sobie wyobrazić bardziej paskudną * zgodziła się stojąca obok Cecilie Lund*Hoeg. Stephen wziął przyjaciela pod ramię. Fredric ledwie trzymał się na nogach. Julia pospieszyła z pomocą i wsparła go z drugiej strony.

* Dziękuję * wyszeptał z trudem.

Już mieli ruszać, gdy Fredric zauważył na ziemi coś żółtego. Zatrzymał się i ze zdumieniem popatrzył na jaśniejący w mroku przedmiot. To była laleczka, ta, którą wyłowił z fiordu.

Schylił się i wziął lalkę do ręki, po czym schował za pazuchą.

* Berek * wymamrotał i z powrotem ujął ramię Julii. Ruszyli w drogę powrotną.

Był środek nocy, zegar pokazywał piętnaście po pierwszej, ale w hotelu Savalen bynajmniej nie obowiązywała cisza nocna. Przy wejściu czekały już dwa wozy policyjne. Hegtun zastosował się do prośby Stephena i zawczasu powiadomił policję.

Podczas jazdy Fredric odzyskał siły, wyglądał jednak strasznie, cały w błocie i we krwi.

Hornfeldt wybiegł im na spotkanie, jego siwe włosy sterczały na wszystkie strony.

* Mój Boże, panie Drum, czy to prawda? Jest pan całkowicie pewien?

* Przykro mi, profesorze Hornfeldt * odparł. * To długa, zawiła i mroczna historia, która właśnie znajduje swe zakończenie. Proszę dać mi pół godziny, albo lepiej trzy kwadransy, wezmę prysznic i trochę dojdę do siebie, a pan przez ten czas zwoła wszystkich na spotkanie w sali konferencyjnej. I wielka prośba: gdyby mógł pan zamówić mi do pokoju butelkę czerwonego wina. Znów straciłem sporo krwi.

Stephen i Julia odprowadzili go pod same drzwi. Przystanęli na chwilę. Stephen mrugnął, po nim Fredric, a Julia mrugnęła nawet dwa razy. Potem nastąpiły uśmiechy. W końcu Fredric otworzył drzwi i zniknął w środku. Właśnie się dowiedział, że ma już nie jednego, lecz dwójkę dobrych przyjaciół.

Ciepła woda wygnała zmęczenie z jego ciała, napięcie mięśni znikło, silne przeżycia ostatniej doby powoli odpłynęły w dal, ustępując miejsca łagodnemu zobojętnieniu. Koniec. Ma to już za sobą.

Wlał nieco wina do kieliszka. Mógł sobie pozwolić tylko na kilka łyków, bał się, że zaśnie. Ktoś zapukał do drzwi. Do pokoju wkroczył jakiś mężczyzna, jak się okazało, przedstawiciel lokalnej policji. Był uprzejmy, doskonale rozumiał, że Fredric ma za sobą ciężkie przeżycia. Poprosił jedynie, by Fredric złożył oficjalne zeznania, kiedy tylko poczuje się lepiej. Na pytanie, czy jego zdaniem należałoby od razu aresztować Lilleifa Havstena, Fredric odpowiedział twierdząco i dodał:

* Facet jest chory, chory psychicznie, prawdopodobnie ma też skłonności samobójcze. Ktoś powinien być przy nim przez cały czas. Ktoś, kto nie będzie go drażnił, ale raczej uspokoi. W przeciwnym razie Havsten zamknie się w swoim mrocznym świecie i nie będzie można w ogóle nawiązać z nim kontaktu.

Kiedy policjant wyszedł, Fredric chwycił za kieliszek. Rana na szyi bolała i pulsowała. Pewnie zostanie brzydka blizna. Nie za bardzo się tym przejmował. Na razie większym problemem było czekające go wystąpienie. Od czego by tu zacząć? Co powiedzieć? Czy w ogóle w tym momencie jest w stanie jasno się wyrazić?

Spojrzał na zegarek. Już na niego czekali.

Kilka minut po drugiej Fredric zjawił się w sali konferencyjnej. Była zapelniona. Skąd oni wszyscy się wzięli? Czy to naprawdę goście hotelowi? Nie, po chwili zauważył, że wśród zebranych jest sporo dziennikarzy i fotografów. Miał ochotę posłać ich wszystkich do diabła; znów będzie głośno o Pielgrzymie.

Kiedy Fredric zajął miejsce, na sali zapadła cisza. Odnalazł wzrokiem Julię i Stephena, oboje posłali mu krzepiące uśmiechy. Odchrząknął i rozpoczął wystąpienie. Jego głos był słaby, ale przemowa miała swoją moc. I trwała prawie godzinę.

12

Fredric Drum zdradza tajemnicę Bareka i w doborowym towarzystwie delektuje się w cieniu figowca Chateau la Lagune rocznik 1982

* Barek * powiedział Fredric, sadzając lalczkę na środku stołu * jest tak stary jak kultura eskimoska. Od wieków myśliwi używają go jako amuletu na polowaniach i przypisują mu ogromną moc. To oczywiście zupełnie zwyczajna lalka, ale wiadomo, że wiara czyni cuda. Stephen, Julia, Tob i Fredric siedzieli w ogrodzie zimowym, przy stoliku pod figowcem. W hotelu Savalen znów zapanowała cisza i spokój, dwa dni wcześniej wszyscy członkowie ekipy badawczej odjechali. Tob wpadł na weekend; nie mógł się doczekać, kiedy Fredric opowie o swoich ostatnich przygodach, zaś Julia postanowiła przedłużyć nieco swój pobyt, oczywiście ku wielkiej radości Stephena.

Nastrój przy stole był wyśmienity. Parelius Hegtun zaserwował najlepsze wino, szczęśliwy, że jego wzrok wreszcie wrócił do normy. Był przekonany, że cały ten stres, na jaki był narażony przez ostatnie lata i który spowodował ucisk na nerw, był skutkiem ciągłej obecności Lilleifa Havstena, nie dającego mu spokoju swoimi szalonymi projektami i ponurymi prorocत्वami co do przyszłości hotelu.

* Kiedy pierwszy raz zobaczyłem lalkę, uderzyło mnie, jak bardzo jest podobna do mumii dziecka znalezionej na Grenlandii w latach siedemdziesiątych * ciągnął Fredric. * Ma to jednak zupełnie naturalne wytłumaczenie. Odbyłem bardzo długą i interesującą rozmowę z dyrektorem grenlandzkiego Muzeum Narodowego, panem Prebenem Jebsenem. Wyjaśnił mi, że grób, w którym leżało dziecko, zapewne sami Eskimosi wiele razy wcześniej otwierali. Pewnie mumia przypominała im ich lalkę*amulet, potem zaś myśliwi zaczęli robić amulety jeszcze bardziej podobne do mumii. Być może przypisywano takim lalkom obdarzonym

twarzą dziecka jeszcze większą moc. W każdym razie podobieństwo jest uderzające. Jebesen mówił, że widział tego typu lalki, liczące sobie co najmniej trzysta lat, łudzaco podobne do wspomnianej mumii.

* Ale * przerwała mu Julia * w jaki sposób osiąga się ten efekt? Ona wygląda niesamowicie autentycznie, jak prawdziwa mumia, oczywiście nie licząc rozmiarów... * Wyciągnęła palec i ostrożnie dotknęła lalki.

* Eskimosi dysponują różnymi ciekawymi umiejętnościami. * Nagle Fredric spoważniał. * A jeśli chodzi o metody konserwacji za pomocą dymu... * Przerwał na moment, po czym odchrząknął i ciągnął dalej: * Jebesen opowiedział mi, jak w dawnych czasach robiono takie lalki: najpierw powstawała konstrukcja z kości zwierzęcych i gliny, na nią naciągano pęcherz fok, a potem przez wiele dni poddawano działaniu dymu, aż lalka robiła się sucha, twarda i pomarszczona. Na koniec ubierano ją w ubranko ze skóry, dokładnie takie, jakie nosili sami Eskimosi. Rezultat widzicie.

Wszyscy z podziwem spoglądali na laleczkę, która siedziała oparta plecami o butelkę Chateau la Lagunę rocznik 1982.

* A przesywające spojrzenie Bareka?

* Grenlandzki nuummitt. Rzadki kamień półszlachetny. Wypolerowany, lśni niezwykłym blaskiem.

* Umieram z ciekawości, co jeszcze nam opowiesz * stwierdził Tob z zachwytem, czyszcząc swoje okrągłe okulary.

* Barek * ciągnął Fredric * to po prostu nazwa takiej lalki, wszystkie nazywają się „Barek”. Ta tutaj najprawdopodobniej należała do myśliwego Hugara. Mówię „najprawdopodobniej”, gdyż stuprocentowej pewności oczywiście nie mamy, wszystko jednak wskazuje na to, że to właśnie Hugar przywiózł ją ze sobą z Grenlandii. Potwierdzałyby to słowa Lilleifa Havstena. Hugar przez ponad czterdzieści lat żył tam jako myśliwy. Polował sam * lub wraz z Inuitami, Eskimosami. Przez te lata zapewne przyswoił sobie wiele elementów tamtejszej kultury i wierzeń, zapewne również wiarę w to, że eskimoskie lalki*amulety zapewniają powodzenie w polowaniach.

Do ich stolika właśnie zbliżał się Parelius Hegtun, pogwizdując wesoło i balansując tacą, na której stały cztery kieliszki akevitu oraz piętrzyły się tradycyjne wędliny i wiejski chleb.

* Na koszt firmy * oświadczył i zajął wolne miejsce przy stole.

* Hugar zapewne był dość przesądny * podjął Fredric przerwana opowieść. * Jednak od pewnego momentu w tej okolicy zaczęły bywać osoby, które nie tyle wierzyły w różne niewinne gusła, co były wręcz opętane wiarą w czarną magię i siły nadprzyrodzone. Kiedy po raz pierwszy pojawił się w tym hotelu Tarald Thomsen? * zwrócił się do Hegtuna.

* Według książki gości, jakiś miesiąc po przyjeździe Lilleifa Havstena, czyli prawie cztery lata temu.

* To by się zgadzało z datami na kwitach za przejazd. Tobo*wi udało się sprawdzić numery rejestracyjne samochodów, które Tarald Thomsen posiadał przez ostatnie cztery lata. Był to między innymi jeep. Mocny, duży wóz z napędem na cztery koła jest niezastąpiony na takich trudnych terenach, a przy tym idealny do przewożenia różnych nieporęcznych ładunków.

* Później jeszcze do tego wrócę. Warto zwrócić uwagę na jedną rzecz: już wtedy, cztery lata temu, Tarald Thomsen wiedział, że cierpi na nieuleczalną chorobę. Może to w pewien sposób tłumaczyć jego totalny brak uczuć oraz całkowite oddanie tajemnym siłom i wiarę w zabobony. * Fredric zrobił małą przerwę, by dolać sobie wina. * Kiedy pierwszy raz rozmawiałem z Hugarem, wydał mi się bardzo ostrożny i podejrzliwy, ale nie wrogi. Aż do momentu, gdy zapytałem go o lalkę. Wtedy wściekł się i wywalił mnie za drzwi, wyzywając od kryminalistów i złodziei! Już wtedy miałem przecucie, że coś się za tym musi kryć. Ktoś przede mną interesował się

amuletem. Interesował się tak bardzo, że ukradł go albo odebrał siłą staremu myśliwemu. Biedny Hugar, wierzył w magiczną moc laleczki i w rozpaczy postanowił zrobić nowy amulet. Nie był tak doskonały jak tamten, miał go jednak zawsze przy sobie, aż do śmierci. A kiedy umarł, ktoś zerwał amulet z jego szyi, zniszczył go i cisnął do wody. Pytanie, kto ukradł oryginał? * Fredric skinął głową w kierunku siedzącej na stole lalki. * Bez wątplenia ktoś, kto był na Grenlandii i wiedział o istnieniu takich amuletów i kto był opętany wiarą w moce nadnaturalne. Innymi słowy, Tarald Thomsen. Wiemy na pewno, że Lilleif Havsten dowiedział się o lalce prawie cztery lata temu, sam to powiedział podczas przesłuchania. Moc, którą posiadała, mogła pomóc Thomsenowi w walce ze śmiertelną chorobą oraz, co nie mniej ważne, w realizacji pewnego chorego pomysłu, który zrodził się w kilku ciemnych, zdesperowanych umysłach.

Napięcie przy stole sięgało zenitu; Tob słyszał o tym wszystkim po raz pierwszy, zaś Julia i Parelius Hegtun nie znali szczegółów tragedii, która rozegrała się w Rodalen. Jedyną osobą, która doskonale знаła przebieg sprawy, był Stephen, ale on nie rozumiał norweskiego, siedział więc tylko i obserwował reakcje zebranych, racząc się akevitem i tradycyjnymi norweskimi specjałami.

* Teraz musimy się cofnąć jeszcze o kilka lat. Jesteśmy w Hokksund. Powstaje tam niewinny klub okultystyczny; zakładają go trzy pary małżeńskie mające podobne zainteresowania, które przydają barw ich szarej i nudnej egzystencji. Spotykają się kilka razy w tygodniu i dyskutują na temat różnych tajemniczych zjawisk i wierzeń; poruszają rozliczne tematy, od huldry do zagadek współczesnej fizyki. Stopniowo klub przekształca się w rodzaj sekretnego związku o własnych wewnętrznych ceremoniach. Wszystko jest jeszcze dość niewinne. Aż do klubu dołącza nowa osoba * Tarald Thomsen. Wrócił z Grenlandii, zna tysiące ciekawych historii i ma ogromną wiedzę na

temat eskimoskich wierzeń. Jego osobowość i zdolności przywódcze sprawiają, że klub zmienia charakter i przybiera coraz bardziej fanatyczną, wynaturzoną formę. Jedno z małżeństw stwierdza, że wszystko idzie w bardzo złym kierunku i występuje z klubu. Zostają dwie pary: Lilleif Havsten i jego żona Erna oraz małżeństwo Sonback. Ci ostatni nie są zbyt aktywni, ale święcie wierzą w „bogów” i „moce”; działalność klubu polega teraz głównie na oddawaniu im czci i odprawianiu różnych dziwnych rytuałów. Oprócz nich oczywiście jest Tarald Thomsen. Z czasem dołącza też do nich syn Havstenów, Ed*vard, którego młody, dość ponury umysł okazuje się bardzo podatny na mroczną filozofię. Oprócz tego jednego epizodu, kiedy Thomsen wplątuje się w jakąś podejrzaną historię z nieletnimi i jest aresztowany, w klubie nie dzieje się nic, co można by uznać za działalność niezgodną z prawem, jeśli wierzyć zeznaniom Erny Havsten. Potem jednak następuje katastrofa *Lilleif Havsten bankrutuje.

* To było do przewidzenia * prychnął Parelius Hegtun pogardliwie. * Zupełnie przestał się interesować prowadzeniem restauracji. Cały czas przebywał w świecie mglistych fantazji, pośród bogów i potężnych, tajemniczych sił. Gdybym wiedział, jak się sprawy mają, nigdy bym mu nie pozwolił tu zamieszkać. Gdyby tylko państwo wiedzieli, jak mnie zamęczał tymi swoimi chorymi pomysłami! Mój hotel był nic niewart w porównaniu z tym, co on zamierzał stworzyć.

* Właśnie * potwierdził Fredric. * Kiedy Havsten zbankrutował, on i jego syn zaczęli coraz bardziej pograżać się we własnym świecie. A kiedy żona stwierdziła, że ma dość, i odeszła od niego, przysiągł sobie, że jeszcze jej pokaże. Będzie bogaty i potężny. Do pomocy miał syna i Taralda Thomsena oraz jeszcze jedną osobę, która w miarę rozwoju wydarzeń zaczęła odgrywać coraz większą rolę.

* Szkoda * westchnęła Julia * że tej gadzinie udało się wymigać od kary.

* A mało brakowało * stwierdził Fredric. * Policja przybyła na lotnisko zaledwie godzinę po odlocie samolotu.

Po krótkiej chwili Fredric znów zaczął opowiadać.

* A więc cztery lata temu Lilleif Havsten zjawił się w hotelu, rozgoryczony i przybity. Jego restauracja zbankrutowała, dostał jednak obietnicę finansowego wsparcia, o ile uda mu się wpaść na jakiś lukratywny pomysł w branży hotelarsko*gastronomicznej. Nie było tak, jak pan przypuszczał, panie Hegtun, Havsten nie miał żadnego rezerwowego konta. To ta czwarta osoba wspierała go finansowo, osoba, która stała za tym wszystkim i wszystkim sterowała. Nic specjalnego się nie działo aż do chwili, gdy Havsten odkrył Rodalen. Stephen, pamiętasz, co powiedziałaś, kiedy po raz pierwszy odwiedziliśmy Rodalen?

* Well, not exactly. Coś o pstrągach? * próbował sobie przypomnieć Stephen.

* Nie. Powiedziałaś, że to miejsce to prawdziwa żyła złota. Dokładnie to samo pomyślał Lilleif Havsten, kiedy cztery lata temu pierwszy raz zobaczył dolinę. Podniecony, od razu zawiadomił swego wspólnika, który momentalnie zapalił się do pomysłu. Havsten dostał wolną rękę i wsparcie finansowe, by zdobyć prawa do Rodalen. Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie lokalni mieszkańcy, którzy twardo oświadczyli, że nie oddadzą nawet centymetra kwadratowego i że Rodalen nie jest na sprzedaż. Za żadne skarby! Ktoś inny być może szybko by się poddał, ale nie Lilleif Havsten. On miał swoich bogów i tajemne moce, które mógł poprosić o pomoc. Syn dodatkowo go wspierał. Wybrał studia radiologiczne, dziedzinę związaną z promieniowaniem, mocą promieni. A promienie były jednym z najistotniejszych elementów ich mętnej religii.

* Tarald Thomsen, Lilleif Havsten i Edvard próbowali na różne sposoby złamać właścicieli gruntów, jednak bez skutku. Być może w końcu by zrezygnowali, gdyby nie to, że Tarald Thomsen wpadł na nowy genialny pomysł. Udało mu się zdobyć prawdziwy klejnot * myśliwski amulet Inuitów, Bare*ka, obdarzony nadzwyczajną mocą. Prawdopodobnie Tarald Thomsen spotkał Hugara i, jak już wspominałem, zabrał mu laleczkę. We trójkę obmyślili makabryczny plan, by wreszcie mieszkańcy doliny nie mogli im przeszkodzić.

Fredric przeplukał gardło kilkoma kroplami Chataeu La Lagune.

* Postanowili posłużyć się władzami państwowymi. I tu muszę przyznać, że długo byłem ślepy, podobnie jak pan, panie Hegtun. Obaj byliśmy przekonani, że kiedy państwo przejmie Rodalen, nadal będzie to teren zamknięty, chroniony, tak jak do tej pory przez prywatnych właścicieli. Jednak nie, władze zamierzały wykorzystać te tereny na kilka sposobów, między innymi przekształcić je w jedno z najbardziej atrakcyjnych ośrodków turystycznych i pobrać tu hotele, kompleks narciarski i tak dalej. W ten sposób stworzono by nowe miejsca pracy. Nie wpadłem na to, dopóki kierowca taksówki o tym nie wspomniał, a po rozmowie z konserwatorem tylko się utwierdziłem w swoich przypuszczeniach. Nagle zrozumiałem, jaki był motyw tych wszystkich odrażających czynów.

* Gdyby im się udało, cała banda nieźle by się obłowiła, natomiast mnie czekałoby bankructwo * mruknął Hegtun. *Havsten do samego końca próbował wciągnąć mnie w to szaleństwo.

* Trudno powiedzieć, jak wpadli na ten pomysł * ciągnął Fredric. * Być może złożyły się na to różne czynniki: Edvard miał do czynienia z datowaniem radiowęglowym na uczelni i wiedział, jak ogromną wagę mają znaleziska archeologiczne, Tarald Thomsen poznał na Grenlandii różne metody konserwowania żywności, no i jego chory umysł był zdolny do stworzenia najbardziej nieprawdopodobnych rzeczy... A może główną rolę odegrał ich wspólnik i jego wiedza ma temat egzotycznych kultur i pewnych makabrycznych rytuałów. Zeznania Lilleifa Havstena na ten temat są dość niejasne, poza tym raczej mało dla nas istotne. Za to prokuratura na pewno się zainteresuje, kto lub co doprowadziło do powstania tego odrażającego planu. Jedno wiemy na pewno: to Tarald Thom*sen był głównym egzekutorem, to on z zimną krwią i w nieludzki sposób zamordował trzech belgijskich turystów, a potem spreparował ich ciała tak, że wyglądały jak autentyczne mumie bagienne.

Autentyczne w tym sensie, że naukowcom zajęłoby trochę czasu, nimby się zorientowali, że zostali oszukani. Wcześniej czy później, oszustwo musiałyby wyjść na jaw po zbadaniu treści żołądkowej mumii lub przy badaniu C*14. Oczywiście, Edvard Havsten, który pracował w laboratorium, mógł sabotować badania, ale jak długo? Im jednak chodziło głównie o to, by zyskać na czasie i doprowadzić do wywłaszczenia. Policji niełatwo byłoby znaleźć sprawców, poza tym Tarald Thomsen już nie żył.

* To, co zrobili z ciałami zamordowanych turystów, jest tak odrażające, że kiedy ta myśl przyszła mi do głowy, od razu ją odrzuciłem. Po prostu mnie zemdliło. Wpadłem na to, kiedy byliśmy ze Stephenem na rybach i właśnie raczyliśmy się świeżo uwędzonym pstragiem, a ja z jakichś niewiadomych powodów zainteresowałem się rybimi skórkami. Od razu przypomniało mi się wszystko, co czytałem na temat wędzenia mięsa. Pomyślałem też o dole, który Stephen odkrył. * Fredric przerwał i zapatrzył się przed siebie niewidzącym wzrokiem. * Najciemniejsze strony ludzkiego umysłu należy traktować jako wyzwanie, a nie prowokację * powiedział Tob cichym głosem.

* Dzięki, Tob. No, dobra, powiem krótko i brutalnie: kiedy już stworzyli plan, jak zainteresować władze Rodalen, czekali tylko na odpowiednią okazję. Latem następnego roku, czyli trzy lata temu, w hotelu Savalen pojawili się trzej turyści z Belgii, bardzo młodzi mężczyźni, pomiędzy dwudziestym a dwudziestym piątym rokiem życia. Wybierali się do Einun*dalen, a potem zamierzali pójść dalej, na zachód, aż do gór Dovre. Lilleif Havsten zawiadomił Taralda Thomsena, który natychmiast przyjechał z Hokksund. Wkrótce młodzi Belgowie nie żyli, a Thomsen zabrał ich ciała i wywiózł je stąd, prawdopodobnie do swojego mieszkania. W jaki sposób ich zabił, tego nie wiemy, policja wierzy Havstenowi, który twierdzi, że nie zna szczegółów, nie wie, jak zginęli i co dokładnie zrobił Thomsen z ciałami. Czwarty współnik zapewne mógłby coś na ten temat wiedzieć, choć i to nie jest pewne. Szkoda, że Norwegia nie zawarła umowy o ściganie przestępców z krajem, w którym obecnie przebywa.

* Teraz Thomsen mógł wykorzystać umiejętności, których nabył na Grenlandii. Najpierw musiał usunąć głowy, uzębienie szybko zdradziłoby, że to współczesne mumie. Zrobił to w taki sposób, by wyglądało, jakby użyto do tego bardzo prymitywnych narzędzi. A potem przystąpił do preparowania zwłok. Poddał je działaniu garbników, pewnie trzymał je w jakichś beczkach czy czymś w tym rodzaju, we własnej piwnicy. Szczegóły poznamy, kiedy policja przeszuka mieszkanie Thomsena. Proces ten zajął kilka miesięcy; następnego lata Thomsen przewiózł ciała z powrotem do Rodalen i dokończył dzieła. Tu właśnie przydał się jego potężny jeep, idealny na te tereny. Następnie zwłoki wędziły się we wspomnianym dole, długo i dokładnie, aż nabrały odpowiedniej barwy i twardości. W wyniku garbowania i wędzenia do złudzenia przypominały autentyczne mumie z odległej epoki. W końcu zostały zatopione w torfowisku, dokładnie tam, gdzie, jak wiedzieli, miał powstać dodatkowy rów. Miejsce zostało już wyznaczone, minął jednak cały rok, nim wjechała tam koparka. To było bardzo na rękę naszej wesołej gromadce; dzięki temu mumie poleżały sobie w torfie i wyglądały jeszcze bardziej przekonująco.

* Poczekaj * przerwała mu Julia. Była blada, z trudem przełknęła ślinę. * Przecież w związku ze sprawą Belgów policja musiała dokładnie kontrolować wszystkie samochody?

* Ależ oczywiście * odparł Fredric. * Thomsen został też przesłuchany, lecz policja niczego nie podejrzewała, nie było ku temu powodów, w końcu jego przyjaciel mieszkał w hotelu Savalen, a on od czasu do czasu przyjeżdżał do niego z wizytą, jeździli na ryby do Rodalen. Tarald Thomsen, tak jak inni, uiszczał opłaty za przejazd i grzecznie kupował licencje. Policja nadaremnie usiłowała rozwiązać zagadkę zniknięcia Belgów, w końcu nie było pewności, że doszło do przestępstwa. Za to myśliwego Hugara przesłuchiowano kilka razy i zaczęły się plotki. Biedny stary Hugar!

* Całun turyński. * Fredric zwrócił się teraz do Stephe*na. * Podejrzywałem, że te moje ponure pomysły może nie są tak całkiem od rzeczy. Musiałem to sprawdzić na tobie. Zadałem ci zagadkę, kiedy ostatni raz odwiedziliśmy dół*wędzar*nię. I udało ci się ją rozwiązać.

* Cóż * odchrząknął Stephen * zajęło mi to trochę czasu. Ale widziałem wyraz twojej twarzy i domyślałem się, że rozwiązanie zagadki musi wiązać się z czymś makabrycznym.

Stopniowo pojawiały się skojarzenia. W końcu sporo przeczytałem na temat tego słynnego całunu, w napięciu śledziłem raporty naukowców. Widać na nim odcisk ludzkiego ciała i twarzy. Długo pozostawało tajemnicą, jak powstał ten wizerunek. Jedno nie ulegało wątpliwości * że całun jest bardzo stary. Ale czy faktycznie widnieje na nim odcisk ciała Jezusa? I w jaki sposób powstał? W końcu jakiś naukowiec wpadł na prosty i genialny pomysł: obraz został wypalony. Włożył do pieca kawałek tkaniny i wykazał, że z łatwością można tak spreparować tkaninę, by wyglądała na bardzo starą. W ciągu zaledwie kilku minut materiał nabrał identycznych właściwości, jak uchodzący za bardzo stary całun z Turynu. Tak więc poddając różne przedmioty działaniu ognia lub dymu, można im bez trudu dodać lat. Kiedy powiązałem te fakty z istnieniem tajemniczego dołu, na którego dnie leżał popiół i jakieś zwęglone resztki, a potem pomyślałem, jak wyglądają mumie bagienne, zrozumiałem, że Fredric rzeczywiście miał powody do niepokoju. I'm sorry these bad thoughts came true. Tob potrzęsnał głową i zabrał się do czyszczenia okularów. Najwyraźniej cała historia głęboko nim wstrząsnęła, a jego słynny talent do formułowania zgrabnych i trafnych myśli tym razem okazał się niewystarczający.

* W tym momencie * podjął Fredric * mamy za sobą najbardziej makabryczną część historii. Pozostaje mi jeszcze wyjaśnić, w jaki sposób ja zostałem w to wszystko wplątany, dlaczego tak im zależało, by się mnie pozbyć. Tarald Thomsen wykonał swoją robotę, zwłoki leżały w torfowisku, a wraz z nimi kilka przedmiotów, które miały sugerować, że chodzi o fascynujące odkrycie archeologiczne. Przystępców zgubił nadmierny per*fekcjonizm. Jak wiadomo, torfowiska w Rodalen kryją w sobie fragmenty drzew i kości zwierzęce, liczące sobie wiele setek lat. Zapewne cały pomysł był dziełem młodego radiologa. Pobrali próbki z drzew i kości i określili ich wiek w laboratorium w Trondheim. Starannie wybrali najstarsze, ponad tysiącletnie obiekty: kości łosia i korzeń drzewa, i przekazali je współnikowi numer cztery, który posiadał odpowiednią wiedzę i talent, by stworzyć dekoracje mogące uchodzić za wytwór jakiejś starej kultury. Odpowiednio obrobił i ozdobił przedmioty ornamentami i różnymi dziwnymi znakami. Potem włożyli je do trzęsawiska. Wątpię, czy znalazłby się naukowiec, który wpadłby na to, że to jeden wielki blef. Przecież przedmioty zbadano za pomocą węgla C*14, ich wiek określono na ponad tysiąc lat! Nikt nie podałby w wątpliwość ich autentyczności. Z jednym wyjątkiem. Zrobił to Fredric Drum. A wszystko dzięki temu, że kilka lat temu współnik numer cztery pozwoilił sobie na niewinny żarcik i wręczył mu małą drewnianą, jakoby bardzo starą, tabliczkę pokrytą tajemniczymi znakami, które Fredric Drum miał odczytać. Yon Vuh, Chińczyka z Tajwanu, cechowała nie tylko chciwość i talent do interesów. Był też z niego niezły żartowniś. * Fredric zrobił małą przerwę na łyk wina. * Muszę przyznać, że i ja dałbym się nabrać, gdyby nie to, że zaledwie kilka tygodni temu odnalazłem tę „prastarą” tabliczkę i w ramach rozrywki postanowiłem odczytać napis. Udało mi się, napis brzmiał: KACZKA PO PEKIŃSKU LEPSZA NIŻ BARANINA W KAPUŚCIE. Niewinny żarcik w stylu Vuh; musicie pamiętać, że dał mi tę tabliczkę wiele lat temu, zanim zaczął się cały ten dramat, a przede wszystkim na długo przedtem, zanim moje prace zdobyły jakiegokolwiek uznanie. Kiedy doktor Cecilie Lund*Efeegh w końcu dostarczyła mi obiekty do szpitala, dość szybko zorientowałem się, o co chodzi. Niektóre znaki były ludzako podobne do tych z tabliczki Vuh. Wówczas zrozumiałem, dlaczego tak bardzo im zawadzam.

* To nasz miły Yon Vuh przejął restaurację Lilleifa Havste*na i w błyskawicznym tempie budował swoje małe gastronomiczne imperium. Ale Yon Vuh był chciwy, mierzył wysoko,

bardzo wysoko, i nie miał nic przeciwko niekonwencjonalnym metodom, by osiągnąć swój cel. Havsten i pozostali byli pionkami w jego grze; z tą ich wypaczoną religią nadawali się idealnie, można było nimi manipulować do woli i przekonać ich do popełnienia najbardziej niewyobrażalnych czynów. Kiedy Lilleif Havsten opowiedział o Rodalen i jej wielkim potencjale, Yon Vuh uznał to za doskonałą okazję i postanowił wesprzeć Taralda Thomsena i Havstena w przeprowadzeniu ich makabrycznego planu. Wszystko zdawało się iść jak z płatka, aż do momentu, kiedy Lilleif Havsten zdobył listę osób, które miały brać udział w pracach w Rodalen. Kiedy Yon Vuh dowiedział się, że na liście jest moje nazwisko, wszczął alarm. Nagle przypomniał sobie o tabliczce, swoim niewinnym żarciku. Wiedział, że odkryję prawdę. Było za późno, by zniszczyć obiekty, znajdowały się już w Trondheim pod czujną opieką Cecilie Lund*Hoegh. Nawet Edvard nie miał do nich dostępu. Poza tym nie miało to większego znaczenia; nawet gdyby je zniszczył, obiekty sfotografowano, napisy skopiowano, i wcześniej czy później fotografie trafiłyby w moje ręce. Dlatego miałem zniknąć. I to jak najszybciej.

* Rzeczywiście byłeś w poważnych tarapatkach, a ja posądzałam cię, że bawisz się w Indian! Mam nadzieję, że mi wybaczysz * westchnęła Julia, chwytając dłoń Stephena.

* Wybaczam * uśmiechnął się Fredric i wrócił do swojej historii. * Pierwsza próba morderstwa została dokładnie zaplanowana. Przesłali mi fałszywe zaproszenie na degustację wina na Hovedoya i zaaranżowali wypadek. Miałem dostać zastrzyk śmiertelnej trucizny i wypaść za burtę. Znowu egzekucji miał dokonać Tarald Thomsen; i tak umierał na raka, więc mógł ryzykować. Chłopak, który kierował jachtem, nawiasem mówiąc, należącym do szwagra Yon Vuh, był winny włamania do restauracji Yon Vuh. Sam szef złapał go na gorącym uczynku. Obiecał, że nie zgłosi tego na policję, jeśli chłopak wyświadczy mu drobną przysługę. Nie przewidzieli tylko, że to zderzenie może mieć zupełnie inny przebieg; plan się nie powiódł. A Tarald Thomsen niezasłużenie zginął bezbolesną śmiercią. Na Hovedoya czekał Havsten. Widział, jak wyłowilem z wody lalkę, jego świętego Bareka, i bezpiecznie dopłynąłem do brzegu.

* Cha! * wyrwało się Tobowi. * „Przesady są rozumem głupców”.

* Musieli za wszelką cenę odzyskać lalkę * ciągnął Fredric. * Była przecież w rękach ich najgorszego wroga, a więc groziło im jakieś nieszczęście. Namówili małżeństwo Sonback, aby wykradli lalkę z restauracji. Trzeba zaznaczyć, że ci dwoje byli całkowicie niewinni i nieświadomi tego, co się dzieje w Rodalen. Dla nich lalka po prostu była niezwykle cennym przedmiotem, który trafił w niepowołane ręce. A ponieważ pan Sonback swego czasu pracował jako magik w Stanach Zjednoczonych, nie było to jakoś szczególnie trudne.

* Tak więc ponieważ Tarald Thomsen nie żył, ktoś inny musiał teraz podjąć się zabicia Fredrica Drum. Wybór był dość

oczywisty. Edvard Havsten, według słów jego ojca, z radością przyjął na siebie to zadanie. Dzięki pracy w laboratorium znał się dość dobrze na elektryce i różnych urządzeniach. To on wymyślił pułapkę z lampki. Znowu pudło, Fredric miał szczęście. Następna okazja pojawiła się dopiero po przyjeździe tutaj. A czas naglił. Edvard i Lilleif sądzili bowiem, że doktor Cecilie Lund*Hoegh zabrała ze sobą obiekty i że dostanę je już pierwszego wieczoru. Edvard, uzbrojony w strzykawkę, śledził każdy mój krok. Kiedy udałem się z Julią na spacer, postanowił zaryzykować. Był zdesperowany, miałem zginąć, i to natychmiast. Znowu mu się nie udało, tym razem dzięki mojej skłonności do kichania w najmniej odpowiednich momentach. Wszystko dobrze się skończyło, ale muszę przyznać, Julio, że od tej chwili byłaś podejrzana, szczególnie że ty także złożyłaś mi bardzo tajemniczą wizytę w „Kasserollen”. Julia zaczęła się śmiać.

* Teraz ja ci wybaczam! Remis.

* Kiedy się okazało, że fatalne przedmioty nadal znajdują się w Trondheim, na chwilę mogli odetchnąć. Pojawił się jednak inny problem * myśliwy Hugar. Niepokoiło ich, że się nim

interesuję. Uznali, że najlepiej będzie jego także się pozbyć. Postanowili posłużyć się, jak wyznał Lillief Havsten, tą samą prostą metodą: strzykawka z odwróconym tłokiem, trucizna i dmuchawka. Lillief i Edvard obawiali się też myśliwego z innego powodu: mógł coś wiedzieć na temat ciemnych sprawek Thomsena. Miał ostry wzrok i potrafił poruszać się bezgłośnie. Musiał zginać. Ale ze mną im się nie udało. Dzięki mojej pancernej czaszce przeżyłem też katastrofę okienną. Wydawało mi się, że rozpoznałem wtedy głos Edvarda Havste*na. Nie pomyliłem się. * Fredric oparł się wygodnie i podrapał plaster na szyi. * A teraz, moi mili przyjaciele, zebrani tu dzisiaj pod figowcem w hotelu Savalen, nastąpi ostatni akt tego chorego dramatu. Po ucieczce ze szpitala opracowałem wraz ze Stephenem plan działania. Ustaliliśmy, że zastawię pułapkę na

naszych miłych znajomych. Nie mogłem odmówić sobie tej przyjemności, po prostu musiałem być świadkiem ich ostatecznego upadku. W odpowiednim momencie, gdy Lillief był w pobliżu, Stephen wspomniał, że pojechałem na stanowisko, aby sprawdzić coś bardzo ważnego. Niedługo potem ojciec z synem wsiedli do samochodu i zniknęli. Wiedzieli doskonale, że to ich ostatnia szansa. Po jakimś czasie Stephen szybko wtajemniczył we wszystko profesora Hornfeldta i pozostałych. Zawiadomiono policję, a Stephen i kilka innych osób ruszyło w ślad za Edvardem i Lilliefem. Nie ma co, mało brakowało, a mogłoby się to wszystko bardzo źle skończyć. Ale to Edvard Havsten wylądował w bagnie. Zdaje się, że wczoraj wydobyto jego ciało. Jak dla mnie, mógłby tam sobie leżeć przez następne tysiąc lat i zmienić się w piękną mumię bagienną, ku radości przyszłych archeologów. Ale cóż, nie ja decyduję o takich sprawach. Niestety * zakończył.

* Proponuję * zamruczał Tob, przerywając czyszczenie okularów * toast na cześć myśliwego Hugara. * Wzniósł kieliszek. Inni w milczeniu poszli za jego przykładem.

Potem Fredric wyjął ramkę, w którą oprawiona była kartka papieru zapisana pięknym charakterem pisma, i położył ją obok lalki.

* Zechcesz przeczytać, Julio? * poprosił. I Julia przeczytała:

Gdzie mróz wieczny skuwa ziemię Gdzie końca nie widać zimy Tu mieszka teraz me plemię z żywej przegnane doliny.

Straszne cierpimy tu męki, Śmierć dzieci, choroby i głód. Myśliwy wziął broń do ręki I przysiągł, że pomści swój lud.

Płaczą rzeki, bo myśliwy Zamieszkał w Śmierci Krainie. Już stawia najeźdźca chciwy Swój dom w zielonej dolinie.

* Piękne * powiedziała.

* Wiersz Hugara, wiersz Inuitów, wiersz doliny Rodalen. I niech tak zostanie. Umieścimy go w restauracji, na honorowym miejscu. A obok Bareka. Zgadzasz się, Tob? * Fredric mrugnął w kierunku przyjaciela.

Tob skinął głową i ponownie uniósł kieliszek.

* Go right to Birmingham 'n tell the King! * ożywił się nagle Anglik, który przez większość czasu przebywał we własnym świecie. * Czterdzieści do siedemnastu dla Stephena!

* Poczekaj tylko * roześmiał się Fredric. * Przed nami jeszcze dwa tygodnie wakacji. A ja coraz lepiej radzę sobie z wędką!

Spis treści

1. Fredric Drum spotyka wiosnę, zażywa morskiej kąpieli i z optymizmem spogląda w przeszłość.....7
2. Mały Eskimos kłania się i znika, a Fredric Drum wybiera muchy.....21

3. Fredric widzi jakiś cień, łamie pewien szyfr i kosztuje wybornego wina.....40
4. Fredric Drum doznaje ciężkiego urazu na tle estetycznym, łowi bardzo dziwną rybę i widzi w wodzie jakąś twarz....57
5. Pewne osoby prowadzą żywność w środku nocy, pojawia się piękna dziewczyna, a Fredric poznaje trzecią zwrotkę.....75
6. Angielski wędkarz wypija spore ilości whisky, w letnią noc ktoś kogoś prosi do tańca, a ktoś inny kicha.....93
7. Profesor się jeży, dwaj mężczyźni płaczą oparci o pień sosny, a Fredric Drum widzi denata bez głowy.....107
8. Stephen i Fredric przygotowują ucztę Lukullusa, właściciel hotelu się zwierza, a nad doliną zapada cisza.....125
9. Fredric Drum grzebie w popiele, przypomina sobie pewne nazwisko i przybiera bardzo niewygodną pozycję.....143
10. Kółka odkrywają swe oblicze, taksówkarz sobie podśpiewuje, a błądy letni księżyc przegląda się w jeziorze.....162
11. Bagno zamyka się, mały myśliwy jaśnieje w ciemności, a Fredric Drum słabym głosem wygłasza mocne przemówienie.....182
12. Fredric Drum zdradza tajemnicę Berekai w doborowym towarzystwie delektuje się w cieniu figowca Chateau la Lagunę rocznik 1982.....190